

Franciszka hr. Wiesiołowskiego

PAMIĘTNIK

z r. 1845 – 1846.

Oto są grzechy mojego żywota!
A. Mickiewicz.

LWÓW,

Nakładem Wydawnictwa Dziennika Literackiego.

1868.

Z DRUKARNI E. WINIARZA.

DZIENNIK LITERACKI

wychodzący we Lwowie od lat szesnastu a zamieszczający: powieści historyczne i społeczne, poezje, pogadanki o literaturze i sztuce, studja historyczne, rozprawy naukowe, korespondencje literacko-artystyczne z różnych dzielnic Polski i najgłówniejszych punktów oświaty europejskiej, rozbiory dzieł najcelniejszych, recenzje teatralne i t. p. wychodzi bez przerwy pod temi samemi warunkami co dawniej. Redakcja, rozszerzywszy zakres swych współpracowników, dokłada wszelkich starań, aby wymaganiom czytelników w zupełności odpowiedzieć.

W administracji „Dziennika literackiego" są do nabycia po bardzo zniżonych cenach następujące książki:

Uniwersał hetmański, powieść historyczna *J. Dzierzkowskiego*, w 2 tom. Niezawodnie najlepszy z jego utworów, kosztuje . . . . . 1 złr. 59 cnt.
Szkoła świata, powieść w 1 tom. *J. Dzierzkowskiego* — „ 80 „
Valvèdre, powieść z francuzkiego przez *George Sand* — „ 75 „
Życie bez jutra, powieść w 1 tomie *J. K. Turskiego* — „ 50 „
Czarna skała, poemat *J. Starkla* . . . — „ 18 „
Poezje *Adama Pajgerta* . . . — „ 53 „
Macocha, dramat *Balzaka* w 5 aktach, przerobiony przez *Krystyna Ostrowskiego* . . . — „ 50 „

Podole, Wołyń i Ukraina	— złr.	50 cnt.
Obrona Częstochowy, przez *Józefa Szujskiego* .	— „	3 „
Pogląd na dzieje Serbji, przez *T. T. J.* . .	— „	50 „
Król się bawi, dramat *W. Hugo*, przekład *Sabowskiego*	— „	40 „
Diarjusz sejmu extraordynaryjnego w Warszawie, dnia 5 października 1767 roku złożonego i zaczętego. Lwów 1866	— „	50 „
Bieda z rozumem, komedja w 4 aktach wierszem *Aleksandra Grybojedowa*, z rosyjskiego . .	— „	40 „
Dalecy krewni, powieść w 1 tomie, *J. K. Turski* .	1 „	— „
Thesby de Belcour, z oryginału francuzkiego przełożył *Xawery Godebski*	— „	70 „
Paryż w Ameryce, powieść E. Laboulaye'a z francuskiego	1 „	50 „
Zwykłe dzieje, poemat Bohdana Rastawicy . .	— „	30 „
Dziedziczka Czarnolic. powieść Pauliny Wilkońskiej .	— „	80 „
Szkice z niedległej przeszłości przez W. B. K. .	1 „	— „
Talizman, powieść w 2 tomach *Karola Cieszewskiego*	1 „	40 „
Pozory, powieść w 3 częściach *Karola Cieszewskiego*	1 „	— „
Sierotki hetmańskie, obrazek historyczny z XVII wieku *K. Cieszewskiego*	— „	75 „
O posiewie Bożego słowa, przez *Karola Cieszewskiego*	— „	8 „
Kilka uwag o Lwowskim teatrze, przez *K. Cieszewskiego*	— „	8 „
Komedje Karola Cieszewskiego	— „	50 „
Kompletne roczniki „Dziennika literackiego", zbroszurowane z lat: 1862, 1863, 1864 i 1865 po .	5 „	— „
z r. 1866 .	6 „	— „
Kompletne roczniki „Dziennika literackiego", zbroszurowane z lat 1862, 1863, 1864, 1865 po . .	5 „	— „
z 1866 . .	6 „	— „
Wszystkie 5 roczników razem . . .	18 „	— „
4 roczniki razem kosztują . . . . . (pierwotna cena 32 złr.)	16 „	— „
3 roczniki razem kosztują . . . . . (pierwotna cena 24 złr.)	13 „	— „
2 roczniki razem kosztują . . . . . (pierwotna cena 16 złr.)	9 „	— „

(Zawierają one około 50 powieści i szkiców, a pierwotna cena prenumeracyjna przeszło 40 złr.)
Rocznik z 1867 zbroszurowany . . . 7 złr. — cnt.
Litografowane portrety Joachima Lelewela, Karola Szajnochy i Aleksandra Fredry po . . . — „ 10 „

Tych książek dostać można po powyższych cenach, *ale tylko w Administracji „Dziennika literackiego"*. W księgarniach krajowych są ceny tychże o 40% wyższe. Zamówienia listowe upraszamy przesyłać f r a n c o pod adresem: *Do Administracji „Dziennika Literackiego" we Lwowie.*

DZIENNIK LITERACKI wychodzi raz na tydzień *w dwóch wielkich arkuszach* (16 stronnic małego *folio.)*

Prenumerata wynosi:

Z Dodatkiem powieściowym **z przesyłką pocztową**: rocznie 12 złr. 50 cnt.; półrocznie 6 złr. 30 cnt.; kwartalnie 3 złr. 20 cnt.

Z Dodatkiem powieściowym **w miejscu**: rocznie 10 złr. 40 cnt. półrocznie 5 złr. 20 cnt; kwartalnie 2 złr. 60 cnt.

Bez Dodatku powieściowego z przesyłką pocztową: rocznie 10 złr. 50 cnt.; półrocznie 5 złr. 30 cnt.; kwartalnie 2 złr. 70 cnt.

Bez Dodatku powieściowego w miejscu: rocznie 8 złr. 40 cnt.; półrocznie 4 złr. 20 cnt.; kwartalnie 2 złr. 10 cnt.; miesięcznie 70 cnt.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi za granicą:

	rocz.	półr.	kwart.
do Prus i Rzeszy Niemieckiej . . .	8 tal.,	4 tal.,	2 tal.
do Francji, Anglji i Belgji	28 fr.,	14 fr.,	7 fr.
do Włoch i Szwajcarji	32 „	16 „	8 „
do Turcji i księstw Naddunajskich .	24 „	12 „	6 „

Do każdego numeru dołączanym bywa arkuszami DODATEK (arkusz w 8ce), zawierający w sobie powieści, pamiętniki lub utwory dramatyczne.

4

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Str.

I. Wstęp 3
II. Przygotowania do organizacji spiskowej. — Przyjazd Teofila Wiśniowskiego. — Zawiązanie stosunków z Edwardem Dembowskim . . . 18
III. Agitacja spiskowa rozpoczęta. — Zawiązanie komitetu i podział jego czynności na wschodnią i zachodnią Galicję. — Raporta Jordana i Bobrowskiego o bezczynności w Poznańskiem krzyżują plany. — Wyjazd do Poznania 33
IV. Pobyt w Poznaniu. — Konferencje z członkami komitetu Poznańskiego. — Zmiana w jego składzie. — Powrót do Galicji. — Wypadek z odezwą Goslara. — Pierwsze śledztwo. — Bezpośrednie przygotowania do wybuchu 60
V. Przyspieszenie terminu wybuchu. — Postawa ludu w obec spiskowych. - Nocna wyprawa. — Spotkanie w Lisiejgórze. — Pastwienie się chłopów. — Odwiezienie do Tarnowa. — Uwięzienie . . 89
VI. Pierwsze chwile w więzieniu. — Niepewne posłuchy o wypadkach w kraju. -- Nieszczęścia rodzinne. —

Str.

Śledztwo wstępne w Tarnowie. — Odwiedziny dygnitarzy. — Przewiezienie do Lwowa . . . 111

VII Przybycie do Lwowa. — Pierwsi towarzysze więzienni. — Szczegóły śledztwa. — Zmiana systemu w obronie. — Odparcie krzywdzących podejrzeń. — Posłuchy o egzekucji na Wiśniowskim i Kapuścińskim. — Rok 1848. — Odzyskanie wolności. — Zakończenie 128

OD WYDAWCY.

Franciszek hr. Wiesiołowski urodził się w r. 1814 w dziedzicznej majętności Wojsławiu, w Tarnowskiem nad Wisłą, z ojca Ksawerego, który był szambelanem króla saskiego Fryderyka Augusta, i podprefektem za czasów Księztwa Warszawskiego, a z matki Krystyny ze Świdzińskich, siostrzenicy Franciszki Krasińskiej, żony Karola, królewicza saskiego.

Razem ze swoim bratem Michałem, otrzymał Franciszek w domu rodzicielskim jak najstaranniejsze wychowanie, że zaś celował z natury żywą wyobraźnią, umysłem bystrym i otwartym, więc korzystał bardzo wiele z nauk, udzielanych mu pod okiem światłego ojca. Uczucia młodzieńca rozwijały się i potęgowały przy tkliwem sercu namiętnie go kochającej

matki, która umiała rozbudzać w nim zapał dla wszystkiego co piękne i wzniosłe. Ona to pierwsza czytywała ze synem poezje Mickiewicza, zaraz po ich pojawieniu się, a było to właśnie podówczas, gdy utwory nieśmiertelnego wieszcza zaczęły budzić naród z długoletniego letargu. Takie wpływy i takie otoczenie nie mogły jak tylko obudzić w sercu Franciszka gorącą miłość ojczyzny, i chęć poświęcenia się dla niej, której aż do grobu rozliczne składał dowody.

Powstanie listopadowe zastało Franciszka dorastającym już młodzieńcem, lecz uporczywa febra, która go cały rok trapiła, nie dozwoliła mu przemknąć się wraz z innymi za kordon i walczyć w szeregach obrońców ojczyzny. Okoliczność ta przejmowała go wielkim smutkiem, i doszło do tego, iż pomimo wycieńczenia, pomimo próśb i zaklinań matki, zamierzał w jesieni r. 1831 opuścić pokryjomu dom rodzicielski i połączyć się z najbliższym oddziałem powstańców. Upadek Warszawy i cofnięcie się Romaryna do Galicji zniszczyły w bardzo przykry sposób to tajemne przedsięwzięcie.

Z rozprószeniem powstańców po Galicji, których liczba do 12000 dochodziła, rozpoczęło się życie pełne szalonej wesołości; lecz pod pokrywką balów i hulanek ożywiał się duch narodowy i rozpoczęto knowania, dążące do rozpoczęcia świeżej walki z ciemię-

życielami. Na ten to czas przypada spisek Zaliwskiego
i jego usiłowania, aby utworzyć w Galicji oddziały
powstańcze, a przerzuciwszy je do Kongresówki roz-
począć tam z Moskwą wojnę partyzancką. Najgorli-
wszym ajentem, popierającym w Galicji dążenia Za-
liwskiego, był Wincenty Tyszkiewicz; przy jego boku
działał 20letni naówczas Franciszek Wiesiołowski, od-
dany zupełnie myśli wybicia się na niepodległość

Skutki nieszczęśliwych wypraw Zaliwskiego są znane.
Moskwa postarała się o świeży zastęp męczenników
Polski, a rząd austrjacki wystąpił z całą surowością
już nietylko przeciw emigrantom, osiedlonym w Ga-
licji, lecz i przeciw tym własnym poddanym, którzy
w spisku brali udział. Zarządzono liczne aresztowania,
a między więźniami znalazł się niebawem i Franciszek
Wiesiołowski. Pochwycony z domu rodzicielskiego
dnia 8go grudnia 1835, opuścił więzienie Karmelitów
we Lwowie dopiero 22go czerwca 1836, szczęśliwym
trafem dla braku dowodów uwolniony. Przecierpiał
przez te półtrzecia roku nie mało, gdyż mury wię-
zienne oddzielały go nietylko od strapionych rodziców,
lecz również od narzeczonej, hr. Emmy Rejównej, którą
pokochał całą siłą młodego i nieskażonego serca. Zna-
lazł też godną takiej miłości wzajemność, bo narze-
czona była pierwszą, która go powitała u rozwartych
bram więziennych

Te koleje swego życia spisał później Franciszek Wiesiołowski w osobnym pamiętniku, który się pojawił najprzód w feletonie ›Głosu‹ w roku 1861, a w następnym roku w osobnem wyszedł odbiciu z drukarni Stoegera w Jaśle p. t. ›Ustęp z moich wspomnień›.

Niezadługo po wyjściu z więzienia, zaślubił Franciszek swą wierną narzeczonę i czuł się bardzo szczęśliwym. Lecz niebawem zachmurzyły to szczęście domowe dotkliwe ciosy; ciężka choroba żony i strata dziatek napełniły jego serce nigdy nie wygasłą boleścią. Takie chwile nieszczęścia, jak i późniejsze okropne przejścia polityczne, osładzała mu żona, prawdziwy anioł pocieszyciel. Z niebiańskim spokojem duszy, niezachwiana w swem przywiązaniu dla kraju i dla męża, zdołała ona jako dobra Polka i zacna niewiasta wytrwać śród najcięższych prób, któremi ją Opatrzność doświadczała.

Polityczna czynność Franciszka Wiesiołowskiego w latach 1845 i 1846 jest w niniejszym pamiętniku opowiedziana. Jakkolwiekbądźby kto sądził owe smutne wypadk, nie będzie mógł nie przyznać, że charakter Franciszka występuje w nich nieskażony, że wszędzie przemawia zeń zacne serce, przejęte gorącą miłością ojczyzny i duch gotowy do najcięższych ofiar dla sprawy narodowej. Trudna zresztą walka, jaką po

roku 1848 aż do zgonu staczać musiał ze życiem, pracując na chleb codzienny, jest tego najwymowniejszym dowodem. Opłacił bowiem ruiną własnego majątku gorącą miłość ojczyzny, i musiał się w końcu tułać po dzierżawach. Pomimo to nie narzekał na los, lecz owszem umiał się godzić z każdem położeniem, i znosić wszystkie przeciwności z przedziwną swobodą, choć nieraz cienie melancholji zdradzały niezwykły, głęboki umysł.

Są jednak stanowcze ciosy, których przeboleć nie można. Taki cios dotknął Franciszka d. 2go stycznia 1867 r. Wierna towarzyszka pełnego trosk życia, żona, z którą go przez tyle lat łączył węzeł najtkliwszej miłości, zeszła z tego świata... Żelazna dusza Franciszka ugięła się pod brzemieniem boleści. Pochowawszy żonę, rozniemógł się sam i poszedł wkrótce połączyć się duchem z tą, której mu już na ziemi zabrakło. Umarł dnia 26 kwietnia 1867 w Cząstkowicach pod Jarosławiem, a z śmiercią jego wygasła cała linja rodu Wiesiołowskich.

Oprócz działań politycznych, dał się również Wiesiołowski poznać swem piórem, najczęściej pełnem żywego humoru i dowcipu. Trudnoby jednak było wymienić wszystkie jego prace, gdyż są to po większej części korespondencje do różnych pism perjodycznych, krótkie szkice, jak np. »Bohomazy« w Dzienniku lite-

rackim z r. 1861, ucinki i wierszyki pełne dowcipu, którem zasilał rozliczne pisemka humorystyczne. Wiele jego dowcipów, zawierających najczęściej trafne, satyryczne spostrzeżenia, odnoszące się tak do społecznego jak i politycznego życia naszego, przebiegają z ust do ust pomiędzy przyjaciołmi zmarłego. Był to bowiem jeden z tych rzadkich ludzi, którzy przez swą serdeczność i urok w obcowaniu stają się duszą towarzyskiego życia tych okolic, które zamieszkują.

Oddzielnie wydaną, obszerniejszą pracę jego pióra, jest tylko wspomniany powyżej »Ustęp z moich wspomnień«. Rękopis pamiętnika, który obecnie ogłaszamy, a który w obec wielu nieprzyjaznych nam publikacyj jest niezawodnie bardzo ważnym przyczynkiem do krwawych dziejów r. 1846, powierzył nam autor osobiście w roku 1866, upoważniając do ogłoszenia go drukiem, co też dziś czynimy, korzystając z odpowiedniej pory. Jak się sam autor na swą pracę zapatrywał, wyjaśniają najlepiej własne jego słowa, któremi pamiętnik w połowie był przerwany.

»Nie mając żadnych źródeł pisemnych — pisze on — i opowiadając tylko z pamięci, nie mam ja pretensji wydawać tu historji dokładnej i wszechstronnej całej tej sprawy, do której należałoby opisać wybuchy pojedyńcze w innych miejscach kraju, oraz historję całej rzezi galicyjskiej w fatalnych dniach lutego 1846 r.

Chcąc opisać rzecz zgodnie z najsumienniejszą prawdą, ograniczam się li tylko na wspomnieniach osobistych i dodaniu wypadków, na które własnemi oczyma patrzyłem, biorąc w nich udział bezpośredni. Przedstawienia moje, jeśli nie inną, to przynajmniej tę będą mieć zaletę, iż ani na jotę nie oddalają się od prawdy, bez najmniejszej przesady lub poetycznych dodatków. Jeśli kiedy nadejdzie chwila, w której można będzie zajrzeć do aktów sądowych procesu naszego, zeznania moje obszerne i umyślnie jak najdokładniejsze, które tam złożyłem, nie wiedząc czy będę miał inną sposobność przekazać je do wiadomości publicznej, jeszcze lepiej pod świeżą pamięcią spisane, wykażą cały przebieg działań naszych przygotowawczych, aż do dnia wybuchu pod Tarnowem i pojmania mojego«.

J. S.

Franciszka hr. Wiesiołowskiego

PAMIĘTNIK z ROKU 1845 i 1846.

———

Toujours le contraste de l'ideal avec la triste réalité produira dans l'humanité ces revoltes contre la froide raison, que les esprits médiocres taxent de folie, jusqu'un jour, ou elles triomphent, ou ceux qui les ont combattues son les premiers a en reconnaitre la haute raison.

Ernest Renan.

Obacz: Franciszka Wiesiołowskiego: „Lisiogórska Wyprawa" (Dzien. Literacki. Lwów. 1862.)

I.

WSTĘP.

Jeżli w naturze fizycznej nic się nie dzieje bez przyczyny, bo wszystko pewnym podlega prawom, skoro wiedza ludzka za pomocą nauk przyrodzonych zdolna jest zgoła wytłumaczyć znaczenie tych zjawisk, tem mniej można przypuszczać, aby światem moralnym ślepy przypadek rządził. Jak zjawiska natury są objawem ukrytych sił materji, które walkę ze sobą tocząc w harmonijną zlewają się całość ażeby bez przestanku tworzyć, utrzymywać, niszczyć i znowu wytwarzać — tak dzieje ludzkości są objawem sił moralnych, poruszających ją od wieków i prowadzących po szczeblach doskonałości, aż do owego szczytu na którym wielki Twórca stanąć jej przeznaczył. Zjawiska natury łatwiej nam pojmować, bo przyczyny i skutki prędzej tu po sobie następują, i złe czy dobre łatwiej nam pod zmysły podpadają. Nie tak się dzieje w świecie moralnym: jego dziedziną jest wieczność ani cyrklem nie zmierzona, ani żadnym nie przejrzana teleskopem, łańcuch duchowy od wieków poczęty, którego koniec w ręku Twórcy spoczywa, ciągnie się przez pokolenia, dzieje liczą jego ogniwa, czuwając

by żadne nie poszło marnie — i kto chce dociec ich spojenia, musi patrzyć w dzieje. Czem w naturze są żywioły, tem w świecie niewidomym są idey. Dobro, piękno i pożytek, oto dyamentowe filary, na których cała budowa ducha ludzkiego spoczywa, oto pierwiastki, z których się składa historja! Jak w rozbiorach chemicznych wszędzie napotykamy ziemię, ogień, wodę i powietrze, w rozmaitych postaciach i tysiącznych odcieniach, tak do pojęcia dobra, piękna i pożytku odnoszą się wszystkie zjawiska dziejowe.

Jednym z najcięższych do wytłumaczenia zjawisk, jest bez wątpienia stan moralny naszego wiejskiego ludu, ludu, co przez blisko tysiąc lat z fatalistyczną rezygnacją i cierpliwością znosił tłoczące go jarzmo niewoli i nie pierwej ocknął się z letargu, nie pierwej podniósł rękę ku zrzuceniu go z przygniecionego karku, aż w chwili, gdy ci, co mimowolnie stawali się jego katami, poczuli się do obowiązku swego i dobrowolnie nieśli mu wolność w ofierze. A jednak tak się stało niestety! Pokolenie nasze przeznaczone snać na poniesienie kary za grzechy wszystkich przeszłych i przyszłych pokoleń, krwią męczeńską zapisało to zjawisko w dziejach ludzkości. A jeśli Polska ciężkie od wieków przechodziła próby, jeżeli od wieków koroną męczeńską przybrana, krwawym potem okupuje winy przeszłości to przecież nie było rany tak srogiej, ani bolu tak serdecznego, ani krzywdy tak bolesnej, żeby mogła iść w zawody z tą ostatnią klęską, dzielącą lud i szlachtę na dwa nieprzyjacielskie obozy. O ile bowiem duch wyższym jest od ciała, o tyle rozbrat ten moralny wyższym jest i sroższym w skutkach nad podział terrytorjalny.

Aby choć w części wytłómaczyć to zjawisko, potrzeba nam cofnąć się nieco do dziejów kilkudziesięciu lat upłynionych.

Wiadome są dostatecznie przyczyny rozbioru naszej ojczyzny. Niezgody szlachty, intrygi obcych, przewrotność możnych, naśladowanie obczyzny w obec zaniedbania i sponiewierania własnego ludu i sił w nim spoczywających, przywiodły dwudziestumiljonowy naród do tego, że nie był w stanie oprzeć się żarłocznym sąsiadom. Na nic się nie zdało, choć w ostatnich czasach nie brakło na ludziach światłych, co zagrzani miłością ojczyzny chcieli ją z otchłani ratować, na nic się nie zdało, że konstytucja Trzeciego Maja lubo może dzisiejszym wyobrażeniom nie zupełnie odpowiednia, na owe czasy była arcydziełem — bo dobrowolnie i spokojnie stanowiła to, czego gdzieindziej po dziś dzień strumienie krwi osiągnąć nie mogły. Huk dział rosyjskich głuszył głos prawych obywateli, złoto moskiewskie olśniło wzrok naszych magnatów i konstytucja owa stała się tylko złocistym napisem na grobie szlachetnego narodu. Kościuszko porwał się do oręża. On to pierwszy pojął myśl ludową, w miastach poruszył masy, po wsiach obudził chłopów, a Kiliński i Głowacki, jeden szewskiem kopytem, drugi włościańską kosą i czapką czerwoną zdobywali pruskie armaty. Gdyby Kościuszko nie był więcej nic zdziałał, samo wzbudzenie myśli tej w narodzie, której odtąd został symbolem, czyniłoby go wielkim na wieki. Naród czuje to dotąd instynktowo. Nie masz bowiem Polaka, nie masz u nas stronnictwa, coby nie oddawało czci tego męża pamięci. Cześć ta nie tyczy się jego działań wojennych, bo te były małej wagi; odnosi się ona raczej do idei, której był wyobrazicielem Kościuszko. Pomimo wielu cnót obywatelskich za słabym on był jednak, ażeby myśl swą siłą przeprowadzić, źle wspierany od szlachty, która jak dzisiaj boi się komunizmu, tak wtenczas drżała przed Jakobinizmem, po

kilku świetnych czynach wojennych padł pod Maciejowicami z złowieszczym wykrzykiem: „*Finis Poloniae!*“ *). Słowa te, jakkolwiek dotąd bolesnem odbijają się echem w sercu każdego Polaka, sprawdziły się o tyle, że Polska dawna, Polska szlachecka istnieć przestała. Bo lubo szlachta nie traciła jeszcze nadziei, a za każdym jej promykiem w konwulsyjnych szamotała się ruchach, wszystko na nic się nie zdało, bo sił nie było żywotnych, a w masach wywołać ich nie umiano i nie chciano.

Napoleon I nadużywał srodze łatwowierności szlachty, wodził ją po wszystkich częściach świata, głaszcząc złudnemi obietnicami, aż upadł sam nareszcie i wszystkie świetne nadzieje zamknęły się w ciasnych granicach Królestwa kongresowego.

I znośne mogło być to życie przynajmniej w tej części Polski, gdyby nie ciągłe zrywanie konstytucji i zwierzęce brutalstwa W. X. Konstantego, które dłużej znieść się nie dały. Szlachta i młodzież spiskowały; ostatnia porwała za broń i wybuchło powstanie 1830 roku. Nie dowierzając atoli własnym siłom, odwołując się do świetnych nazwisk, młodzież złożyła wywalczoną władzę w nieudolne ręce. Szlachta znowu stanęła u steru. A był to punkt zwrotny jej wszelkich nadziej. Od czasu rozbioru Polski ani razu nie wzbiła się do tej potęgi. W 30 000 porwano się do oręża, w 70.000 złożono broń, bo nie było wiary w siły narodowe, nie było odwagi poruszyć masy, jednem słowem, nie było głowy w radzie, ani w boju, coby z tych narodowych skarbów korzystać umiała. A tak z ostatnim strza-

*) Słów tych, jak to już dokładnie sprawdzono, Kościuszko nie powiedział. *(P. red.)*

łem armatnim na granicach Polski kongresowej, rozprószyła się garstka walecznych na wszystkie strony świata.

W nieszczęściu, w tułactwie, w tęsknocie za rodziną i za domem, pod rewolucyjnem niebem Francji poczęła dojrzewać myśl ludowa. O głodzie i chłodzie poczęto rozpamiętywać przyczyny tylokrotnego upadku powstań narodowych. Przypisano je jedynie brakowi sił żywotnych pochodzącemu z zamknięcia się w ciasnych obrębach kasty szlacheckiej, bez odwołania się do ludu, bez obudzenia w masach interesu. Nędza, tęsknota, coraz bardziej jątrzyły umysły młode przeciwko szlachcie, jako głównej przyczynie tylu niepowodzeń. I zawiązało się towarzystwo demokratyczne, i powstały dzienniki żółcią tryskające przeciwko kaście szlacheckiej. Nigdy jednak nie wyklęto ogółu szlachty, nie odrzucono z pogardą indywiduów, choć do tej kasty należących, którzyby pojmując potrzebę narodu i czasu, zechcieli szczerze z zaparciem się osobistego interesu przyłożyć rękę do dzieła, i wspólnie z towarzystwem pracować nad podniesieniem mas ludu z początku piśmienną lub ustną propagandą, później przykładem i czynem.

Pierwszym niedojrzałym owocem tych prac emigracyjnych był zamach Zaliwskiego 1833. Józef Zaliwski, były pułkownik wojsk polskich, sławny konspirator przed rewolucją 1830 roku, sławny partyzant podczas kampanji 1831 r. na czele garstki pełnej odwagi, zapału i poświęcenia, acz może mniej rozważnej. rzucił się z Francji do kraju chcąc poruszyć masy. Liczono na pomoc szlachty i emigracji, której jeszcze natenczas w Galicji do dwunastu tysięcy się znajdowało. Nie mało też było i broni częścią zakopanej, częścią po kraju rozrzuconej za świeżej wojny. Małemi oddziałami partyzantow chciano równocześnie przekroczyć gra-

nice kongresowej Polski, a głosząc zniesienie pańszczyzny i usamowolnienie ludu, powiększać hufce zbrojne w kosy, piki, strzelby i t. d.

Pomysł ten, jakkolwiek w skutkach okazał się niepraktycznym, jakkolwiek wiele kosztował ofiar, z daleka od kraju w gronie ludzi, wyłącznie oddanych myśli oswobodzenia ojczyzny, łatwo mógł przybrać postać prawdopodobieństwa. Byłato pierwsza z czterech chwil działania demokracji emigracyjnej w kraju. Jak wszystkie następne, tak i pierwsza epoka zakończyła się więzieniem, szubienicą, olbrzymiemi protokółami, płaczem i zgrzytaniem zębów. W Galicji pojmano Zaliwskiego, pojmano z nim kilku emisarjuszów emigracyjnych, uwięziono kilkunastu z szlachty miejscowej. W kongresowej Polsce powieszono Artura Zawiszę, Drzewicki otruł się sam, ażeby ujść czekającej go męczarni, mnóstwo przytem pojmano i zagrzebano w więzieniach ofiar wszelkiego wieku, płci i stanu. A podczas gdy te jęczały w więzieniach Lwowa i Warszawy, zaczęła się epoka druga.

Z rozbitków Zaliwskiego i z resztek emigracji, schronionych przed prześladowaniem rządu austrjackiego do wolnego miasta Krakowa, potworzyły się rozmaite kółka tajnych stowarzyszeń i rozszerzały po kraju. Nosiły one na sobie cechę niedojrzałych początków, niedoświadczenia i naśladownictwa. Massonerja, Karbonaryzm, Związek Synów Ojczyzny, Młoda Sarmacja, Gromada, Grudziąż i t. p. pod rozmaitemi nazwami związki i sprzysiężenia, krzyżowały się po Galicji. Młodzież lgnęła do nowych wyobrażeń, tysiączne broszury krążyły po kraju, propagowano lud wiejski słowem i pismami, młódź szlachecka, tak krajowa, jak emigracyjna w strojach góralskich lub chłopskich narażała się

na największe niebezpieczeństwa i niewygody, zapuszczając się pomiędzy lud, by obudzić w nim chęć wolności, i zrzucenia od wieków tłoczącego go jarzma.

W tej to epoce, ale w tej jedynie działano wyłącznie, bezpośrednio na lud wiejski, z pominięciem i wbrew woli i szlachty, która po części, bojąc się nowych wyobrażeń zagrażających jej utratą przywilejów a nadewszystko pańszczyzny, po części też jako starsza, z zimniejszą rozwagą zapatrując się na rzeczy, niechętnie spoglądała na te wszystkie roboty. Młodzież niedoświadczona chwytała z zapałem myśli nowe; jak pierwszą miłością do kochanki, tak rozgorzała tą pierwszą miłością do ludu. Kto nie podzielał jej zdania czy to przez niechęć, czy z zimnej rozwagi, wydawał jej się wrogiem tego ukochanego ludu, wrogiem ojczyzny. I nie dziw, że w gorączkowym tym szale rzucono nie jedno złe ziarno, co później przyczyniło się do krwawych zdarzeń, a potok ten wezbrany podrywając stare formy społeczne, poderwał i brzegi, na których one dumnie się wznosiły. Trzeba nie mieć miłości kraju, nie znać serca ludzkiego, by chować zawiść, lub złorzeczyć tym wybrykom młodości. Byłoto złe, ale złe z konieczności dziejowej wypływające. Gdy zaś postawiono zasadę: „iż Polska bez poruszenia mas powstać nie może“ — gdy raz zgodzono się na to, że tym masom, aby je poruszyć, trzeba było zapewnić polepszenie bytu z poświęceniem własnego interesu — skoro raz zgodzono się na to, że było i jest wielu samolubów obojętnych, co ani dnia jednego pańszczyzny dla ojczyzny utracić nie chcieli — koniecznem było następstwem, iż musiano powstać przeciw pańszczyźnie i przywilejom, i przeciw tym, co uporczywie przy nich obstawali. Że to czyniono może zbyt namiętnie, zbyt jednostajnie i zbyt nie

cierpliwie, że przesadzano w miłości wyłącznej dla ludu wiejskiego, są to wady niedokładności rzeczy ludzkich. Bo cóż jest w świecie doskonałością? Trzeba się postawić w miejscu ludzi młodych, zapaleńców gotowych ostatnią kroplę krwi serdecznej wylać za ten lud i tę ziemię, którzy w szlachetnym zapędzie swoim napotkali na zimną obojętność, na samolubny upór w utrzymaniu się przy dawnym przywileju, choćby nawet pod obcem panowaniem — trzeba się postawić w miejscu ludzi wygnanych, poniewieranych, kryjących się po lasach jak zwierz dziki, nie mających gdzie złożyć głowy, ani piędzi ziemi na grób dla znużonych kości — a nie dziw będzie, iż ci ludzie w nadmiarze boleści, z goryczą w sercu i rozpaczą w duszy, chcieli się rzucić w objęcia tego ludu, który go jeszcze na ten czas nie odepchnął od siebie, którego serce zdawało się czyste i nie zepsute. Było to bowiem w latach 1834 - 1836.

Jak wszystkie następne, tak i ta druga epoka zakończyła się więzieniem, szubienicą, olbrzymiemi protokołami, płaczem i zgrzytaniem zębów. Pojmano Kaspra Cięglewicza, Marcelego Kropiwnickiego, Ludwika Kępińskiego, a z nimi kilkunastu młodzieży galicyjskiej i emisarjuszów emigracyjnych. W Wilnie rozstrzelano Szymona Konarskiego. Pojmano i w więzieniach zagrzebano mnóstwo ofiar wszelkiego wieku, płci i stanu, a gdy ci jęczeli w więzieniach Lwowa i Warszawy, **zaczęła się epoka trzecia.**

Z rozbitków, związków i stowarzyszeń epoki drugiej, uformowało się towarzystwo pod nazwą: Związek demokratyczny Polski. W epoce tej i w emigracji rozpoczęto działać już wytrawniej. Broszury tamże wydawane stawały się mniej zjadliwe, działania mniej porywcze i bezstronniejsze. Towarzystwo demokratyczne w Poitiers wydało

wiekopomny swój manifest, który powitały z współczuciem wszystkie ludy Europy. Do szlachty przemawia on w następujący sposób: „Oświadczamy nakoniec, iż daleką jest od nas chęć mordów i pożogi własnego kraju. Nie z mieczem Archanioła, ale z księgą dziejów ojczystych w ręku, z jednej strony wykazywać będziemy uciśnionym, iż ani prawa Boskie, ani kilkowiekowa przemoc ludzka nie obowiązują ich do pozostawania dłużej w nędzy i znieważającej godność człowieka niewoli, z drugiej budząc też same uczucia odwiecznej sprawiedliwości, przywodząc też same historyczne wspomnienia, nie przestaniemy wołać na dziedziców przesądów i przywłaszczeń szlacheckich, w imię własnego ich interesu, w imię dzisiejszej oświaty, a szczególniej w cza rodziejskie dla nas wszystkich imię miłości ojczyzny, o powróceniu wydartych praw ludowi i t. d. i t. d.“

Nie rzucono tu więc klątwy bezwzględnej na szlachtę; nie wyłączano jej od działania, przeciwnie, odzywano się do jej najszlachetniejszych uczuć. Na to wszystko została ona jednak głuchą; po części obojętna, po części zrażona szalonem działaniem epoki poprzedniej, mniemała ona, iż byt, mienie a nawet życie jej zagrożone, i założywszy ręce rada była w duchu, choć się z tem jawnie nie wydawała, że resztę emigracji z Krakowa wygnano, zapaleńców uwięziono, i spokój domowy pozornie powrócił.

Tymczasem Towarzystwo Demokratyczne nie zasypiało sprawy: wysłańcy jego organizowali związek silny, bo rozszerzony po całej Polsce, poważny, bo oparty na niezbitych prawdach historycznych, mądry, bo składający się co do kierunku z najświatlejszej młodzi akademickiej, urzędników rządowych, Polaków, a nawet i Niemców niektórych, doktorów prawa, adwokatów, itd. Działania te roz-

szerzono aż do szeregów armji austryjackiej; kilkudziesięciu oficerów związało się przysięgą w celu przygotowania swych podkomendnych. Głównym celem związku tego było rozszerzanie idei demokratycznej pismem i słowem pomiędzy oświeceńszemi klasami narodu, zbieranie funduszów, broni i amunicji, jednem słowem moralne i materjalne przygotowanie zamierzonego w swoim czasie powstania wszystkich prowincji polskich, a nawet o ileby się dało, całej Słowiańszczyzny.

Związek ten, jakkolwiek dużo wyższy od poprzednich, co do umiarkowania, wytrawności zasad i osób sterujących, chromał na zbytnią powolność w działaniu, błąkał się raczej w dziedzinie teorji niżeli czynu. W podziemnych, że tak powiem, dziejach polskich rewolucyj, zajmuje on miejsce francuskich Girondystów. Niedorzecznością przeto największą i bluźnierstwem byłoby przypisywać mu terroryzm, propagandę szaloną, komunizm itp. zarzuty, czynione wszelkim działaniom demokracji; bo jeśli czem upadł on, to zbytnią powolnością. Niektórzy członkowie zniecierpliwieni dłuższem bezpożytecznem przechowywaniem tajemnicy niebezpiecznej, mając rzecz za straconą, wyjawili wszystko dobrowolnie przed rządem, zapewniając sobie w nagrodę bezkarność. Tu należy zapisać nazwiska Hampla i Hellera, sekretarza związku. Znów więc jak wszystkie poprzednie, i ta trzecia epoka zakończyła się więzieniem, olbrzymiemi protokołami, płaczem i zgrzytaniem zębów. Pojmano Franciszka Smolkę, późniejszego Marszałka Sejmu Wiedeńskiego, Hugona Wiśniowskiego, jednego z najzacniejszych i najczystszych wyobrazicieli polskiej demokracji; pojmano z nimi kilku emisarjuszów emigracyjnych, sześćdziesięciu kilku spiskowych, kilkudziesięciu wojskowych

austrjackich, a gdy ci jęczeli po więzieniach Lwowa i Spielbergu, zaczęła się epoka czwarta i ostatnia, z którą i my zaczynamy niniejszy rys historyczny wypadków, w których braliśmy udział osobisty, o ile pamięć skreślić nam je pozwoli.

Po wydaniu tajemnic spiskowych Towarzystwa demokratycznego, nastała zupełna cisza w działaniach demokracji; więzienia były pełne, proces trwał przez lat cztery. Szlachta obojętnie patrzała na mniemanych swych wrogów i burzycieli porządku. Gdyby nie to uprzedzenie, nie dające się niczem wykorzenić, nawet w ludziach zacniejszych i szczerych patrjotach, gdyby nie uporczywa oziębłość z jaką odrzucano pisma demokratyczne, nie chcąc rozpatrzyć się w ich duchu — łatwo mogli się byli przeciwnicy przekonać, że nic w nich nie wnoszono, jak usamowolnienie wiejskiego ludu, zwrócenie stanów w obliczu prawa, i odzyskanie niepodległości narodu za pomocą tych środków. Były to jednem słowem zasady, których owoców inne ludy europejskie już używają, albo używać pragną. A jeżeli w demokratyczne doktryny u nas wsunęły się błędy jakie, prostując je lub odrzucając, trzeba było przynajmniej przyjąć to, co było dobre i prawdziwe. Podział gruntów, zrównanie majątków, komunizm itp. były to straszydła wymyślane przez rządy, a przez samolubów i głupców skwapliwie powtarzane. Lecz nie było na to rady, ni sposobu! Potwarz wzięła górę, zasady demokratyczne od szlachty wyszydzone, ba, nawet do zbrodni politycznych zaliczone, skryły się w piersi młodzieży i klas uboższych narodu, które częścią rozmyślnie, częścią instynktowo wyznawać ich nie przestawały, czekając stosownej pory. Wygodna ta lecz szkodliwa obojętność szlachty, owej odwiecznej przewodni-

czki narodu, była wielkim grzechem, przeciwko idei narodowej. Bo przypuśćmy nawet, iż jedna część narodu w skutek przebytych nieszczęść na tułactwie i przykładów u innych ludów widzianych za nadto wybujałe do kraju chciała wnieść nauki, iż nie była ona niczem innem tylko partją, w której znajdowali się źli ludzie, mający osobiste cele — czyż oddaniem ojczystej sprawy na łup tych mniemanych burzycieli, można było oddalić grożącą burzę?! Poznanie gruntowne rzeczy, oczyszczenie jej z błędów i samolubstwa, sprowadzanie jej na drogę praktyczną rozsądku i prawdy, wpływ moralny na młodzież i zapaleńców, mogły tu jedynie działać zbawiennie. Szlachta, posiadająca rozum i znaczenie, powinna była objąć ster przygotowujących się wypadków, z szczerym patrjotyzmem otrząść się z osobistości, poświęcić to, co od niej wymagała konieczność i duch czasu, a wpływając na lud wiejski, propagandę ludową chwycić w własne ręce, nie zostawując broni tej niebezpiecznej w ręku młodzieży, niedoświadczonej, nie posiadającej środków wykonania w czynie tego, co czczemi słowy między ludem rozszerzała.

Rozbrat pomiędzy chłopami a szlachtą trwa od wieków. Jakkolwiek bowiem da się łatwo rozprawiać o patryarchalnym stosunku dziedzica do swoich poddanych, nieugruntowanym jak tylko na złej lub dobrej woli tegoż, jakkolwiek w ostatnich zwłaszcza latach, po większej części dziedzice obchodzili się o dużo lepiej z swoimi poddanymi, a zdzierstwo i nieludzkość coraz rzadszemi się stawały — przecież ustawy rządowe same zostawiały obszerne pole do utrzymywania nienawiści, jaka od początku świata istniała pomiędzy panem a niewolnikiem, rozkazującym a podwładnym, bogatym a ubogim. Oprócz wymagania pań-

szczyzny, czynszów i danin, wykonywał pan jako władza na pół urzędowa sądownictwo, wybierał podatki, pobierał rekruta, słowem wykonywał wszystko, cokolwiek może być człowiekowi przykrem, przez co stawał się oczywiście najbliższym celem nienawiści.

Rząd austrjacki spokojnie patrzał na tę waśń pomiędzy dziećmi swojemi, bo jeżli Polska, mówią, stała nierządem, to Austrję trzymano niezgodą. Lud wiejski propagandą demokratyczną przebudzony z wiekowego letargu, i w części przyprowadzony do poznania swojej niedoli, nie widząc żadnej rzeczywistej zmiany swego położenia, niezdolny wzbić się nad codzienne stosunki swojė, całe złe przypisywał panom, którzy najbliższą byli mu zawadą. Biurokracja od szlachty przezorniejsza, przewidując grożące sobie niebezpieczeństwo nie zasypiała tej sprawy, którą szlachta całkiem zaniedbała. Przywdziawszy na siebie barwy demagoga, rzucała biurokracja zręcznie zarzewie przeciw szlachcie, i przeciw tym samym, co pierwsi tę iskrę rzucili; podczas gdy ci tylko groźnemi słowy szermowali, ona słowem i czynem głaskała namiętności ludu, stawając w jego obronie, i stając się jego pozornym dobrodziejem, ile razy sposobność do tego się nadarzała. Szlachta z założonemi rękami przypatrywała się wyścigom rządu z demokracją, nie troszcząc się, kto pierwej stanie u mety. Lud z natury swej bierny, a mimo fizycznej siły na duchu słaby i potrzebujący podpory, rad lgnie tam, gdzie widzi władzę. Szlachta tylko i rząd mieli ją tu w ręku; gdy więc pierwsza zrzekła się jej pod tym względem zupełnie, zwrócił on się do władz rządowych, które nie zrównoważone wpływem niczyim, stały się jedynym panem pola bitwy, i jedyną wyrocznią rozdrażnionego ludu.

Oto są przyczyny wszystkich nieszczęść naszych! Oto jest grzech ostatni, ciężący nad szlachtą polską! I cóż ona miała począć? — zapyta kto może? Nie wahamy się odpowiedzieć, iż powinna była znieść pańszczyznę, tę jedyną kość niezgody, i tym sposobem naraz zniweczyć wpływy waśniącego systemu rządzenia. Kto cokolwiek głębiej w rzecz wglądał, mógł przewidywać, iż ta zmiana wcześniej czy później nastąpić musiała. Na cóż więc było czekać ostateczności? Własność była tem naruszona? Może być! Ale cóż dzisiaj stało się lepszego? Czyż przepadliśmy dzisiaj wszyscy bez ratunku? Czyż ziemia nasza w step się zamieniła, dla tego że nie ma pańszczyzny? Zapewne, czyn taki byłby rewolucyjnym; ale czyż od czasu rozbioru kraju mogliśmy żyć inaczej? Rewolucja nie koniecznie zależy na gwałtownem zbrojnem powstaniu; nie tylko szabla lub pika jest bronią! Wojnę prowadzić można bez broni, a ta częstokroć jeszcze zgubniejszą się staje. Taką wojnę prowadzą i przeciw nam blisko od wieku. Gdyby w szlachcie był się odezwał rzetelny patrjotyzm, prawdziwe poświęcenie i głębokie przekonanie, że pod zgubnemi, exterminacyjnemi warunkami, nie ma dla nas nietylko pokoju, ale nawet zawieszenia broni — to po rozbiciu powstania 1830 roku, i po rozbrojeniu z żelaza, znalazłaby była broń inną, tę samą, którą później nas pokonywano. Jeżeli byt materjalny szlachty zależał od pańszczyzny, byt systemu meternichowskiego opierał się na waśnieniu kast. Dla czegóż on nie wahał się narazić chwyceniem się zasad demagogicznych w potrzebie? Oto dla tego, że w nadzwyczajnych razach do nadzwyczajnych środków uciekać się potrzeba, a jeżeli ostatnia chwila dla rządu absolutnego uderzyła dopiero w r. 1846, dla nas przyszła ona jeszcze w r. 1772.

Sześćdziesiąt lat daremnej walki powinny były nauczyć nas, iż półśrodkami nie dojdziem do celu; dla czegóż czekaliśmy ostateczności?

Tak więc nie na demokracji, nie na emisarjuszach ciąży cała wina; większą połowę jej noszą na sobie ci, co z natury stosunków społecznych postawieni na czele ludu, stanowiska swego nie pojęli. Nie przeczymy, iż gwałtownem takiem wstrząśnieniem majątkowe stosunki byłyby mocno ucierpiały, mylną atoli było obawa, aby Niemcy wykupili szlacheckie majątki. Niemcy pewno nie byliby spieszyli osiedlać się w kraju, gdzie przeciw Niemcom ciągła się utrzymuje niechęć. Zaś po osiągnieniu bytu narodowego we własnym kraju pewno byłyby się znalazły środki wynagrodzenia właścicieli, może nawet lepsze od dzisiejszych, a choćby nawet przyszło część poświęcić jaką, czyż systematyczne i ciągłe ubożenie przez zwrócone przeciw nam systemy rządzenia nie wydarły i tak z rąk szlachty powoli większej części jej mienia? Zarzuci może kto niepraktyczność w wymaganiu takiej ofiary od ogółu szlachty; odpowiadamy na to, iż byłoby wystarczyło w każdym obwodzie kilka przykładów podobnych, bo reszta mimowolnie dałaby się pociągnąć, jak się to stało roku 1848. Zarzuci kto może jeszcze, iż rząd byłby postanowił kary za darowanie pańszczyzny; otóż wątpimy bardzo, aby sobie był tak nieroztropnie postąpił, a gdyby nawet był tak uczynił, to byłoby się to obróciło na korzyść narodowego żywiołu.

II.

Przygotowania do organizacji spiskowej. — Przyjazd Teofila Wiśniowskiego. — Zawiązanie stosunków z Edwardem Dembowskim.

Około roku 1842—1843, pomimo zupełnej ciszy politycznej, przeczucie jakieś wiodło szlachtę do działania, choć byłto ruch dość szłamazarny i bezwładny. Objawiał się on po części publicznie. Na sejmach lwowskich poczęto wyrabiać projekt zniesienia pańszczyzny, i podano go do tronu. Wielu obywateli wpisywało się do stanów galicyjskich, aby pozyskać prawo udziału w naradach sejmowych. W prywatnem życiu objawiał się duch narodowy; francuzczyznę z salonów coraz bardziej oddalano, książki polskie coraz większy pokup znajdowały. W rzeszowskim obwodzie zgoła zawiązano rodzaj towarzystwa, wkrótce po całym kraju rozszerzyć się mającego, w celu podnoszenia narodowości, zaprowadzania szkółek wiejskich, ludzkiego obchodzenia się z chłopami, wspierania pism polskich czasowych, wykluczania zbytków, karciarstwa, pojedynków, procesów i t. p. wad towarzyskich. Jakkolwiek towarzystwo

to nosiło na sobie cechę półśrodkowości, miało ono to za sobą, iż zbliżało jednych ku drugim, zwracało uwagę na stosunki ludu, a z czasem rokowało może obszerniejsze rozwinięcie zamiarów. Podówczas właśnie przyszło wezwanie z emigracji, pochodzące podobno od partji księcia Czartoryskiego, wzywające do zbierania składek na szkołę dla dzieci emigrantów, założoną w Paryżu. Byłoto pierwsze działanie powierzone przez emigrację temu towarzystwu. Wyznaczono kwotę wynoszącą 5% od stałych podatków, którą każdy złożyć był obowiązany, ustanowiono po różnych stronach poborców, zdawało się, iż wkrótce znaczne wpłyną sumy. Lecz gdzie tam! Kollektorowie jedni nic nie zebrali, drudzy umyli ręce od wszystkiego, jedni wymawiali się niemożnością, drudzy zalewem wody, któren w latach tych istotnie poczynił spustoszenia, słowem, mało kto przyczynił się, a i to z niechęcią. Zaledwie tysiąc kilkaset franków wpłynęło do kasy.

W jesieni 1844 roku zjawił się był w kraju Teofil Wiśniowski, członek centralizacji Towarzystwa demokratycznego polskiego. Mając ze mną dawną zażyłość jako współwięzień z roku 1833—1836, do mnie udał on się najpierwej; celem posłannictwa jego było zebranie funduszu na założenie w emigracji szkoły wojskowej, w której młodzież miała się kształcić na zdolnych oficerów. Program nauk rozłożony był na dwa lata; potrzebne fundusze wynosiły zdaje mi się 80 do 100 tysięcy franków. Zebranie tej sumy nie tak łatwo mogło nastąpić, najmniej przeto potrzeba było lat czterech lub pięciu, zanim szkoła ta wydaćby mogła oficerów zdolnych do prowadzenia powstania. Leży w tem najlepszy dowód, że emigracja, czyli raczej Towarzystwo de-

kratyczne Wersalskie, na ten czas nie myślało o rychłem powstaniu.

Plan Wiśniowskiego rozliczne napotkał trudności. Przedstawiłem go celniejszym członkom wyż wspomnionego towarzystwa; jedni pomoc swą przyrzekli, drudzy półgębkiem czynili zarzuty, stanęło nareszcie na tem, iż obiecano połowę funduszów zebranych na ową szkołę dzieci emigranckich przeznaczyć na szkołę wojskową. Przy nadchodzącej zimie, Wiśniowski, nie będąc bezpiecznym w kraju, wyjechał do Jass w Mołdawii, zkąd miał na wiosnę powrócić, zostawując niektórym, a między innymi i mnie polecenie dopilnowania tej rzeczy. Trudności mnożyły się coraz bardziej, nikt, jednem słowem nikt nie chciał się zająć tą sprawą. Ci co w obec Wiśniowskiego pomoc przyrzekali, po jego odjeździe obwoływali go za demagoga, komunistę, nieprzyjaciela szlachty i t. d. Więc zwątpiłem już był zupełnie w skutek moich zabiegów, i napisałem o tem Wiśniowskiemu, nie odbierając jednak nadziei, aby za powrotem jego na wiosnę jeszcze się co zdziałać nie dało. Tymczasem, poświęcając się wyłącznie zatrudnieniom domowym, nie wyjeżdżałem nigdzie.

Jakoś w środku lutego 1845 r. zajechał przed domek mój człowiek młody, bez zarostu, z długim blond włosem, twarzy pociągłej i bladej, wzrostu średniego, ruchów niezgrabnych. Na pierwszy rzut oka wziąłem go za Niemca urzędnika. Jakże zdziwiło mię, gdy wkrótce oznajmił, że jest Edwardem Dembowskim i wręczył kartkę od Wiśniowskiego sympatycznym atramentem i kluczem pisaną, na której były krótkie te słowa: „Polecam ci oddawcę, bądź mu pomocny w jego zamiarach.“ Tem bardziej zdziwić mię to musiało, gdyż ten sam Wiśniowski w czasie swej u mnie

bytności, wystawiał mi Dembowskiego jako człowieka młodego, wielkich wprawdzie zdolności i poświęcenia, ale zapaleńca, co jeszcze w roku 1843, zawiązawszy w Warszawie wspólnie z Karpińskim spisek, gdy tegoż odkryto i uwięziono, uszedł do Poznania i tamże zajmował się literaturą. Wiśniowski opowiadał mi to z ubolewaniem nad nierozważnym tym krokiem, co obudził ostrożność rządu rosyjskiego i nowych ofiar przysporzył.

Dembowski oznajmił mi zaraz na wstępie, że jadąc z Poznania, gdzie pobyt Wiśniowskiego w Jassach był wiadomy, zrobił tamże wycieczkę, by z nim się porozumieć i zasięgnąć rady do kogo ma się udać w Galicji. Wiśniowski też wskazał na mnie, jako będącego z nim w najbliższych stosunkach. Ztąd to pochodzą stosunki moje z Dembowskim, które trwały nieprzerwanie aż do nieszczęść 1846 roku. Nie przewidywaliśmy niestety skutków, jakie z tego naszego poznania wynikną. Zbłądziliśmy wiele, nie przeczę, nierozważnym zapałem, zbytnią ufnością w świętość naszej sprawy i cnoty jej kierowników. Z zaparciem własnem rzuciliśmy się w odmęt — on odpokutował to z krzyżem męczeńskim w ręku na Podgórzu, kulą żołnierza austrjackiego zmieciony — a ja przeżyłem wiele i przecierpiałem, zniosłem prześladowania obcych i swoich... Patrząc na krew niewinną, nieraz doznawałem wyrzutów, iż przyłożyłem rękę do nieszczęsnego przedsięwzięcia tego; ale geniusz dziejowy pocieszał mię w chwilach zwątpienia, wskazując na to, iż w dziejach nic nie idzie marnie!

Wielkie cele bez wielkich ofiar obejść się nie mogą; krew w obronie bytu narodowego wcześniej czy później musi być wylaną. Jeżeli w 1846 roku Galicja krwią była zbroczona, to przy rozbiorze kraju zato ani jedna jej kropla

nie popłynęła w tej części Polski, okazującej już znaki zepsucia i zgnilizny... Potrzeba było wielkiej burzy, głośnego grzmotu i piorunów, aby oczyścić to powietrze z szkodliwej zarazy... Cienie pomordowanych ofiar! tam u źródła wiedzy złego i dobrego, gdzie nie ma przesądów i samolubstwa, gdzie znikła wszelka ziemskich rzeczy zawiłość, a wieki przechodzą jak fale w strumieniu i w jedną zlewają się całość — tam, u tronu Przedwiecznego, gdzie zapisane są złe i dobre chęci, cele i czyny — wy same wydajcie wasz wyrok na nas, bo wy i wy jedynie widzicie czystość zamiarów naszych! Może kiedyś nastąpi chwila, że i naród je oceni; my tymczasem niesiem przebaczenie naszym prześladowcom...

Po krótkiej przemowie, Dembowski oznajmił mi, iż w W. X. Poznańskiem zawiązany jest komitet kierujący wszystkiemi towarzystwami tajnemi całej dawnej Polski. Władza ta ma być złożona z wysłanników wszystkich polskich prowincyj, które (gdzie to jeszcze nie nastąpiło) mają u siebie zawiązywać komitety i z każdego wysłać po jednym członku do Poznania. Oznajmił mi, iż wysłannicy z Polski kongresowej i Litwy już nadjechali, bo prowincje te już się uorganizowały; brakuje tylko delegatów z Galicji i z ruskich zabranych krajów. W Krakowie zaś, gdzie miał polecone zawiązanie komitetu, natrafił niespodzianie na rzecz gotową, gdyż tam, nie wiedząc wcale o przygotowaniach Poznańskich i innych, zawiązało się towarzystwo w całem mieście i okręgu mocno rozgałęzione pod przewodnictwem komitetu z pięciu członków złożonego, któren w chwili przyjazdu Dembowskiego właśnie już był gotów wysyłać swoich emisarjuszów w celu poruszenia innych prowincyj i połączenia ich ku wspólnemu działaniu.

Dowiedziawszy się atoli od Dembowskiego o dużo dalej posuniętych pracach Komitetu poznańskiego, poddał swe czynności pod wspólny ten kierunek, sam się rozwiązując, i jednego z swych członków przeznaczając do mającego się zawiązać komitetu w Galicji.

Zadaniem więc Dembowskiego było, z moją pomocą zawiązać takowy jak najspieszniej, i wysłać zeń delegata do Poznania, jako ogniska wszystkich działań, poruczając pozostałym członkom kierunek miejscowego spisku.

Plan był mniej więcej następujący: 1) Po zawiązaniu komitetu wynajdywać wszędzie ludzi energicznych i z poświęceniem na agentów rozszerzających spisek i przygotowujących umysły do wkrótce mającego nastąpić wybuchu. 2) Zbierać daty statystyczne co do ilości ludzi, koni, broni, i zasobów potrzebnych. 3) Wywiadywać się dokładnie o rozkładzie i liczbie wojska stojącego w kraju, obmyślać sposoby nagłego napadu, rozbrojenia lub wytępienia sił nieprzyjacielskich, starać się usilnie, ażeby przeciw każdej załodze zebrać siły odpowiednie do jednoczesnego i skutecznego przedsięwzięcia. 4) Zbierać fundusze pieniężne, potrzebne do przygotowania i do początków powstania, a coby zbywało od potrzeb miejscowych, przesłać do komitetu głównego. Istnienie komitetów tak prowincjonalnych jak i miejscowych, miało być pojedyńczym członkom ile możności tajne, a tem bardziej osoby do ich składu wchodzące, dla uniknięcia zdrady, zazdrości, emulacji i t. d. Oprócz sił zgromadzonych przez spisek, głównie liczono na massy, zniesieniem pańszczyzny i poddaństwa poruszyć się mające. Myśl ta wcale nie była nowa, ani odstraszająca, a gdyby się była okazała tem w praktyce, czem była w teorji, powstanie bez wątpienia udaćby się musiało.

Zgadzała się na to nietylko demokracja polska i całego świata, ale i arystokracja, jak tego dowodzą pisma i mowy samego jej naczelnika, księcia Adama Czartoryskiego; zgadzał się nawet na to i rząd austrjacki, który w masach szukał ocalenia. Dębowski był przytem pełen wymowy i zapału, umiał dowodom swoim nie mało nadać uroku, kreśląc jaskrawemi barwy wielkość przedsięwzięcia, obfitość środków, mnogość spiskowych w innych prowincjach polskich, przy czem ubóstwo ducha i brak zapału w Galicji, dziwnie odbijały. Sądząc z opowiadań jego, powstanie miało lada chwila wybuchnąć; Galicją powoływano do współdziałania prawie jakby z łaski tylko, a jeżli tu nic zrobić się nieda, wybuch w innych prowincjach i tak nastąpi nieodzownie.

Jakkolwiek obraz ten był przesadzony, w pierwszej chwili nic mię nie upoważniało, ażeby kłam zadać Dembowskiemu, i owszem, wszelkie wiadomości, jakie mię z innych polskich prowincji dochodziły, popierały jego twierdzenia. I tak co do W. X. Poznańskiego, same pisma perjodyczne wydawane tamże dostatecznie już przekonywały, iż duch narodowy szerzy się tam i utrzymuje. W Polsce kongresowej nieustające więzienia i emigracje młodzieży polskiej, nieustające odkrywania spisków, wyrastające jedne z drugich, ucisk, prześladowania religijne i polityczne dawały rękojmię, iż są tam ludzie pracujący nad powstaniem, i podniecający nieustannie ogień niczem nie ugaszony. Dzieła: „Prawdy żywotne“ i „Katechizm demokratyczny“, tamże napisane, lubo wydane w emigracji, stanowiły niejako dowód, że duch rewolucyjny doszedł tam już do wysokiego stopnia. Niedawno przedtem, bo w roku 1844, wybuch przedwczesny pod przewodnictwem księdza

Szczególnego, sama nareszcie osobistość Dembowskiego, ta jego wprawa w spiskowaniu, ta gotowość i przejęcie się wskróś tą sprawą, których nie mógł nabrać za granicą, gdzie nigdy nie bywał, ale w kraju, w którym się urodził i wychował — wszystko to utwierdzało mię w mniemaniu, iż zeznania jego co do tej części Polski nie były przesadzone, że pominę tu już owe spiski pomiędzy wojskiem rosyjskiem i między oficerami, o których Dembowski umiał mi dużo rozprawiać, a które wiecznem były dotąd marzeniem, nie tylko mojem, ale znacznej części Europy. Czyż i dziś nawet, po tych przejściach i doświadczeniach, nie zwracają się oczy w tę stronę, przeczuwając wcześniej czy później nastąpić tamże mającą jakowąś ogromną burzę? Czas pokaże, jestli to rzetelne przeczucie, albo też zabobon polityczny. Co zaś do Krakowa, czyż nie znanym mi był dostatecznie duch owej kolebki narodowości polskiej, tego niezmąconego czysto polskiego źródła? Mógłemże na chwilę wątpić o wszelkiej tamże gotowości do powstania, gdzie od lat piętnastu zawiązywano spisek po spisku, a Zajączkowski foljały aktów inkwizycyjnych spisywał? gdzie policja nie mogła być tak ostro wykonywana, a więc i działania były łatwiejsze?

Gdzie tylko zatem rzuciłem okiem na kartę Polski rozdartej, wszędzie znajdywałem dowody na poparcie twierdzeń Dembowskiego, którym, nie przeczę, rad wierzyłem zupełnie. Jestto bowiem znana słabość ludzka, iż czego się pragnie gorąco, temu się i snadnie wierzy. A więc stawał mi przed oczyma obraz całej powstającej Polski, całej, prócz jednej Galicji, gdzie nie było żadnego przygotowania. Miałażby więc tylko ona tak ohydnie pozostać w tyle?...

Rezonowanie moje było następujące: Wprawdzie, myślałem sobie, wiele już rozpoczynano, i na niczem się skończyło. Zrażenie panuje ztąd wielkie, ależ dotąd tylko emigracja dawała początek, emigracja owa, która nie znając dokładnie członków miejscowych, pałająca żądzą powrócenia do kraju, częstokroć ludzi się tylko, i kraj naraża na nieszczęścia. Teraz, gdy inicjatywa pochodzi z kraju, gdy przeciwnie emigracja tylko podrzędną gra w tem rolę, zdawało mi sie, iż usuwać się od tego byłoby niegodnem. I dlaczegoż zresztą, miałbym tak postąpić? Jakież mógłem mieć powody Dembowskiego poczytać za kłamcę i szarlatana, kiedy, jak już mówiłem, miał on polecenie od Wiśniowskiego, znanego mi osobiście z prawości charakteru i umiarkowania, bo jeżeli mu można było co zarzucić, to chyba zbytnią powolność. Byłoż Dembowskiego odepchnąć od siebie, i umywszy ręce od wszystkiego puścić go pomiędzy młodzież i zapaleńców w średnich klasach, których było nie mało, ażeby sprawę tę oddać pod kierunek ludzi nieznanych, może z najlepszemi chęciami, lecz bez doświadczenia, a może też przeciwnie z doświadczeniem, a za to bez sumienia i bez wyboru w środkach?...

Dembowski w ogóle szlachty nie lubił, do galicyjskiej też szczególnie był uprzedzony. Zanadto oczytany w rewolucji francuskiej, nie strawił on jej zasad, żywcem stosował do niej wszystko, bez względu na różnicę polskich stosunków. Może nie bez przyczyny uważał on szlachtę galicyjską za leniuchów, fanfaronów, bez wykształcenia politycznego, ubiegających się za błyskotkami, bijących pokłony na salonach Krüga i Arcyksięcia, obojętnych na sprawę narodową. Ja, z mej strony, łagodniejsze miałem o szlachcie mniemanie; widziałem wiele złego, oburzała mię nie

mało obojętność i to zrażenie, jakie panowało do wszelkich przedsięwzięć rewolucyjnych — raziły mię szkalowania przeciw zasadom demokratycznym, któremi byłem przejęty, uważając je może nie tyle za cel ostateczny, jak za środek do wybicia się na niepodległość — nie wątpiłem jednak, iż, gdy przyjdzie stanowcza chwila, obudzi się ów patrjotyzm, znamionujący szlachtę polską, uśpiony tylko na chwilę mylnem widzeniem rzeczy, pressją biurokracji, lenistwem ku poznaniu prawdy, a może i niezręcznem postępowaniem demokracji, tak emigracyjnej, jako i krajowej, która swą rubasznością i gadatliwością, miasto przekonywać, obrażała dumę i zniechęcała. Nie dopuszczałem przeto nigdy, aby rozpoczynać dzieło z wyłączeniem szlachty.

Jakkolwiek działanie całe nie pochodziło z emigracji lecz z kraju, było ono poczęte na zasadach, przez Towarzystwo demokratyczne objawionych: nie uważałem jednak, aby w tych zasadach było coś grożącego absolutnem niebezpieczeństwem, lub zagładą szlachcie, bo silne miałem przekonanie, że nie szło tu o wydarcie majątków lub życia, jak to sobie szlachta uroiła, lecz tylko o zrzeczenie się pańszczyzny i przywilejów idealnych, które i tak po części pod rządem austrjackim *de facto* były zniesione. Widziałem więc, jak mało potrzeba było do zlania w jedno tych na pozór tak sprzecznych interesów; przekonany byłem, iż cała szlachta dobrze myśląca ani na chwilę nie będzie się wahać, aby zrobić to poświęcenie. Wielkopolanie, politycznem wykształceniem wyżsi, przystąpili już wtedy bez wahania z małymi wyjątkami do Towarzystwa; szło tylko o sposoby rozbudzenia wiary w tę sprawę i przekonania szlachty naszej, iż nie idzie tu o co innego, jak o powstanie narodowe. Mniemałem, iż gdy wybuch na-

stąpi, szlachta stanie na czele ruchu, weźmie w ręce kierunek sprawy, i zechce otrząść się z uspienia, w jakie ucisk biurokracji i opinja publiczna ją pogrążyły. W razie wybuchu w innych prowincjach ludowego powstania, przewidywałem, jakie czekają Galicję następstwa, jeśli odmówi swego współudziału. Wybuch ościenny (rozumowałem) pociągnie za sobą masy ludu, i postawi na jego czele zagorzalców, przez co powstanie w Galicji, bez poprzedniej organizacji, bez porządku i sumiennego kierunku poczęte, nietylko że upadnie, lecz pociągnie za sobą krwawe nie do przewidzenia zajścia. Niestety! przewidzenia moje sprawdziły się po części z tą różnicą, iż nie nasi to demagodzy, których się obawiałem, uchwycili ster ludowego powstania i kierowali go na swoją stronę. Niechaj mówi kto, co chce, była natenczas pora dla szlachty wziąć kierunek we własne ręce. Energiczne wystąpienie jeszcze na wiosnę 1845 roku, bezzwłoczne usamowolnienie ludu, nie na drodze legalnej przez rząd, ale z własnego popędu, nadając mu pozór ulżenia od ciężarów, które w owym roku po nieurodzajach i wylewach z przyczyny wielkiego głodu wielce były uciążliwemi— byłoby popsuło szyki intrygom biurokracji, przyciągając lud jeszcze wtedy na stronę szlachty.

Po wysłuchaniu wszystkich relacyj Dembowskiego, z rozpaczą przeczuwałem, iż w Galicji nie pójdzie tak łatwo. Posłałem natychmiast po mojego brata, o którego gotowości nie powątpiewałem, aby się wspólnie naradzić. Nie chciałem atoli nic rozpoczynać, bez porozumienia się najpierwej z członkami owego wyż wspomnionego towarzystwa rzeszowskiego, do którego należałem, i pomimo niechęci Dembowskiego, postanowiłem zaraz pojechać z nim do tych, na których najwięcej liczyłem, by całą rzecz im

przedstawić. Jeden przyjął nas z niedowierzaniem, nie odmawiając jednak pomocy, jeżli drudzy będą tegoż zdania; w innem miejscu, znaleźliśmy nadspodziewanie wielką gotowość, chętnie przyjęto nasze przedstawienia, obiecano porozumieć się z drugimi i na dzień 13 marca zdać sprawę o wszystkiem w Tarnowie. Nie poprzestając na tem, jeszcze w jedno pojechaliśmy miejsce, i tam nie źle nas przyjęto, lubo zawsze z odwoływaniem się do drugich.

Najwięcej chodziło mi o to, i nastawałem też mocno, aby wysłano kogoś do Poznania, w celu powzięcia dokładnych wiadomości i sprawdzenia naocznie relacji Dembowskiego. Proponowałem do tego kilku ludzi wiarogodnych, a mianowicie takich, co w 1831 służąc w legji poznańskiej, mieli ztąd w księstwie dawnych znajomych, do których Dembowski obowiązywał się dać polecenia. Proponowałem, by przekonawszy się o prawdzie, zawiązać komitet i wysłać jednego z członków na stały pobyt w Komitecie centralnym poznańskim. Propozycje te zbywano na pół obiecując, na pół odmawiając, i wszystko zostawiając na dylatę do decyzji innych, tak, iż nie można było wiedzieć, czego się trzymać. Tymczasem Dembowski naglił, bo zdawało mu się, że powstanie tuż jest za wrotami, i rozdmuchiwał tem samem we mnie niecierpliwość i oburzenie na to postępowanie szlamazarne w obec naglących okoliczności.

Powróciwszy z objażdżki naszej z Dembowskim, który wcale nie był zadowolony z przyjęcia, jakiego przedstawienia nasze doznały, uradziliśmy, iż on pojedzie do Poznania, dla zdania sprawy z tego, czego się dotąd po Galicji spodziewać można: na 13 zaś marca, w którym to dniu miał być jakiś teatr amatorski w Tarnowie, i zjazd rozmaitych obywateli, miał Dembowski powrócić tamże. Zale-

całem mu jak najusilniej, ażeby żądał od Komitetu naczelnego, by dla lepszej wiary i wpływu na szlachtę, wysłał jakiego człowieka nie młodego, nie emigranta, ale obywatela w W. Księstwie osiadłego, porządnym opatrzonego paszportem, nie mającego żadnej cechy emisarjusza lub propagatora, któryby się ze szlachtą tutejszą jako równy z równym porozumiał. Gdyby Dembowski był wykonał to moje polecenie, nie wątpię, iż sprawa byłaby inną przybrała postać; jego bowiem uważano za młokosa, nieznanego zapaleńca, słowem, nie dawano mu należytej wiary. Lecz nie wiem, czy ambicja, ażeby komu innemu nie zostawić tryumfu skutecznego działania, czy też nieufność i niechęć do szlachty były przyczyną, iż Dembowski nie wywiązał się z tego.

Stan rzeczy, jaki przez niego tymczasem przedstawiłem Komitetowi naczelnemu, był mniej więcej następującej treści. Co do szlachty, przedstawiłem ją jako zniechęconą do działań emisarjuszów emigracyjnych, nie mającą ufności w przedsięwzięcia demokratyczne, pomawiającą je o komunizm, chęć wydarcia jej mienia i rozdzielenia między tych, ktorzy go nie posiadają. Wystawiałem dalej, iż szlachta uważa emigrację za wynarodowioną, która teorje zagraniczne do kraju chce wprowadzić, a przedewszystkiem wywołać zaburzenia, któreby jej powrót usłały, bez wyboru środków, bez siły ni to w ludziach, ani w broni, ani też nadewszystko w pieniądzach, których w kraju jest brak wielki. W siły ludowe szlachta nie wierzy, bo chłop nie mający poczucia narodowości, pod wpływem rządu będący, nie ruszy się wcale, albo też jeśli da się poruszyć, to chyba tylko w nadziei zysków materjalnych. Co do stanu średniego przedstawiłem, iż ten lubo w Galicji nie istnieje *de jure*,

de facto, jest on tu liczniejszy niż w innych krajach Polski, gdy albowiem w Kongresówce i Poznańskiem wojsko i urzęda pochłaniają znaczną część uboższej klasy ludności, u nas wszystka uboższa szlachta i ludzie wykształceńsi zostają bez zatrudnienia, bez sposobu do życia prawie, tworząc stan średni, czyli raczej proletarjat. Liczyłem do tegoż mniejszych dzierżawców, oficjalistów prywatnych, synów mniej zamożnych właścicieli, młodzież mieszczańską, dependentów, adwokatów, bezpłatnych urzędników i t. d. i t. d.

Wszyscy ci ludzie, bez stałego zapewnienia bytu, nie mający nic do stracenia, wykształceniem wyżsi od ludu prostego, zasadami równości przejęci, gotowi są — mówiłem — na każde zawołanie. Oni to od lat kilkunastu spiskują i zaludniają więzienia Szpielbergu, Kufsteinu i Lwowa, z nich dałby się więc utworzyć silny zastęp, oczekujący tylko hasła, aby rzucić się do boju. Przedstawiłem zatem, iż na wypadek, gdyby szlachta stanowczo poruszyć się nie dała, spisek pomiędzy tą klasą ludności bez wątpienia da się wkrótce rozszerzyć, a wzrósłszy do znacznej potęgi, pod kierunkiem ludzi prawych i rozważnych, będzie mógł dać początek ruchowi rewolucyjnemu, i szlachtę mimowolnie za sobą pociągnie. Co do ludu, o tym wcale nie miałem ja wyobrażeń przesadzonych, i owszem, skreśliłem go jako massę martwą, żadnych wyobrażeń narodowych, ani politycznych nie mającą, która jednakże w razie, gdyby się udało za pomocą klas wyższych pochwycić władzę, przywykła do posłuszeństwa, da się poruszyć rozkazem, pochodzącym z góry. Przez darowanie zaś pańszczyzny, która od niejakiego czasu stała się jej coraz nieznośniejszą, da się sfanatyzować, i poprowadzić. Nakoniec dodałem, iż nigdy nie wątpię, ażeby szlachta nie dała się poruszyć, je-

żeli zaufa ludziom kierującym tą sprawą, i da się przekonać, że nie idzie tu o zaprowadzenie komunizmu, owego upiora, którym rząd umie zręcznie straszyć ją od lat kilku.

Takie to było moje sprawozdanie przez Dembowskiego przesłane, a jeśli było błędne, to nie moja w tem wina, bo natenczas było zgodne z mojem przekonaniem.



III.

Agitacja spiskowa rozpoczęta — Zawiązanie komitetu i podział jego czynności na wschodnią i zachodnią Galicję. — Raporta Jordana i Bobrowskiego o bezczynności w Poznańskiem krzyżują plany — Wyjazd do Poznania.

Po odjeździe Dembowskiego starałem się ile możności sondować opinię szlachty, ale rezultat badań tych wcale nie był pocieszający. Napotykałem wszędzie ten sam brak wiary, obawę zasad demokratycznych i wpływu emigracji, której nie można było pokonać.

Pod ten czas też nie wiem, czy rząd powziął jakie wiadomości z Poznania lub Krakowa o rozpoczętych działaniach, czy też prostym instynktem kierował biurokracją — dość, że udało się jej rozpuścić wieść, iż w Wielki piątek gotuje się rzeź szlachty przez chłopów; chłopów zaś straszono jakowemś wielkiem im grożącem niebezpieczeństwem.

Wieść ta najbardziej krążyła po obwodzie Bocheńskim i Wadowickim, tak dalece, że z jednej strony szlachta chroniła się do miast, a nawet znaleźli się tacy, co wprost pod opiekę starostów się oddawali, i z szyderstwem od nich przyjęci, zyskiwali zapewnienia, iż mogą być spo

kojni o siebie. Z drugiej zaś strony chłopi uzbrojeni w kosy i cepy rozstawiali nocne warty, zatrzymywali przejeżdżających, twierdząc, że jakaś czeka ich zdrada. Zkąd ta wieść poszła i co mogło być powodem do jej rozpuszczenia wtedy, jest mi dotąd zagadką; mogę bowiem zaręczyć, że z naszej strony jeszcze natenczas nie było żadnej propagandy; w jednym chyba Krakowie, gdzie spisek istniał już od jakiegoś czasu, mogło się było coś objawiać.

Nadszedł nareszcie ów dzień 13 marca; przybywszy do Tarnowa zastałem tam pełno niestworzonych bajek w powyższym rodzaju. Była to istna wieża Babilońska. Jedni mówili o uzbrajaniu się, zakupując pałasze i pistolety, drudzy szemrali po cichu wieści niepewne, wszyscy przygotowywali się do czegoś, nie wiedząc sami do czego. Z początku ucieszył mię ruch ten, bo był on podobny do ruchu rewolucyjnego; rozpatrzywszy się atoli bliżej, przekonałem się, iż większa część tych przygotowań była wymierzona przeciw owej mniemanej rzezi. Ci, co to niby głębiej na rzecz spoglądali, wprost czynili zarzuty, jakoby emisarjusze demokratyczni takową sprawić chcieli łaźnię.

Rozpacz brała na te niedorzeczne wnioski, próżne były wszelkie perswazje, na próżno odwoływałem się do pism demokracji, a nadewszystko do manifestu z r. 1836, owego wyznania wiary całego Towarzystwa demokratycznego. Znaleźli się tacy, co w samymże manifeście tym upatrywali komunizm, zaręczając słowem honoru prawdziwość swego twierdzenia Można sobie wyobrazić, jakiej nabierałem otuchy do działania z ludźmi takimi.

W tem nadjechał Dembowski, jak przyrzekł na 13 marca. W dwóch zatem tygodniach prawie odbył podróż tam i nazad, choć jeszcze wtedy kolei żelaznej nie było.

Przywiózł on wiadomość, iż w Poznaniu uwięziono kilku z młodzieży i rzemieślników, co nieco za daleko nieostrożność posunęli, zapewniał jednak, iż wypadek ten nie mógł wywrzeć żadnego szkodliwego wpływu na rzecz prowadzoną u góry z wielką oględnością i rozumnie. Wtedy to, pod wielkim sekretem, wyjawił mi, iż jednym z członków komitetu naczelnego, nieznanych mu co do reszty, jest Karol Libelt, i on to był, co wyprawił go imieniem Komitetu do Galicji. Nie przeczę, iż wiadomość ta wielce dodała mi otuchy, gdyż Libelta znałem z światłych pism jego, tchnących najczystszą miłością ojczyzny.

Z Dembowskim przybył jakiś człowiek około 50 lat mający, wysoki, chudy, mało mówiący, którego przedstawił mi jako obywatela z Poznańskiego, pod nazwiskiem Karola Gliszczeńskiego. W kilka miesięcy później dowiedziałem się, iż był to Wiktor Heltman, członek centralizacji Towarzystwa demokratycznego Wersalskiego. Obadwaj opatrzeni paszportami, Dembowski pod nazwiskiem Kowalskiego, Heltman jako Gliszczeński rozgościli się w mem pomieszkaniu, które w hotelu Krakowskim zajmowałem.

Wkrótce zjawił się też i ów obywatel z Rzeszowskiego, co przyrzekł zdać nam sprawę. Na pierwszy rzut oka można było poznać, iż nic on nam nie przyniosł dobrego; zaledwo zdolaliśmy go nakłonić, aby przyszedł do nas się rozmówić. Zaczął od ogólników, iż potrzeba być ostrożnym, że przysparzanie nowych ofiar sprawie nic nie pomoże, i nareszcie, że ci, z którymi porozumiał się, nie odmawiają wprawdzie swego współdziałania, ale nie wierzą, by w innych prowincjach było przygotowanie; wszystko zatem zostawiają czasowi. Całą rzecz tę, innemi słowami, trzeba było tak tłómaczyć. Oto: „Nie mamy cywilnej

odwagi na tyle, ażeby wam wprost odmówić, nie chcielibyśmy atoli, wdawać się w sprawę, gdzie nie przelewki i można się dostać do kozy: życzymy dobrze ojczyźnie, chętnie nawet przyjmiemy ją, gdy nam kto ją odbuduje, bylebyśmy nie narażali siebie."

Pytam się śmiało, co było robić naówczas? Czy było opuścić ręce i przez wzgląd na kilku tchórzów lub niedołęgów prowincję całą wyłączyć z działania i oddać na pastwę intryg biurokracji i wiecznej hańby w historji? Któż był upoważniony brać taką odpowiedzialność na siebie? Któż imieniem całej prowincji mógł był położyć *veto* na wszelkie zabiegi rewolucyjne, skoro, jak mówię, wiedziałem dobrze, iż oprócz szlachty znajdą się inne żywioły, które ująć w karby było najświętszym obowiązkiem?

W czasie pobytu naszego w Tarnowie, zjawił się tamże Leon Mazurkiewicz, były adwokat z Radomia, zbiegły w skutek spisku Szczegiennego, który z Dembowskim znał się dawniej, a teraz przypadkiem zeszedł się w Krakowie i ztamtąd za nim przyjechał. Ten, nie wiem zkąd i jakim sposobem, miał już adresa do niektórych osób w okolicy Baranowa nad Wisłą, gdzie wprost udał się z Dembowskim. Heltman pojechał do mnie na wieś, by przepędzić święta Wielkanocne, które w owym roku wypadały dnia 19 marca. W Wielki piątek powrócił też i Dembowski do nas, z swej nadwiślańskiej wycieczki. Nie mogąc wyjeżdżać dla niezwrócenia uwagi podróżowaniem w święta, zatrzymał się także u mnie. Powrócił on z nad Wisły z najlepszem usposobieniem, a zapoznał się tam z kilkoma osobami za pośrednictwem Małeckiego, dzierżawcy z Baranowa, zamordowanego później, który należąc dawniej do spisku, miał dosyć rozgałęzione stosunki, i przyjął wiadomości udzie-

one mu przez Dembowskiego z największą gotowością, przewidując jak najlepszy skutek. Mazurkiewicz został dla dalszego rozszerzania spisku w tamtej okolicy, gdzie było mnóstwo ludzi młodych, oficjalistów prywatnych, dzierżawców i t. d. Dembowski nie mógł dosyć się naopowiadać, jaką zastał różnicę w usposobieniu tych ludzi, od tego, któreśmy pomiędzy szlachtą spotkali. Poniekąd nie było w tem nic dziwnego, iż ludzie mający mniej do stracenia, mniej też się i namyślali. Jakkolwiek jednak nie narażali oni majątków, których nie posiadali, wolność i życie nie mniej było im drogie, a jednak nie wahali się go narazić. Czyż ci, co posiadają majątki nie powinni jeszcze bardziej życzyć sobie instytucyj narodowych? Jeżeli kto nic nie naraża, to i zyskać nie może wiele. Cóż bowiem ta ojczyzna dałaby tym, którzy nic nie mają oprócz chyba jednej równości w obliczu prawa? — gdy przeciwnie, zamożnym, instytucje narodowe, zmniejszenie ciężarów, otworzenie granic, uwolnienie rzek, rozwinięcie handlu i t. p. instytucje, tysiączne obiecywały korzyści, których pod rządami obcymi spodziewać się nie mogli.

Nie! trudno jest wszystko materjalnie obrachować i wytłumaczyć! Jest coś wyższego nad matematykę, są złe i dobre instynkta, kierujące ludzkością. Inaczej, stanęłaby ona w miejscu i nie byłoby postępu. Gdyby tylko rachuba ludźmi powodowała, musiałoby nareszcie zniknąć pojęcie narodowości, i ojczyzny. Znikłyby wielkie czyny, i wielcy ludzie z historji. Ludzkość zmarniałaby, zgniła, jak woda stojąca w stawie. Ludzie ruchu, ludzie czynu, tak zwani zapaleńcy, rzucający się na oślep bez wyrachowania, są w wielkiej machinie ludzkości, jak owe kółka, zwane w mechanice szaleńcami, które choć nie mają trybów, obrotem

swoim popędzają w ruch machinę. Bóg nie na to stworzył życie, aby stało na miejscu: nieustanny postęp, nieustająca walka, ciągłe doskonalenie się, jest przeznaczeniem tak pojedyńczego człowieka, jak całego zbioru ludzi pojedyńczych czyli ludzkości. Opatrzność wiedzie ją stopniami po złej i dobrej drodze, po mylnych ścieżkach i bezdrożach, dalej i dalej, aż do owego kresu, gdzie ma być jeden pasterz i jedna owczarnia.

Dembowski z Heltmanem, przez cały pobyt u mnie, mieli pomiędzy sobą tajemne rozmowy, mnie do nich nie przypuszczając. Jakkolwiek nie przeczę, iż ta mistyczność obrażała nieco moją miłość własną, wiedząc iż w spiskach są pewne stopniowania, tak, iż nie wszystkim wszystko się wiedzieć godzi, nie spierałem się o to. Z Heltmanem miewaliśmy dosyć żwawe rozprawy o chłopach: miał on bowiem przesadzone o nich wyobrażenia. Pamiętam iż raz, gdyśmy mowili o głosowaniu ogólnem, gdzie utrzymywałem, iż gdyby przyszło do tego, chłopi pewno nie obiorą nikogo ani ze szlachty ani z ludzi godniejszych, lecz raczej głos swój dadzą pokątnym pisarzom, pijakom lub wagabundom, w których największą ufność pokładają — Heltman oburzał się na to moje twierdzenie, utrzymując, iż lud nasz poczciwy pewno nie odmówi i szlachcicowi głosu, jeśli zasłuży na jego zaufanie. Przytaczam tutaj tę dysputę na dowód, iż zdanie moje o ludzie, nie było wtedy tak mylne, jak mi to pózniej przypisywano. Znałem dobrze jego wady, lubo nie przeczę, iż nie przypuszczałem, aby do tego stopnia dał się zbałamucić. Błąd ten mój podzielało wielu innych, pomimo albowiem niedowiarstwa i niechęci, które napotykałem, pomimo zdania, iż lud nie da się poruszyć.

śmiało zaręczyć mogę, iż nikt nie przewidywał, ażeby się na nas obrócił.

W Heltmanie poznałem człowieka światłego, pełnego dobrych chęci i poświęcenia, z charakterem łagodnym i wcale nie terrorystę, za jakiego później go okrzyczano. Ubolewał on nad brakiem wykształcenia i ciemnotą szlachty galicyjskiej; nigdzie atoli nie spostrzegłem w nim jednostronności i nienawiści ku tejże, pomimo przesadzonych i niepraktycznych wyobrażeń o cnotach ludu wiejskiego. Po świętach pojechał on z Dembowskim ku Lwowu, zkąd dopiero w parę tygodni wrocili razem z Wiśniowskim, którego gdzieś w Zaleszczyckiem spotkali.

Przez ten czas nie zaszło nic godnego wspomnienia. Wszyscy trzej bawili u mnie przez dni parę, naradzając się częścią wspólnie wraz ze mną, częścią pomiędzy sobą. Z narad tych wynikło nareszcie, iż ja z Dembowskim miałem zająć się organizacją sześciu obwodów, aż po San; Wiśniowski brał na siebie resztę. Heltman odjechał do Poznania; Dembowski odprowadził go do Henryka Rogalińskiego, mieszkającego natenczas w okolicach Dunajca, zkąd miał zrobić wycieczkę w obwód Bocheński, gdzie Mazurkiewicz już był naprzód pojechał.

Henryk Rogaliński, dawny mój kolega i współwięzień z r. 1833—1836, znany z dobrych chęci i gotowości, właśnie był w czasie świąt przypadkiem zjawił się u mnie. Nie wahałem się oznajmić mu o tem, co się przygotowuje, przemilczając jednak o mającym się tworzyć komitecie, do którego chciałem wybrać ludzi mniej widoczną cechę na sobie noszących i nieskompromitowanych w dawniejszych robotach. Przyjęliśmy go zatem tylko do związku, poruczając mu, ażeby jako nasz agent, agitował

w okolicy, gdzie był zamieszkały. Polecenia te przyjął on chętnie i poczciwie, nie tracąc nadziei, iż wszelkie trudności dadzą się pokonać. Znając jego energję i wpływy, nie wątpiłem, iż wywiąże się godnie z danych mu poleceń, rad będąc, że działania już się tym sposobem na dwóch punktach rozpoczęły.

Mazurkiewicz był to człowiek młody, prostoduszny, otwarty, aż do prostoty, a lubo niewyrównał Dembowskiemu wykształceniem i nauką, poświęceniem bez granic i zręcznością w spiskowaniu nie ustępował mu wcale.

Niedługo po wyjeździe Dembowskiego w Bocheńskie, ja pojechałem na jarmark do Rzeszowa, gdzie szlachta z całego prawie kraju się zjeżdżała. W czasie tego jarmarku przyjechał tam i Dembowski z Mazurkiewiczem. Umieściwszy ich jak mogłem najbezpieczniej, wziąłem na siebie działanie pomiędzy szlachtą jarmarczną. Zabrawszy przeto ze sobą pakę książek i broszur emigracyjnych, które od roku 1844 poruczone mi do sprzedania leżały dotąd u mnie bez pożytku, bo nikt ani czytać ani kupować ich nie chciał, starałem się ile możności ro puścić je częścią za pieniądze, a więcej darmo: chcąc przez to niejako rozjaśnić opinję. Co tylko młodsze, żwawsze i ruchawsze, z zapałem przyjmowało oświadczenia moje Starsi, ociężali, zawsze w jednem trwali usposobieniu. Brak pieniędzy na wszystkie te przygotowania i roboty, na podróże i przesyłki już wtedy uczuwać się dawał. Chciałem więc przy najmniej uzbierać składkę, i udawałem się o to do wielu zamożnych obywateli, i po długiej żebraninie... wstyd powiedzieć — uzbierałem 70 złr. m. k. *)

*) Kiedy później w toku inkwizycji ok liczność tę zeznałem, urzędnik prowadzący badanie, nie chciał wierzyć temu. A gdy

Z Rzeszowa rozjechaliśmy się w rozmaite strony; Mazurkiewicz, zaznajomiwszy się z kilkoma Sanoczanami, pojechał z nimi. Dembowski udał się z kilku młodymi ludźmi w Jasielskie. W Bocheńskiem zawiązali oni byli niektóre stosunki. Ja powróciłem do domu, oczekując od nich wiadomości.

Zbytecznem, a nawet niepodobném byłoby tu opisywać dzień po dniu działania nasze; nie da się wymienić wszystkie osoby, ani też można spamiętać, kiedy kto do związku naszego przystępował. Poprzestanę więc tylko na opisaniu tego, co stanowczy wpływ wywarło na dalsze działania nasze, to tylko zaręczając sumiennie, iż dotąd nie zaniedbaliśmy prawie dnia ani nocy, ażeby nie użyć go do naszych celów.

Z miejsca na miejsce, z wózka na wózek się przenosząc, Dembowski, mój brat i ja, którzy składaliśmy tymczasowo cały komitet, ciągle byliśmy w ruchu, rzucając się na wszystkie strony z mniejszym lub większym skutkiem. Spisek rozszerzał się pomiędzy średnią klasą szybkim krokiem, pomiędzy szlachtą leniwie, lubo w tem nie była wina nasza, bo nikogośmy nie wyłączali, i gdzie tylko nie było obawy zdrady, lub wielomowstwa, tam próbowaliśmy szukać przystępu. To też prawie cała szlachta, w sześciu powierzonych nam cyrkułach wtajemniczoną była przynajmniej o tyle, że o związku naszym wiedziała. Byli to wszyscy jakby honorowi człon-

mu zaręczałem, iż składka więcej nie przyniosła, z szyderstwem zrobił mi uwagę: „Przyznam się panu, iż mogłeś ztąd powziąć dowód, że w Galicji nie wiele możesz liczyć na patryotyzm!“ Żałowałem, iż dałem mu powód do tej uwagi.

kowie towarzystwa naszego. Czynnie nikt z nich nam nie dopomagał, pieniędzy nikt nie dawał. Własnemi funduszami, najczęściej pożyczonemi na lichwę, opędzało się wydatki na podróże, posyłki, opłacanie ajentów niemających sposobu do życia a potrzebnych nam w niektórych punktach, i t. d.

Jakoś w maju poznał się był Dembowski z hrabią Adolfem Bobrowskim, zamieszkałym w cyrkule wadowickim w Grojcu, do którego on miał rekomendację od znajomych z Poznańskiego. Zacny ten obywatel pierwszym był z zamożniejszej szlachty, co z całą szczerością oburącz chwycił się naszej sprawy. Przyjęliśmy go jako czwartego członka do komitetu naszego, nakłaniając usilnie, aby jechał do Poznania. Osoba jego była nam nader pożądanym nabytkiem. Bobrowski, oprócz zalet osobistych i szczerego patrjotyzmu, jako człowiek zamożny i posiadający w społeczeństwie wyższe stanowisko, miał wielkie wzięcie i wpływ na szlachtę, i nie mógł być posądzonym o ideje komunistyczne lub demagogiczne, gdy ja przeciwnie, jako więziony i prześladowany od rządu, mający styczność z emigracją demokracyjną, nosiłem na sobie piętno demagoga i Bóg wie jakiego tam ludożercy. Sądziłem przeto, iż przezeń da się wiele poruszyć, a znając go osobiście, gdyż należał do owego pseudotowarzystwa w Rzeszowskiem, wiedziałem, iż jest to człowiek energiczny, i jedyny z owego grona, co chciał mu nadać mniej szlamażarne dążności.

Bobrowski wybierał się w lecie do Salzbrunn dla poratowania zdrowia, podejmował się więc ztamtąd dojechać do Poznania. Rad byłem, iż przecież znalazł się ktoś, co na tę podróż się zdecyduje, i przywiezie nam wiadomości pewniejsze. Tem bardziej oczekiwałem tego z upragnieniem,

gdyż z wielu stron zapewniano mię, iż sprawozdanie Bobrowskiego ufność pozyska.

W tym czasie rozszerzył się spisek dosyć znacznie, tak w samym Tarnowie, jak i w jego okolicy. Około Ryglic, Zakliczyna, Pilzna, Zassowa, mieliśmy agentów naszych. Rogaliński począwszy od Dunajca aż do Mendrzechów, czynnie zajął się rozszerzaniem spisku, który nie mało liczył już sprzysiężonych. W tym to czasie przyjęliśmy byli do związku Tyssowskiego, który działał na oficjalistów ks. Sanguszki w hrabstwie tarnowskiem i na samo miasto Tarnów.

W czerwcu 1845, stały rzeczy bardzo dobrze, bo tyle już było spiskowych, że w kilku miejscach możnaby było rozbroić słabe załogi wojska. Ajenci nasi czynili nam nawet nadzieję, iż pomiędzy wojskiem potrafią zawiązać stosunki, z czem jednak kazaliśmy się wstrzymywać do dalszego czasu. Pomiędzy lud wiejski nie puszczaliśmy żadnej formalnej propagandy, wszystkie zatem wieści o emisarjuszach przebranych, apostołach rzezi i. t. d. są czczym wymysłem tchórzów i nieświadomych rzeczy. Dembowski, Mazurkiewicz i inni przez nich wybrani, a przez nas, jako komitet, potwierdzeni agenci, mieli polecenie działać wyłącznie na średnią klasę lub na szlachtę. Propagandę pomiędzy chłopów pozostawiliśmy na później. Jeżeli zaś tu i owdzie ktoś ze spiskowych przemowił nawiasem, chcąc przez to wybadać usposobienie, nie było w tem nic dziwnego ani też zdrożnego, ba, nawet nie mogło być inaczej. Ja sam nieraz z moimi mówiłem z daleka, pokazując im nadzieję wkrótce nastąpić mających zmian w stosunkach poddańczych, i skasowanie pańszczyzny. Przyjmowali oni to dość obojętnie, mówiąc: „Niechaj Bóg dopomoże tym, co chcą

dobrze". Gdzieniegdzie wyraźniej oświadczyli swe dobre chęci, a nigdzie nie dało się spostrzegać sprzeciwiania.

W czerwcu pojechałem z Dembowskim do Bobrowskiego w Wadowickie, dla ostatecznego rozmówienia się z nim, i dania mu poleceń do Poznania, gdzie miał już wkrótce wyjechać. Mówiliśmy wiele, zdaliśmy mu raport z wszystkich czynności naszych, ja na boku polecałem mu najusilniej, ażeby jak najprędzej przywiózł nam pewne wiadomości, bo dotąd, mówiłem, działając na oślep i spuszczając się tylko na Dembowskiego zabrnęliśmy tak daleko, iż trudno będzie długo tę rzecz utrzymać. Bobrowski uznawał to wraz ze mną, przyrzekł jak najspieszniejsze działanie, i odjechałem spokojny, by udać się natychmiast do Lwowa na czas kontraktowy, i tamże się z Wiśniowskim porozumieć.

We Lwowie zupełną zastałem ciszę: oprócz kilku młodzieży akademickiej, Hugona Wiśniowskiego, dawnego mego przyjaciela i najczynniejszego członka wszystkich tajnych Towarzystw, jakie istniały od roku 1830, natenczas ledwo co wypuszczonego z czteroletniego więzienia, mało kto wiedział o przygotowaniach naszych. Przez czas pobytu mego we Lwowie, mówiłem z różnymi obywatelami; a gdy atoli organizacja tamtej części Galicji, jak to już wprzód mówiłem, poruczoną była Teofilowi Wiśniowskiemu, bez jego wiedzy nic stanowczego przedsiębrać nie mogłem; wezwany też do niego, wyjechałem o parę mil od Lwowa, by się z nim porozumieć. Jako członkowi centralizacji, a przeto upoważnionemu do posiadania wszystkich tajemnic, zdałem mu szczegółowy raport z czynności naszych. Wiśniowski ucieszył się mocno z takiego tychże postępu, nie tając, iż w jego zakresie prawie nic dotąd nie było uor-

ganizowane. Chciał on utworzyć najpierwej komitet, a związek dopiero potem rozszerzać. Do tego komitetu miał zaledwie dopiero dwie czy trzy osoby upatrzone, które nie mieszkając w jednej okolicy, ale opodal od siebie, trudno było sprządz do energicznego i sprężystego działania. W dwunastu przeto cyrkułach wschodnich, nie było natenczas nic, oprócz kilku pojedyńczych ajentów, których czynności nader były ograniczone. We Lwowie nie rozpoczynał on żadnych czynności, bo miasto uważał za łatwiejsze do uorganizowania, a pod okiem policji, działanie było niebezpieczniejsze. Wybierał on się w tych czasach do Poznania, dla powzięcia bliższej wiadomości, polecając mi tymczasem zkomunikowanie się z niektóremi osobami na kontrakty przybyłemi. Nie szczędząc usiłowania, wypełniłem jak się dało to polecenie, napotykając na te same co i u nas trudności. Szlachta i znakomitsi mieszczanie przyjęli mię z niedowierzaniem, każden odwoływał się do późniejszego czasu i bliższego przekonania, a gdy oświadczyłem, że od nas ma jechać wysłannik do Poznania, chciano czekać na powrót jego. Widziałem się jeszcze raz z Wiśniowskim, i zdałem mu raport z poleconych mi czynności, i wcale niezadowolony powróciłem do domu.

Było to w początkach lipca. Bobrowski powinien był niezadługo powrócić już z podróży swej, tymczasem niespodziana śmierć siostry wstrzymała go tak, że natenczas jeszcze nie wyjechał, a Dembowski, co pojechał naprzód do Poznania, gdzie miał się z nim zjechać, wkrótce powrócił sam, bez widzenia się z nim. Przywiózł on olbrzymie wiadomości o pracach poznańskich, zastał tam już jak mówił, Mierosławskiego i plany jego, według których mieliśmy działać. Oprócz komitetów naszych, tworzone miały by

w całej Polsce komitety wojskowe, składające się z samych uzdolnionych oficerów, którzy mieli po części przybyć z emigracji, po części znajdywali się w kraju. Zadaniem ich było robić plany, mapy okolic główniejszych, obmyślać przygotowanie do uzbrojeń, przeprawy przez rzeki, miejsca zborów, plany napadów na pojedyncze punkta, i t. d. W tym celu nakazano nam wyszukiwać byłych wojskowych polskich uzdolnionych i podawać ich listę komitetowi naczelnemu. Było to zadanie dosyć trudne, bo nietylko, że takowych oficerów bardzo mało było w Galicji, ale i ci, coby się byli znaleźli, pewno najtrudniej daliby się poruszyć; nie mieli oni bowiem nigdy wiary w siły powstańcze.

Tak było w roku 1831, tak też i teraz. Z szyderstwem pytali oni nas o ludzi, broń, amunicję, na jednego nieprzyjacielskiego żołnierza domagali się przynajmniej dwóch uzbrojonych powstańców; gdy my, przeciwnie, liczyliśmy jednego powstańca z duchem i odwagą, na trzech lub czterech żołnierzy. Nie przeczę, iż rachuba nasza nie była nader praktyczna, ale też i panowie wojskowi w wymaganiach swych przesadzali. Wiemy bowiem z doświadczenia, że kilku lub kilkunastu ludzi zdeterminowanych, nieraz tłumy najemnego żołdactwa rozbijało. Wszak działo się tak na Litwie i Wołyniu w roku 1831, a nawet w samej Warszawie napad na Belweder garstka młodzieży wykonała. Wszak w roku 1809 nieraz jeden lub dwu ułanów polskich, całe oddziały żołnierzy austrjackich brało do niewoli.

Będąc we Lwowie u znaczniejszych spiskowych z roku 1841, powziąłem wiadomość o rozmaitych członkach tego rozbitego sprzysiężenia, rozproszonych po różnych okolicach

zachodniej Galicji, z których jedni, wysiedziawszy więzienie czteroletnie inkwizycyjne, zostali na wolność wypuszczeni, innym udało się nie być wcale pociąganymi. Ile więc można było odszukać ludzi podobnych, użyliśmy ich polecając im ajencje. Takie rozbitki dawnych związków stanowiły zawsze treść nowych, około nich gromadzili się młodzi, bo w nich jako doświadczonych nie ustająca była rezerwa. Tymczasem Wiśniowski wrócił z Poznania ku końcowi lipca. Zjechaliśmy się więc wszyscy, t. j. ja, mój brat Michał, Dembowski, Mazurkiewicz, a do nas przybył i Ludwik Gorzkowski, członek byłego komitetu krakowskiego i naradzaliśmy się u pewnego obywatela pod Dąbrową.

Gorzkowskiego poznaliśmy tam po raz pierwszy. Ten nietylko że potwierdzał nam wszystkie opowiadania Dembowskiego co do Krakowa, ale sam z niezwykłą zapalczywością, jako najczynniejszy członek krakowskiego spisku, rozpowiadał nam wiele interesujących szczegółów o tymże, z czego zdawało nam się być pewnem, iż przygotowania tamże gotowe są każdego czasu do wybuchu. Osobistość Gorzkowskiego, jego prostota w opowiadaniu i nieudana gotowość, wzbudziła w nas zaufanie i ujęła nas wielce. O ile ten człowiek później usprawiedliwił to nasze przekonanie, sądzić nie mogę. Nie będąc albowiem świadkiem zdarzeń krakowskich z roku 1846, opisywać ich nie myślę, zostawując to komu innemu; to tylko zapewnić mogę, iż wtenczas nic nam nie pozostawił do życzenia. Bez środków materjalnych, bez znaczenia osobistego, z wątłem zdrowiem, skołatanem w więzieniu, był on duszą całego spisku, a jak twierdził, poruszał masę mieszczan, młodzieży, a nawet chłopów, czekających tylko jego skinienia. O ile twierdzenie to jego było prawdziwe, czas podobno inaczej okazał,

ale w działaniach spiskowych, gdzie wszystko okryte jest tajemnicą, trudno jest o liczby matematyczne. Zaufanie dobra wiara, musi tu zastąpić cyfry; biada temu, kto zaufania tego nadużywa!

Wiśniowski bardzo skąpo udzielał nam powziętych w Poznaniu wiadomości. Był on zwykle ostrożny i małomowny, aż do mistycyzmu; wierzący silnie w sprawę narodową i ideę demokratyczną, ale zanadto ufający w nieomylność centralizacji Wersalskiej, której był członkiem. Raziła nas nieraz mocno ta wiara w nieomylność, jakiej żądał i od nas, ślepa wiara i posłuszeństwo, bez zagłębiania się w tajniki, których nam się odkryć wzbraniał. Dembowski i Gorzkowski szczególnie, oburzali się na ten mistycyzm jego; ja będąc z nim od dawna w bliższych stosunkach i znając go z tej strony, a mniej też ufając w moje własne zdolności i siły, chętniej mu się poddawałem, wierząc więcej w mądrość utajoną, która później, niestety, nie wielką się okazała.

Z narad naszych wypłynęło, iż dwanaście wschodnich cyrkułów pozostaną i nadal pod dyrekcją Wiśniowskiego, my zaś naszą część będziem obrabiać po staremu, bez odwoływania się zobopólnego, aż do stanowczej chwili Co do przysłania owego wysłannika do szlachty z Komitetu Poznańskiego, o co od początku nalegałem, a nalegania moje przez Wiśniowskiego powtórzyłem, odwleczono rzecz tę na później, odwołującej się do przyjazdu Bobrowskiego, którego bytność w Poznaniu Dembowski był zapowiedział. Jakoż Bobrowski wybrał się przecież dopiero w sierpniu do Salzbrun, zkąd miał jechać do Poznania.

Czynności nasze szły dosyć jednostajnie. Ciągłe jazdy moje po różnych okolicach, głuche poszepty umyślne, czy

też bezmyślne, wytykanie mię palcami w całym kraju, jako zapaleńca, komunistę i demagoga, zdawało się, iż koniecznie muszą baczność rządu na mnie obrócić. Tymczasem w niczem się to postrzegać nie dało.

Pewnego razu, jadąc z Dembowskim z Sandeckiego, gdy stanęliśmy na popas w Zakliczynie, wchodzi do stancji naszej respicjent od akcyzy, oznajmując z urzędową miną, że ma denuncjację, jakobyśmy wieźli zakazane towary, musi zatem przedsięwziąć w bryczce naszej rewizję. Towarów żadnych nie mając, nie przeląkłem się tego wcale, a owszem rad będąc, iż nie idzie tutaj o Dembowskiego osobę, o co w pierwszej chwili się zatrwożyłem; nadrabiając zatem miną chętnie przystałem na rewizję, i asystowałem jej wraz z Dembowskim. Sześciu akcyzowych strażników rzuciło się na bryczkę naszą, gdy my nie szczędziliśmy żartów głośnych z tej niepotrzebnej fatygi. Te żarty jednak nasze nie wyszły nam na dobre. W tłumoczku bowiem miałem kilka książek i broszur zakazanych, które już na bok odłożono. Respicjent rozdrażniony żartami naszemi dopiero począł je oglądać, a choć tytułu nie rozumiał, biorąc za pretekst, iż są we Francji drukowane, zabrał je jako obcy towar tylko, bo ani w głowie mu nie postało, żeby to miało jaką wagę polityczną. Później dopiero, w drugim roku, już do więzienia we Lwowie, przysłano mi rozkaz z urzędu finansowego, ażeby zapłacić kontrabandę za jeden funt i kilkanaście łutów zagranicznych książek. Z pustym śmiechem zapłaciłem ten gulden, rad, że się na tem skończyło.

Dla odwrócenia wszelkich możliwych podejrzeń rządu, wybrałem się niezadługo jako członek stanów galicyjskich, w mundurze stanowym przy szpadzie i w kapeluszu stóso-

wanym na sejm postulatowy do Lwowa. Był to ostatni sejm tego rodzaju.

Lwów zastałem spokojny zupełnie, a lubo dochodziły tam z naszych stron niepewne wieści o jakichsić zaburzeniach wkrótce nastąpić mających, lubo znaleźli się nawet tacy z pomiędzy obywateli, co czynili na to gubernatora Kriega uważnym, zapytując go, jakie rząd przedsiębierze kroki, aby pokój w kraju utrzymać — Krieg zapewnił ich, iż nie ma w tem nic strasznego, a w najgorszym nawet razie, zaburzenia nie potrwają więcej nad trzy dni, poczem będzie sto lat pokoju. Szlachta sejmowa powtarzała z zadowoleniem ten dowcip pana Gubernatora, posiadając ślepe zaufanie w niezmierną mądrość rządu, który tak lekko waży sobie sobie siły burzycieli porządku. Nie będę ja się tu rozwodził nad brudotą takiego postępowania niektórych obywateli, jakże bowiem nazwać takie ostrzeganie gubernatora, jeżeli nie denuncjacją? Był to natenczas nowy wynalazek *ad hoc* wymyślony denuncjacji pośredniej, czyli zręcznego szpiegostwa, które jako w usługach swych najgorliwsze, a przy tem najtańsze, musiało się podobać rządowi. Była to nikczemność i z tego względu, że zrzekano się siły własnego rozumu, i wszelkiej ufności w władzę swą moralną, czy to ku odwróceniu mającej nastąpić burzy, czy też ku objęciu kierunku sprawy narodowej.

Ta wiara w nieomylną mądrość rządu, była jedną z najgłówniejszych wad szlachty naszej aż do ostatnich czasów. O ile usprawiedliwiły ją wypadki, najlepiej okazał rok 1846. Czyż bowiem rząd silny, mądry i sprawiedliwy mógł na prawdę myśleć, że wybuch, przy rozpasaniu wszystkich namiętności, chociażby tylko trzechdniowy, lepszym jest, niż wczesne zapobieżenie onemu? Łatwo to dało się

powiedzieć, że za trzy dni spokojność nastąpi, ale czyż można było być pewnym tego? Niechaj co chcą mówią wielbiciele wysokiej mądrości Kriega, jest to fałsz, aby on już wtenczas wiedział o zamiarach naszych, i matematycznie wyrachował, że powstanie przytłumi. Wiedział on coś o machinacjach partji rewolucyjnej, ale za lekko je ważył. Mniemał, że kilku studentów lub jakich tam włóczęgów spiskuje, ale o rozległości spisku i styczności z innymi prowincjami, nie miał wyobrażenia.

Na ówczesnym sejmie lwowskim toczyła się kwestja o zniesienie pańszczyzny. Większość była zatem, aby na legalnej drodze z pomocą rządu zamienić ją na czynsze, lub na wykupno. Krieg sprzeciwiał się temu, i łudził obietnicami wszelkich używając sprężyn, aby rzecz tę zniweczyć. Szlachta z całym zapałem rzuciła się pomiędzy sobą; jedni za, a drudzy przeciw projektowi temu. A nawet i ci, co wiedzieli o robotach naszych, czyto przez niedowiarstwo, czy też rozmyślnie, chcąc przezto wydrzeć nam broń z ręki, popierali na serjo sejmowe owe projekta, jak gdyby nic innego wkrótce nastąpić nie miało. Przysłuchiwałem się temu wszystkiemu z oburzeniem, nie mięszając się do dyskusji, bo wiedziałem, iż do niczego one nie prowadzą; żal mi tylko było niepotrzebnej straty czasu wtedy, gdy o czem innem myśleć należało.

Zniecierpliwionemu w czasie jednej sesji takowej przyszła mi myśl, ażeby pojechać do Poznania. Gdy to niektórym ze znajomych objawiłem, straszyli mię, iż się tylko tem skompromituję, bo paszportu nie uzyskam; ciągle bowiem nie odstępowała ich ta wiara w mądrość Kriega, a za nią przekonanie, iż on już wie o wszystkiem. Nie dałem się zbić tym uwagom, a udawszy się do konsyljarza Zale-

skiego, od którego to zależało, bez żadnej trudności paszport otrzymałem. Wyznać to muszę, iż wszelki fałsz i obłuda tak mi są przeciwne, że z uczuciem przykrości przyszło mi nadużyć tej jego grzeczności; miałem jednak i w tem dowód nowy, iż rząd nie wie o niczem, bo przecież jeżeli już w wysokiej mądrości swojej przeszkadzać nie miał zamiaru, to trudno przypuścić, ażeby chciał wybuchowi pomagać. Otrzymawszy tedy paszport powróciłem do domu, ażeby się do dalszej podróży przygotować.

Było to w końcu września 1845 roku. Na pierwszy listopada miałem stanąć w Krakowie, by ztamtąd w dalszą puścić się drogę. Przez cały październik oprócz ciągłych przejażdek i rozszerzenia spisku, przyjmowaniem coraz nowych członków w rozmaitych stronach kraju, nic nie zaszło godnego wspomnienia. Bobrowski nie zgłaszał się wcale, nic nie wiedzieliśmy o nim.

W końcu października wybrałem się z Dembowskim w drogę. Na noc zajechaliśmy do Władysława Dąbskiego, gdzie zwykła bywała stacja nasza. Tam poznaliśmy Władysława Jordana, przybyłego z Poznania. Oznajmił on nam, iż w Komitecie naczelnym postanowiono odwołać Dembowskiego z Galicji, polecając jemu (Jordanowi) aby go zastąpił. Pomimo że Jordan był pełen zdolności i mógł mieć więcej wpływu na szlachtę, pomiędzy którą, lubo sam był z Kongresówki, miał wielu krewnych i znajomych, Dembowskiego jednak nie mógł on zastąpić skutecznie. Stosunki tegoż były najwięcej pomiędzy klasą średnią zawiązane, u której posiadał wielkie zaufanie: a lubo z wykształceniem wyższem i z wychowaniem arystokratycznem, umiał on zastósować się do obyczajów i sposobów myślenia ludzi, z którymi działał, lepiej, niżby to kto inny potrafił.

Od Jordana powzięliśmy wiadomość, iż Komitet poznański nie myśli wcale o rychłym wybuchu; polecono mu, aby się starał rozszerzać związek pomiędzy szlachtą, zbierać pieniądze, broń i amunicję, wybierać ludzi pewnych, chociażby w mniejszej liczbie; jednem słowem widać było ztąd, iż komitet naczelny myśli puszczać rzecz w odwłokę. Było to pierwsze zadanie fałszu Dembowskiemu, co nas obydwu z moim bratem, odprowadzającym mnie do Krakowa, i tym rozmowom przytomnym, mocno strapiło. Jordan zdawał nam się za nadto flegmatyczny i więcej teoretyk, niż obecna chwila wymagała. Rzecz bowiem natenczas posuniętą była o tyle, że jak z raportów przed wyjazdem moim od wszystkich ajentów zebranych się pokazywało, można było liczyć w sześciu nam powierzonych obwodach, na kilka tysięcy powstańców, po części spiskowych, po części na każde zawołanie gotowych, choć prawda, iż w rachunek ten wchodziło kilka gromad chłopów, o których gotowości na każde skinienie, niektórzy ze spiskowych się łudzili, gdyż obchodząc się z nimi jak najłagodniej, zdawało im się, iż posiadają ich zaufanie, a lubo wprost o rzeczy z nimi nie mówili, z rozmów pojedyńczych, z wieści krążących pomiędzy nimi, zdawało mi się, iż mogą sądzić o ich usposobieniu. Nie przeczę, iż teraz przekonaliśmy się, że było to tylko złudzeniem, ale natenczas trudno było mieć tego dowody, i nam też niesłusznie byłoby zarzucać łatwowierność, bo jakiejże było żądać pewności? Jeżeli doświadczenie uczy, iż w wszelkich spiskach pomiędzy ludźmi oświeconymi, na czas wybuchu nie jeden skrewi, i albo słowa nie dotrzyma, albo stchórzy, albo zmieni zdanie — jakże mogło być inaczej z ciemnymi chłopami, gdzie nawet nie było spisku, ale tylko z daleka sondowało się opinję. Dziś,

jeszcze pomimo smutnego doświadczenia, przekonany jestem, iż jedna tylko pomyślność w pierwszej chwili wybuchu, byłaby usprawiedliwiła ówczesne nadzieje w tych raportach zawarte.

Jordanowi odkryliśmy otwarcie myśl naszą, odrzucając go wręcz jako zastępcę Dembowskiego i zostawiając to do powrotu mego z Poznania. Tymczasem poleciliśmy mu, ażeby działał pomiędzy szlachtą, i usiłował nakłonić ją do połączenia się z nami. Dembowskiemu nie szczędziliśmy wyrzutów za przesadzone jego zapewnienia o bliskiem wybuchu w Poznańskiem i Kongresówce, którym wiadomość powzięta od Jordana widocznie kłam zadawała. Tłómaczył on się jak mógł, lubo z widocznem pomięszaniem.

Ja też czemprędzej spieszyłem rzeczy sprawdzić na miejscu. Napisaliśmy do Bobrowskiego, który już był do domu powrócił, ażeby wyjechał do nas do Krakowa. Jakoż zastaliśmy go tam już czekającego na przybycie nasze. Jakie było zdziwienie i przerażenie nasze, gdy Bobrowski zaczął od tego, że w Poznaniu polecono mu wprawdzie aby działać, ale wcale naglić nie kazano, ażeby spisek rozszerzać powoli, a na dobitek, aby starać się w Galicji założyć Dziennik, rozszerzający zasady demokratyczne!... W Galicji pod ówczesną cenzurą zakładać dziennik demokratyczny, i dopiero pracować nad rozszerzaniem zasad wtedy, kiedy my lada dzień myślimy już o wybuchu! Było zaprawdę oszaleć z czego. Ze zgrozą powstawaliśmy na poczciwego Bobrowskiego, który z całą dobrodusznością upewniał nas, iż wszystko to pójdzie jak najlepiej.

Tego samego wieczora zgromadziliśmy się wszyscy w pewnem mieszkaniu. Na posiedzenie to przyszli także wszyscy członkowie byłego Komitetu krakowskiego. Wobec całego tego zgromadzenia Bobrowski powtórzył to, o czem

się w Poznaniu dowiedział. Przerażenie było ogólne. Nie tylko bowiem przekonaliśmy się, że Komitet poznański zupełnie nie zna stosunków naszych co do spisku, co przecież powinno mu było przez Dembowskiego i Wiśniowskiego być wiadomem, ale widać było, że nie zna on wcale i politycznego położenia naszej prowincji, kiedy mógł marzyć o wydawaniu u nas dziennika demokratycznego. Narady nasze dnia tego dotykały rożnych potrzeb przygotowawczych, ale jak to zwykle bywa, gdzie kilku radzi, słów było dosyć, a treści mało. Jeden prawił o potrzebie zakładania magazynów żywności, drugi chciał wybuch odłożyć, inny znowu chciał go przyspieszyć. Przekonałem się wtedy, iż spiskiem nie powinny kierować liczne komitety, bo ztąd zaraz tworzy się sejmik, a sejmiki i sejmy nie odpowiadają chwili rewolucyjnej.

Dembowski i Gorzkowski widocznie byli pomięszani. Po rozejściu się innych, gdyśmy zostali sami, Gorżkowski wezwał mnie i mojego brata do swego mieszkania. Tu dopiero począł on Dembowskiemu gorżkie czynić wyrzuty, iż uwodził nas dotąd, przedstawiając Poznańskie jako uorganizowane, gdy tymczasem przybyły ztamtąd emisarjusz Kożerski, którego nam przedstawił, zupełnie inne przywiózł wiadomości. Ten Kozerski był to młody człowiek, emigrant z Kongresówki, od roku bawiący w Poznaniu, jako pomocnik z księgarni Stefańskiego, który wysłał go od siebie do Krakowa, dla skomunikowania się z nami. Oświadczył on, iż Poznański komitet naczelny zupełnie jest nieczynny, i nie odpowiada potrzebie czasu, iż złożony z samych ludzi półśrodkowych, doktrynerów, błąka się w teorji, bawi się propagandą, gdy tymczasem niższe warstwy, a mianowicie mieszczaństwo, tak poznańskie jak i innych miast

pomniejszych, oficjaliści prywatni, członkowie landwery i znaczna część chłopów oświeceńszych, wtajemniczonych w spisek, żądają rychlejszego doprowadzenia do wybuchu. Na czele tej partji ruchliwej stał tam Stefański, posiadający jak twierdził Kozerski nieograniczone zaufanie; on to więc, widząc nieczynność i szlamazarność komitetu naczelnego, chce oderwać się od niego, wypowiedzieć mu posłuszeństwo, i utworzyć inną władzę naczelną, w którym to celu chce zawezwać kilku czynniejszych członków spisków innych prowincji do Torunia, a po wspólnem porozumieniu się i obliczeniu, termin wybuchu naznaczyć nieodwołalny, i wszystkiemi siłami starać się go wykonać. Kozerski mocno narzekał na Komitet poznański, i na centralizacją wersalską; z błotem mieszał Heltmana, który bawił w Poznaniu bezczynnie, jakgdyby rzeczy były jeszcze w dalekiem polu. Największą żółcią oblewał wysłannika z Kongresowej Polski, Władysława Dzwonkowskiego, który, jak twierdził, nietylko że w Kongresówce nie ma żadnej wziętości, ale siedząc w Poznańskiem bezczynnie, nie wie wcale, co się tamże dzieje, bo ani tam bywa, ani żadnych nie utrzymuje stosunków.

We wszystkich tych narzekaniach Kozerskiego widać było wiele stronniczości, i ducha partji, co smutne na nas czyniło wrażenie. Ten bunt przeciwko władzy spiskowej, ta niezgoda i wzajemne oczernianie się, nie rokowały nam nic dobrego. Gdyśmy jednak porównywali te wiadomości z raportem Bobrowskiego, nie mogliśmy się wzbronić rozpaczy; widocznie bowiem zabrnęliśmy za daleko. Oddaliśmy się w ręce ludziom, którycheśmy inaczej oceniali, na oślep działając posunęliśmy spisek zanadto szybko, i nadto

daleko, ażeby cofnąć się nazad: jednem słowem byliśmy srodze zawiedzeni.

Dembowski na ostre wyrzuty nasze pobladł i płakał jak dziecko, przyznając się, iż nas oszukiwał, ale tylko dla tego, że sam był oszukanym: utrzymywał atoli, że ze zmianą naczelnej władzy według planu Stefańskiego, wszystko da się naprawić, bo błąd nie leży ani w braku ludzi, ani w braku środków, tylko jedynie w złym kierunku sprawy. Kozerski powtarzał to samo. Twierdził, jakoby w Kongresowce istniał spisek ogromny, i wszystko tylko czekało natchnienia z góry; zapewniał, że gdy nowa, energiczna, z ludzi praktycznych a śmielszych utworzona władza stanie u steru, w kilku tygodniach wszystko powetujemy.

Takowy bunt, taki spisek, nie przystawał do mego przekonania. Oświadczyłem więc wyraźnie, iż tajemnic nie przedsięwezmę, że pojadę do Poznania, by sprawdzić wszystko ile możności, a dopiero gdy uznam tego potrzebę, oświadczę otwarcie moje zdanie Komitetowi naczelnemu, zażądam uwolnienia od przyobiecanego mu posłuszeństwa, i dopiero wtedy do innych działań przystąpię: skrycie zaś na moją rękę nietylko sam do Torunia nie pojadę, ale zaklinam wszystkich tu obecnych w imię porządku i zgody, aby tego czynić się nie ważyli, a przeto jeszcze przed powstaniem nie poczynali kłótni i partyj, jak to dotąd bywało. Zgodzono się na to, iż do Poznania wprost z Dembowskim pojadę, a ściśle rzeczy zrozumiawszy, jeżeli tego będzie potrzeba, ztamtąd na oznaczony czas stanę w Toruniu.

Szło teraz o to, jak Dembowskiego przeprawić przez granicę pruską, tę bowiem raz przebywszy, śmiało mógł on się dalej puścić szybkowozem, bo w Prusiech na to nikt

nie zwracał uwagi. Dla zapisania się na pruski szybkowóz w Krakowie, potrzeba było koniecznie okazać paszport na poczcie. Właśnie kiedy idę z Dembowskim przez rynek, naradzając się, jakby tu począć, spotykam znajomego mi Karola Rogawskiego, i przedstawiam mu nasz ambaras. Ten dobywa z kieszeni paszport, udzielony mu właśnie do Prus, do Polski i do Galicji, umawiamy się, iż z tym paszportem pójdę zamówić miejsce, a później zwrócę go właścicielowi. Tak się też stało. Zapisując dla siebie miejsce, zamówiłem i drugie, pokazując ów paszport skłamany. Poczmistrz nie wchodząc w szczegóły, wydał mi kartę, paszport Rogawskiemu zwróciłem, a Dembowski zapisany pod jego nazwiskiem, wsiadł wraz ze mną wśród białego dnia na rynku do szybkowozu, i ruszyliśmy razem.

Nie pierwszy to i nie ostatni raz sprzyjało nam szczęście takie. W ciągu przygotowań nieszczęśliwych zdarzeń z roku 1846, kilka razy doświadczałem takiego powodzenia, że zdawało mi się, jakoby sama Opatrzność chciała nam nieść pomoc swoją. W owym szale i w stanie gorączkowej egzaltacji, brałem wszystkie te znaki za szczęśliwą wróżbę, za gwiazdę, która nam rzekomo przyświecała. Nie mało przyczyniało się to do zfanatyzowania we mnie wiary w dobry skutek przedsięwzięcia naszego. Wiara ta tak mię ogarnęła, że choć później widocznie poczęło się psuć wszystko, ani na chwilę nie zwątpiłem. Dziś jeszcze, jeżeli wyznać się to godzi, nie przestaję widzieć w tem woli Opatrzności, która wiodła nas do tego, co się stać miało. Są konieczności historyczne, które muszą być dokonane. Nie przeczę, iż człowiek nie jest narzędziem, że ma swoją własną wolę, ale i ta wola wyższym podlega prawom, których nie zna niedowiarstwo, ale również nie zna i or

todoxja. Granica woli ludzkiej i boskiej gdzieś tak słabą przedzielona jest nitką, że trudno dostrzedz jej, i tylko instynktem uczuć ją można. Ztąd to może pochodzi, iż ludzie, co wielkie przedsiębrali rzeczy, wyższe nad zwykłe siły człowiecze, częstokroć byli fatalistami, czuli oni albowiem, że własna wola im nie wystarcza, i jest nad nimi wyższa siła, kierująca ich czynami.

IV.

Pobyt w Poznaniu. — Konferencje z członkami komitetu Poznańskiego. — Zmiana w jego składzie. — Powrót do Galicji. — Wypadek z odezwą Goslara. — Pierwsze śledztwo. — Bezpośrednie przygotowania do wybuchu.

Podróż nasza odbyła się szczęśliwie. W Wrocławiu miał Dembowski kilku znajomych akademików, z którymi i ja się poznałem. Około 4go listopada stanęliśmy w Poznaniu, wieczorem, i wprost z poczty udaliśmy się do mieszkania Ryszarda Berwińskiego. Dembowski nie chciał, aby moja obecność w Poznaniu była zaraz wiadoma, radził zatem, aby przez kilka dni nie pokazywać się wcale na mieście.

W mieszkaniu Berwińskiego zastaliśmy Heltmana, siedzącego sobie spokojnie przy stoliku i zajętego rysowaniem jakichś do nauczania dzieci dziejów Polski. Gdyśmy mu zaraz na wstępie oznajmili o machinacjach Stefańskiego, i zarzutach, jakie ta partja czyniła jemu i całemu Komitetowi naczelnemu, zdziwiło go to niezmiernie, bo mu się o tem ani śniło. Odwoływał się do Libelta, tłumacząc bezczynność swoją, zarzucał kłamstwo Stefańskiemu i Kozer-

skiemu, dosyć obojętnie, naśmiewając się z burzy, jakąśmy mu zwiastowali.

Posłaliśmy zaraz po Libelta, a gdy ten nie mógł przyjść w tej chwili, Dembowski wezwał Stefańskiego, i zamknęliśmy się z nim obadwaj, biorąc go na konfessatę. Główne punkta jego zażaleń przeciw komitetowi były, iż tenże w zupełnej zostaje bezczynności, bo członkowie jego zajęci własnemi interesami, że niejako tylko bawi się w spisek, odprawia posiedzenia, jakby dla przepędzenia czasu na święta i niedziele, nie wiedząc zupełnie co się w kraju dzieje; raportów od adjutantów mało odbiera, nie dając na nie żadnej odpowiedzi, a jakkolwiek w komitecie zasiadają ludzie, bardzo zkąd inąd zacni, przecież do działania rewolucyjnego nie mając żadnej zdolności, dają się wyprzedzać młodszym i czynniejszym, którzy pragną rychłego powstania. Tu Stefański przedkładał nam swoje plany, wyliczał spiskowych po różnych okolicach Księztwa i Prus Zachodnich, przedstawiał nam stosunki z Polską kongresową, i t. d.

Wszystko to widocznie nas przekonywało, że Komitet naczelny dał sobie wyrwać cugle spisku z ręki, dał się obejść nurtowi rewolucyjnemu, i osiadł że tak powiem na mieliźnie, gdy tymczasem koło niego wrzało hiszpańskie powstanie.

Stefańskiego osobistość dosyć mię zajęła; mówił dość dobrze, narzekał bez żółci i osobistości, zdawało się iż mówił prawdę, a nieznać było w nim nienawiści, lub ducha partji. Nie ujmował członkom władzy, ani zdolności, ani charakteru, uważając ich tylko za ludzi nierewolucyjnych, doktrynerów i teoretyków, mogących wprawdzie krajowi być wielce pożytecznymi, ale nie podczas rewolucji.

Libelta szczególnie poważał wielce, utyskując tylko na słabość jego, z jaką dał się innym powodować.

Plany Stefańskiego były poniekąd niepraktyczne: i tak, pomiędzy innemi czynił on wniosek, aby na czas powstania znieść wszelką własność osobistą, oddając zarząd majątków gminom, a całą administrację wewnętrzną, tak prywatną jak publiczną, kierować z góry, przez rząd rewolucyjny. Plan ten zdawał mi się ze wszech miar niepraktyczny, lubo bowiem w czasie rewolucji własność *de facto* bywa zniesioną, bo to, czego potrzeba kraju wymaga, musi być poświęcone bez względu na interesa prywatne — lubo administracja, tak przez nieobecność większej części obywateli w domu i zajęcie ich, czy to służbą wojskową, czy cywilną, jakoteż przez ciągłe kwaterunki, kontrybucje itd. wielce byłaby utrudnioną, tak, że majątek poniekąd stałby się tylko ciężarem — niebezpiecznem przecież byłoby naruszenie kwestji własności, choćby tylko na czas powstania, bo środek ten niezrozumiany od wielu należycie, obudziłby z jednej strony podejrzenie socjalistycznych dążności, z drugiej mógłby obudzić nadzieje istotnych zysków, kosztem cudzej własności. Powtóre, taka organizacja kraju rozciągnięta aż do najdrobniejszych prywatnych szczegółów, wymagałaby zanadto ludzi potrzebnych gdzieindziej, słowem, byłaby to maszyna zanadto skomplikowana, a przeto niepraktyczna. Nadewszystko też w Galicji, wiedziałem dobrze, iż najmniejsza wzmianka o przeistoczeniu stosunków własności, choćby tylko na dzień jeden, gubiła nas do reszty w opinji szlachty, która i tak widziała w nas komunistów. W Poznańskiem nawet, gdzie nie było tyle przeciw demokracji przesądów jak się później przekonałem, uważano Stefańskiego za komunistę. Dembowskiemu plany

te przypadały do smaku; poetycznej wyobraźni jego wszystko, co nowe, co sięgające aż do głębi społeczeństwa, zdawało się wielkiem i rewolucyjnem.

Po wyjściu Stefańskiego wyrzucałem mu, iż nietylko nie sprzeciwiał się tym planom, ale zdawał im się potakiwać, lubo przecież miał czas dostateczny przekonać się, czy coś podobnego w Galicji dałoby się przeprowadzić bez największego ze strony szlachty oburzenia. Zgadzał on się ze mną na to, mniemał atoli, iż nie należało Stefańskiego zrazić przeciwieństwem, i psuć jego ku nam zaufanie. Takie schlebianie nie podobało mi się wcale, i wtedy z Dembowskim znowu przyszło do żywej dosyć utarczki.

W godzinę później nadszedł Libelt. Przedłożyliśmy mu wszystko, cośmy pierwej Heltmanowi mówili, dodając od Stefańskiego powzięte szczegóły. Nie taiłem mu wcale, iż zamyśla on Komitetowi wypowiedzieć posłuszeństwo i wzywa nas do Torunia dla porozumienia się z emisarjuszami z Kongresówki, i utworzenia nowej władzy naczelnej. Myśmy żądali wytłómaczenia, a Libelt nie mniej jak Heltman poprzednio zadziwił się, bo i jemu ani w głowie postało, ażeby ktoś, jak się wyraził, dołki pod nim kopał. Wiedział on wprawdzie, iż jest w Księstwie pewna partja, złożona, jak mówił z samych zapaleńców, zbiegłych z Kongresówki, do których przyłączyło się nieco mieszczaństwa, lecz ludzie ci tak szalenie działają i tak głośno gardłują, iż lada dzień muszą być uwięzieni. Jako głównego z tych zapaleńców wskazał mi ślusarza Lipieńskiego; żeby zaś Stefański miał do nich należeć, nie wiedział o tem wcale, i owszem mówił: „On trzyma z nami, wszak składa nam nawet raporta; jeżeli więc prawdę mówicie, to chyba oszukuje.“ Odchodząc, kazał nam się wstrzymać w dalszych

czynnościach naszych, dopóki nie da nam bliższego objaśnienia. Że zaś Władysław Dzwonkowski, ów przez Stefańskiego oskarżony wysłannik z Polski Kongresowej, w tej chwili nie był obecnym w Poznaniu, potrzeba było czekać na niego.

Libelt, jako człowiek prawy i prawdziwy patrjota, nie wzbraniał się wcale wystąpić z Komitetu i oddać władzę w inne ręce. Nie chciał atoli tego uczynić bez powodów, na pierwsze lepsze wezwanie. Przez kilka dni pobytu mojego w Poznaniu, gdzie ciągle jak w areszcie siedziałem w pomieszkaniu Berwińskiego, i tylko wieczorami z Dembowskim wychodziłem, poznałem kilkunastu spiskowych. Pomiędzy młodszymi wszędzie objawiało się nieukontentowanie z obecnej władzy naczelnej.

Wyjechawszy na wieś, poznałem się między innymi z Władysławem Kosińskim, o którym tak przez Dembowskiego jak i przez innych byłem dobrze uprzedzony: niemniej i on narzekał na bezczynność, w jakiej utrzymywał ich Komitet, lubo o zamiarach Stefańskiego dopiero od nas powziął wiadomość. W czasie pobytu naszego na wsi, w Poznaniu, aresztowano kilkanaście osób, a między innymi Stefańskiego, co oczywiście całą postać rzeczy zmieniło, lubo reforma naczelnej władzy koniecznie była potrzebną. Stefański, dowiedziawszy się, że ma być aresztowanym, przekazał wszystkie stosunki swoje jednemu z najczynniejszych ajentów, niejakiemu Essmanowi, a lubo przytrzymano wielu, spisek jednak nie został rozbity.

Wróciliśmy do Poznania, gdzie wkrótce przybył i Kosiński. Wspólnie z nim i Libeltem naradzaliśmy się nad zamierzoną reformą; debaty nasze trwały przez dni kilkanaście. Zbytecznem byłoby powtarzać to wszystko i wymie-

niać wszystkie, pomiędzy którymi może są i takie, co nie wykryte w czasie procesu, chciałyby i nadal pozostać w ukryciu Dosyć, że stanęło na tem, iż utworzono nowy Komitet czyli władzę naczelną, w której składzie z dawniejszej pozostał tylko Karol Libelt. Weszli do niej: Władysław Kosiński, Aleksander Guttry, Karol Libelt, mieszczanin Essmann, Władysław Dzwonkowski jako wysłannik z Kongresówki, i ja, jako wysłany z Galicji.

W czasie debat naszych, nadjechał był do Poznania Gorzkowski i Lisoski z Krakowa. Gorzkowskiemu nie podobały się jakoś roboty nasze. Po dwudniowym zaledwie pobycie odjechał do Krakowa niezadowolniony i zniecierpliwiony, namawiając i mnie, abym podobnie uczynił, a połączywszy siły galicyjskie z krakowskiemi, chciał rozpocząć powstanie na swoją rękę, nie oglądając się na Poznań. Nie chciałem ja przystać na to, i wymogłem od Gorzkowskiego przyrzeczenie, iż nic do mego powrotu nie przedsięweźmie. Prawdę mówiąc, była to chwila, gdzie i ja zniecierpliwiłem się tak dalece, iż oświadczyłem Libeltowi chęć, ażeby mnie uwolniono od wszystkiego, i dozwolono spokojnie w domu oczekiwać, aż nadejdzie chwila, gdziebym zarówno z innymi mógł chwycić za karabin, zrzekając się wszelkiej odpowiedzialności. Libelt nie chciał na to zezwolić, zaklinając mię, ażebym wytrwał w podjętym raz obowiązku.

Po zawiązaniu nowego Komitetu, wzięliśmy się natychmiast do roboty. Pierwszą powinnością było odebrać od poprzedników naszych sprawozdania z ich czynności Nie długo potrzeba było czasu na to, bo pokazało się, że istotnie prawie nic dotąd nie zrobili; było nieco spiskowych w Poznańskiem, były niejakie stosunki z Kongresówką, wszystko to jednak było bardzo słabe i nieznaczące. Za-

wiązki Stefańskiego, które się pod nasz kierunek zupełnie oddały, były nierównie silniejsze. Największym czynnikiem atoli była tam młoda emigracja, zbiegła z Kongresówki z roku 1843. Z zadziwieniem spotkałem w ludziach tych wiele ducha i wykształcenia politycznego. Zgadzali oni się wszyscy nato, iż w Kongresówce pełno jest żywiołów rewolucyjnych, które tylko potrzeba skupić w jedną masę, ażeby wielkie wywołać powstanie. W tym celu natychmiast wyprawiliśmy tam ośm emisarjuszów, t. j. po jednym do każdego województwa, na Litwę posłaliśmy akademika z Berlina, niejakiego Röhra, który później dostał się w ręce moskiewskie.

Lubo, jak mówiłem wyżej, przeznaczeniem wysłannika z każdej prowincji do składu naczelnej władzy było zostawać ciągle w Poznaniu, polecono mi, abym wracał do Galicji, gdzie miałem obszerniejsze pole działania. Uchwalono, ażeby galicyjskie komitety rozwiązać zupełnie; w każdym obwodzie za to ustanowić po dwu głównych ajentów, którzyby nad innymi czuwali. Mnie poruczono przewodnictwo spisku w Galicji tak wschodniej jak i zachodniej, polecając Wiśniowskiemu, ażeby zdał mi sprawę z wszelkich swoich dotychczasowych czynności, ze mną odtąd się porozumiewał i wypełniał moje polecenia.

Ponieważ w czasie aresztowań Poznańskich, Heltman wyjechał był za granicę, w składzie nowej władzy nie było nikogo z emigracji; dopiero napisaliśmy wzywając Mierosławskiego z Francji. W ogóle jednak, tak pomiędzy młodzieżą poznańską, jakoteż pomiędzy młodą emigracją znalazłem wielki wstręt do całej dawnej emigracji zostającej we Francji. Jeden z młodych emigrantów niejaki Bobrski, co dopiero ztamtąd był powrócił, przedstawiał mi Towa-

rzystwo demokratyczne jako instytucję zbutwiałą i wynarodowioną, pragnącą władzy, a nie mającą siły ani energji, ażeby ją wywalczyć i utrzymać. Mierosławskiego i Wysockiego ceniono tylko jako wyższe zdolności wojskowe, a jako młodszym, przypisywano im też więcej energji. Przykro aż było słyszeć te przeciw emigracji pociski; zdawały one się być niewdzięcznością, bo przecież ci ludzie tyloletniem tułactwem i pracą, zasłużyli na większe pobłażanie.

Dembowski odjechał do Galicji, ja pozostałem jeszcze dni kilka, a po przypatrzeniu się pracom nowego Komitetu, i sumiennem przekonaniu się, iż gorliwie bierze się do dzieła, odebrawszy dla siebie instrukcje, gotowałem się do odjazdu.

Jedną z największych trudności stanowił brak pieniędzy. Zawiezione przezemnie moje własne, czyli raczej pożyczone na lichwę 1000 fl m. k zaledwo wystarczyły na pierwsze naglejsze wydatki. Guttry i Kosiński za moją poradą także pożyczyli na lichwę około 1000 tal. Tak mieliśmy przynajmniej o czem wysłać emisarjuszów w rozmaite strony; daliśmy nieco Dembowskiemu, trochę zawiozłem do Wrocławia i do Krakowa w kasie została tylko nadzieja: że przypuściwszy energiczny szturm do szlachty Poznańskiej, dadzą się zebrać wkrótce znaczniejsze fundusze.

Z Poznania wyjechałem ku końcowi listopada 1845 r, z silnem przekonaniem, iż odtąd tam pójdą rzeczy jak najlepiej. Osoby składające władzę naczelną, o ile je poznać mogłem w tym krótkim czasie, zupełnie zdawały mi się być na swojem miejscu. W Libelcie poznałem charakter prawy, skromność, bezinteresowność, i serce polskie, obok wykształcenia niemieckiego. Kosiński, typ charakteru nowopolskiego, łączył szczery patrjotyzm z uczuciem, i gorącym zapałem. Guttry, powolniejszego temperamentu, ostrożny,

rozważny, pełen silnej wiary i przekonania. W żadnym z tych ludzi nie spostrzegłem ni to stronności, ni kastowej nienawiści, ani ambicji osobistej: to też całe serce moje i całe me zaufanie oddałem tym ludziom, w przekonaniu, iż poprowadzą oni rzecz całą, drogą czystą i prawą.

Najsilniejszem ze starań moich było, ażeby nakłonić ich do wysłania wraz ze mną do Galicji kogoś, coby mógł ze szlachtą naszą porozumieć się stanowczo i obudzić ją nareszcie z letargu. Wybraliśmy do tego dwóch ludzi, którzy obymí się zdawali najzdolniejszymi. Był to Brudzewski obywatel ziemski i Ryszard Berwiński, literat. Pierwszy, jako szlachcic zamożny, a przeto o komunizm nie podejrzany, miał polecenie zapoznać się ze szlachtą w różnych stronach kraju, i przemówić do niej, jako równy do równych, wspólny mający interes, przedstawić im rzecz dokładnie, wybić z głowy próżne strachy i uprzedzenia, powołać ich w imieniu szlachty Wielkopolskiej do wspólnego działania. Drugi, młody, przystojny, pełen wymowy i towarzyskiej układności, miał użyć wszystkich tych darów, któremi natura hojnie go obdarzyła, do pogodzenia umysłów z partją rewolucyjną, reprezentując ją ze strony pięknej, poetycznej. Dwaj ci wysłannicy reprezentowali, zdawało się, jak najlepiej sprawę naszą, tak ze strony materjalnej jako i moralnej. Z tego ich pośrednictwa wielkich spodziewałem się skutków, i nie omyliłbym się był pewnie, gdyby nie wczesne ich aresztowanie zaraz na wstępie do kraju w Bocheńskiem. To sparaliżowało plan cały.

Wyjeżdżając otrzymałem od nowej władzy naczelnej niektóre polecenia do akademików wrocławskich, gdzie przez kilka dni zabawiłem i komunikację z Krakowem urządziłem, poddając wszystkie działania w Szląsku pruskim pod

dyrekcję Gorzkowskiego w Krakowie, którego za członka naczelnej władzy poznańskiej przyjęto, z poleceniem kierowania związkiem krakowskim.

Przybywszy do Krakowa, nie mało użyłem pracy, nim zdołałem Gorzkowskiego nakłonić, aby przyjął na siebie ten obowiązek; trwał on bowiem koniecznie w swem przedsięwzięciu, oderwania się od Poznania, i chciał działać na swoją rękę. Ledwo po usilnem mojem naleganiu dał się nakłonić, aby jechał do Poznania dla wzięcia dalszych instrukcyj. Jadąc z Krakowa, wstąpiłem do Zakrzowa pod Wojniczem, gdzie u Władysława Dąbskiego zastałem już Dembowskiego i Adolfa Rozwadowskiego, którego wzięliśmy z Poznania, by użyć go jako emisarjusza do wschodniej części Galicji, gdzie miał krewnych. Był tam także Władysław Jordan i Adolf Bobrowski. Ci dwaj ostatni w czasie mej niebytności byli w Rzeszowskiem, w skutek czego szlachta tamtejsza, zjechawszy się gdzieś nad Wisłą, uradziła nareszcie, aby wysłać ze swojego grona Nereusza Hoszowskiego, dla porozumienia się z nami w Zakrzowie, gdzieśmy go także zastali. Hoszowski rozmawiał wiele z Bobrowskim; od nas, to jest odemnie i od Dembowskiego stronił wyraźnie, jak od zapowietrzonych; nie brałem mu tego za złe wcale, będąc gotowym znieść wszelkie upokorzenia, byle tylko raz przecie zjednać sprawie naszej pomoc tak ważną.

Przyszło nareszcie do tego, iż w mojej obecności dał on słowo honoru imieniem tych, co go wysłali, że nie będą nadal usuwać się od niczego, i wszystko uczynią co będziem od nich żądali. Hoszowski miał wielki wpływ na szlachtę tameczną. Od samego początku, to jest od pierwszej mej bytności w tamtych stronach jeszcze w lutym 1845 roku, o której już wspominałem, pokazywał on największe

niedowierzanie, wydrwiwał nas, psuł ducha i pewno najwięcej przyczynił się do tej skamieniałej bezczynności, z której dotąd owej szlachty wyrwać nie mogliśmy. Przystąpienie więc jego do nas, które miało wszelki pozór szczerości, wielce zdawało nam się być pożyteczne.

Zostawiwszy Dembowskiego w Zakrzowie, pojechałem do Tarnowa, gdzie zastałem zjazd wielki z powodu jakiegoś koncertu. Gdy wszedłem do sali jadalnej hotelu Krakowskiego, wszyscy powitali mię, jak gdyby powracającego z tamtego świata. Rozeszła się bowiem była wieść, iż i mnie w Poznaniu wraz z innymi przyaresztowano. Nie udana radość i współczucie, z jakiem mię przywitano, nie mogła mi być obojętną. Utwierdzało mię to w przekonaniu, iż nie tylko sam nie byłem bez osobistych przyjaciół, ale i sprawa, którą natenczas reprezentowałem, poczynała wzbudzać interes; był to czas, gdzie wszystkich oczy na mnie były zwrócone. Wiedziano, iż jestem sprężyną wszystkiego, a ponieważ trudno było przewidzieć, jaki obrót rzecz ta weźmie, więc garnięto się do mnie, jak zwykle garną się ludzie tam, gdzie widzą władzę. Był czas gdzie ci, co potem błotem mię obrzucali, gotowi byli na moje skinienie.

Załatwiwszy czynności me w Tarnowie, powróciłem do domu, gdzie czekał na mnie już Wiśniowski i Mazurkiewicz, a wkrótce nadjechał Dembowski z Rozwadowskim.

W czasie nieobecności mojej zaszło było zdarzenie, które wiele wpływu na później wywarło. Jeden z najczynniejszych ajentów naszych, Józef Goslar, ten sam co w kilka lat później zginął w Wiedniu na szubienicy, człowiek pełen poświęcenia, napisał był jeszcze przed moim odjazdem odezwę do ludu wiejskiego, w której tłumaczył mu to, co ma wkrótce nastąpić. Mówił tam, iż panowie chcą znieść pań-

szczyznę, że nadchodzi czas, w którym winni się połączyć z nimi, i wspólnie wrogów wypędzić, że ci tylko panowie i księża, którzy pracują nad tem, są prawdziwymi Polakami, że w ludzie spoczywają siły niezmierne, tak, iż gdyby je poczuł w sobie, czapkami mógłby zarzucić wrogów i ciemięzców swoich. Prócz tych i tym podobnych znanych frazesów nie było w tej odezwie nic, coby wzbudzało zemstę, nienawiść, lub chęć łupieztwa, jak to później bezczelnie zarzucano. Jakkolwiek zatem nie ganiłem jej wcale, zakazałem jednak Goslarowi puszczać ją w obieg jako przedwczesną i zanadto otwarcie występującą. Lecz w czasie nieobecności mojej, niecierpliwy zapaleniec puścił odezwę tę w kurs mimo mego zakazu. Wkrótce brata jego schwytano we wsi Szydłowcu, i znaleziono przy nim kilka egzemplarzy. Wydał go chłop nazwiskiem Stypa, któremu tę odezwę dał do czytania; a mandatarjusz z Tuszowa, wsi niegdyś kameralnej, teraz do bankiera Niemca należącej, nazwiskiem Trullaj, kazał go przyaresztować, i wprost do Tarnowa odesłał. Ten młodszy Goslar, chłopiec głupi i niedoświadczony od razu wyznał, iż miał tę odezwę od brata swego, że przepisywał ją, przechowując się u mojego ekonoma i t. d.

Był to pierwszy autentyczny dowód, który wpadł w ręce Breinla, starosty cyrkułu tarnowskiego, a który go oświecił o zasadach i przygotowaniach naszych. Breinl pienił się ze złości i rozesłał natychmiast listy gończe za Juljanem Goslarem, któremu nie pozostawało nic innego, jak umknąć do Węgier. W tych listach gończych przekształcił treść tej odezwy, przedstawiając ją jako wymierzoną przeciwko szlachcie, duchowieństwu, religji i rządowi. Prócz tego prywatnie rozpuszczano cudowne wieści o tej odezwie,

którym szlachta ślepo wierzyła, a ztąd powstał zamęt jeszcze większy w jej wyobrażeniach. Ponieważ zaś pierwsza inicjatywa tej denuncjacji poszła od chłopów, bardzo być może, iż wtedy po raz pierwszy Breinl powziął myśl szatańską użyć tego narzędzia, które mu się samo w ręce nasuwało, i przekonał się, że mu się udać to może.

Zdarzenie to okropnie mię przeraziło; przewidywałem skutki najgorsze, gdyż obudzona uwaga rządu, czyniła ze spisku naszego jakby otwartą wojnę, co przeszkadzało dalszemu rozwojowi onegoż. Dembowski przeciwnie nic się tem nie zrażał, lecz owszem był zdania, ażeby propagandę pomiędzy ludem na wielką skalę rozpocząć. Powstała ztąd pomiędzy nami żwawa utarczka, tak dalece, iż przyszło nareszcie do tego, że straszył mię, iż zaniecha wszystkiego, powróci do Poznania, a tam dopiero oskarży mię przed komitetem naczelnym o tamowanie postępu działań! Tu po raz pierwszy musiałem użyć władzy mojej: Dembowskiego zgromiłem, oświadczając mu, iż do powrotu drogę mu zostawiam; ale wszelkim intrygom i skargom zapobiedz potrafię, bo mając sobie powierzone naczelnictwo w Galicji, sam jeden odpowiedzialny za nie jestem, nie tylko przed komitetem, ale i przed narodem. To moje stałe wystąpienie, przyprowadziło go do upamiętania. Wiśniowski wdał się pomiędzy nas, i rzecz załagodził. Był on bowiem zupełnie jednego zdania ze mną, co do propagandy ludowej i zawsze jej się sprzeciwiał.

Na mocy upoważnienia od naczelnej władzy, zażądałem od Wiśniowskiego zdania sprawy ze wszystkich jego czynności. Pomimo różnicy wieku, pomimo starszeństwa w spisku, jakiego dotąd używał, bez najmniejszej niechęci, bez najmniejszego śladu zazdrości albo urazy, poddał on

się temu egzaminowi, a rozłożywszy mapę Galicji, punkt za punktem pokazywał mi, gdzie co zgromadził. Przekonałem się ztąd, że działania jego znacznie postąpiły, we wszystkich ważniejszych miejscach, gdzie były załogi wojskowe, miał on przygotowane jakie takie siły do ich rozbrojenia: stosunki jego również jak i nasze rozciągały się pomiędzy średniemi klasami, lubo tu i owdzie nie było bez szlachty majętniejszej. Lwów zostawał dotąd nietknięty. Wiśniowski jako dobrze tam znany, nie mógł sam się pokazywać; obawiał się przytem, ażeby rzecz puszczona wcześnie pomiędzy młodzież, za prędko się nie wydała.

Z narad naszych wypadło, iż Dembowski uda się do Lwowa; Rozwadowskiemu przydzieliliśmy obwód Tarnopolski i Czortkowski: Mazurkiewiczowi Sanocki i Przemyski, Wiśniowski brał na siebie Stanisławowski i Brzeżański. W innych cyrkułach mieliśmy powierzyć ster działania rozmaitym ajentom tamże postanowionym. W początku stycznia miałem przedsięwziąć podróż po całej tamtej części Galicji, by się o wszystkiem naocznie przekonać; a na dzień 21 stycznia zawieść osobiście dokładny raport do Poznania, gdzie natenczas i emisarjusze z innych prowincyj zjechać się mieli dla obliczenia wszystkich sił gotowych i naznaczenia terminu wybuchu.

Dembowski, zamiast jechać wprost do Lwowa, jak było postanowione, nie mówiąc nam nic o tem powrócił do Zakrzowa, by tam czekać na przyjazd Brudzewskiego i Berwińskiego z Poznania. Ile mnie się zdaje, mniemał on, że ci dwaj przywiozą mu jakieś tajne instrukcje z Komitetu; w czem jednak mylił się bardzo, gdyż tenże prostą postępując drogą, wszelkie potrzebne instrukcje już mi wydał, nie zostawiając prócz tego nic w tajemnicy.

Zdziwiło mię mocno, gdy w kilka dni z Brudzewskim i Berwińskim przyjechał do mnie Dembowski. Tłómaczył się jak mógł, gdy postępek ten mu ganiłem, jako tchnący konspiratorskim mistycyzmem, którego nigdy nie cierpiałem i nieraz mu wyrzucałem. Z dwoma nowo przybyłymi układaliśmy plany, jakimby sposobem trafić do przekonania szlachty; mieli oni objechać obwód Tarnowski, a uczyniwszy tu, coby się dało, udać się do Lwowa a ztamtąd w Stryjskie, gdzie się z nimi 3go stycznia zjechać miałem. Jakoż ułatwiwszy gdzieniektóre naglejsze potrzeby, 28go grudnia puściłem się w drogę.

W Stryjskiem zastałem rzeczy zupełnie w tym, co i u nas stanie; chęci dobre, wiary i ufności mało; gdy jednak przedstawiłem, co się w Poznańskiem dzieje, podniosło to nieco ducha. Niektórzy obiecali mi solennie zająć się danemi im zleceniami. Z Wiśniowskim zjechałem się u Seweryna Korzelińskiego, znanego później z wojny węgierskiej, gdzie chlubnie się odznaczył, i z podróży swej do Australji. Prace Wiśniowskiego w przeciągu tych kilku tygodni postąpiły cokolwiek. Dembowski był już we Lwowie, dokąd zawezwał mię tak usilnie, iż dalszej podróży zaniechawszy wprost tamże pojechałem, zdając resztę na Wiśniowskiego.

We Lwowie zastałem Dembowskiego nadzwyczaj czynnego i zadowolnionego. W krótkim tym przeciągu czasu pozawierał on już stosunki z młodzieżą akademicką, rzemieślnikami, mieszczanami i t. d. Szlachta nie chciała nic z nim poczynać bezemnie, i dla tego to tak usilnie i tak nagle wezwał mię do Lwowa. Pomiędzy szlachtą zastałem wielką odmianę. Ci, co jeszcze w czasie sejmu najoziębłej me przedstawienia przyjmowali, dziś całą duszą brali się

do dzieła. Zawiązaliśmy więc Komitet i porozsyłali ajentów w różne strony, wzywając szlachtę aby się przysposabiała w broń, konie i ludzi, i na każde zawołanie była gotowa.

Nie chcę ja tu wymieniać nazwisk, bo nie wiem jaki los spotka te moje wspomnienia, lubo nie przeczę iż wielką miałbym ku temu ochotę, bo zawstydziłbym pewno nie jednego z tych, co później po naszym upadku tak głośno i tak złośliwie powstawali na nas, jako na szalonych i lekkomyślnych demagogów.

W czasie bytności we Lwowie odebrałem smutną wiadomość o aresztowaniu Brudzewskiego i Berwińskiego; zmartwiło mię to tem mocniej, iż niewątpiłem o skutku ich przejażdżki po kraju. Już sama wieść, że byli jacyś obywatele z Poznańskiego, elektryzowała szlachtę lwowską. W czasie krótkiego ich tamże pobytu, poczęto zjeżdżać się do nich; zapraszać ich i fetować, a aresztowanie ich wielkie obudziło współczucie, co gdyby spotkało było Dembowskiego lub kogo innego z tak zwanych emissarjuszów z profesji, nie wątpię, iż byłoby nawet nie zwróciło uwagi, a kto wie nawet, czy nie sprawiłoby zadowolenia.

Spisek we Lwowie olbrzymie czynił postępy między młodzieżą akademicką i rzemieślniczą. Przez czas mego pobytu od 6go do 15go stycznia, z 500 członków, których już zastałem, urosła liczba do 700. Widząc to, w przekonaniu, iż rzecz takich rozmiarów długo się ukrywać nie da, postanowiłem na własną odpowiedzialność, termin wybuchu naznaczyć. W niedzielę lub we wtorek zapustny, miał być bal u gubernatora arcyksięcia Ferdynanda, a więc na ten dzień balu nakazałem wybuch przysposobić. Gdy cała wyższa wojskowość i urzędnicy będą na balu, spiskowi mieli wpaść, przyaresztować wszystkich, i powstanie

ogłosić. A ponieważ na dzień 20 stycznia wybierałem się do Poznania, chciałem więc tamtych nakłonić do powstania w tym samym terminie. Zapusty wypadły na dzień 22 lutego. Mieliśmy więc przed sobą jeszcze pięć tygodni czasu. Nie wątpiłem, iż w Poznaniu do tego czasu wszystko będzie gotowe. Kraków według raportów Gorżkowskiego, oczekiwał tylko hasła. Zdawało mi się zatem, iż nie było innej rady. Gdy oświadczyłem moją myśl Dembowskiemu, rzucił mi się na szyję, mówiąc, iż tu dopiero widzi krok prawdziwie rewolucyjny.

Wracając ze Lwowa, zastałem w Rzeszowie wiadomość z domu, iż zjechała tam komisja kryminalna dla wyśledzenia stosunków moich z dwoma przyaresztowanymi Poznańczykami i z Goslarem: ostrzegano mię nawet, aby nie powracać, czego jednak nie usłuchałem, pewnym będąc, iż jeszcze ujdzie tym razem, a przyznam się nawet, iż ciekawość mię zdjęła dowiedzieć się, o ile rząd jest już na naszym tropie. Jakoż na drugi dzień po powrocie moim, konsyljarz kryminalny Filaus badał mię, po co do Poznania jeździłem? jakie miałem stosunki z Berwińskim i Brudzewskim? jaką mam wiadomość o odezwie Goslara? itd.

Z całej tej inkwizycji powziąłem najmocniejsze przekonanie, iż rząd nic a nic jeszcze nie wie. Same poszlaki niepewne, macanie na oślep i nic więcej. Z podróży do Lwowa łatwo mi się było wytłumaczyć, bo miałem dowody, iż właśnie wtedy zaciągnąłem pożyczkę 10.000 guldenów m. k., a więc interes ten był dość ważny. Mówiąc nawiasem, cała ta suma poszła prawie na tę sprawę, bo brak pieniędzy był niesłychany i wszystko kończyło się na obietnicach składek, które dopiero kiedyś nastąpić miały, a wydatki były codzienne. W chwili, kiedy w jednym po-

koju odpowiadałem do protokołu, w drugim było kilku ajentów, od których raporta odbierałem, by z nimi jechać do Poznania.

Wszystko szło jak najpomyślniej. Ze wszystkich stron donoszono o przybywaniu innych spiskowych, czyli raczej ludzi gotowych do boju; o odwłoce nie można było ani myśleć; coraz bardziej przekonywałem się o potrzebie rychłego wybuchu.

Gdy wybierałem się właśnie w drogę, odebrałem wezwanie, ażeby corychlej już nie do Poznania, ale do Krakowa się stawić, gdzie Kosiński przybył z Mierosławskim. Gorżkowski przysłał ajenta z poleceniem, aby w razie mej nieobecności wezwał w mojem miejscu Tyssowskiego, którego znał już dawniej. Ponieważ ten wysłannik dowiedział się w drodze, jakobym jeszcze ze Lwowa nie powrócił, udał się do Tyssowskiego, i ztąd poszło, iż tenże, będąc dotąd tylko podrzędnym ajentem, wypłynął na wierzch, by później dosyć ważną odegrać rolę. Odebrawszy wiadomość, ruszyłem natychmiast do Krakowa.

Nie otrzymawszy na Podgórzu pozwolenia przejścia, w nocy ledwo zdołałem przez most się przeprawić. Kosiński już był wyjechał; zastałem w Krakowie tylko Mierosławskiego, a więc z tymże, z Gorżkowskim i Tyssowskim naradzaliśmy się w noc późną, gdzieś na Kanonnej ulicy. Przybył tam także Mieczysław Skarzyński i Leon Czechowski, były oficer wojsk polskich, który jeszcze w listopadowej rewolucji odznaczył się w Warszawie, a obecnie trzymał dzierżawę pod Tarnowem, i należał do spisku.

Mierosławski wykładał nam cały plan kampanji przez siebie ułożony, jakoż i plany administracyjne na czas powstania, które to obydwa znajdzie czytelnik w „Sprawo-

zdaniu sądowem z procesu Polaków w Berlinie", nie będę ich przeto powtarzał tutaj. Główne z nich zarysy polegały na tem, iż rząd rewolucyjny miał się składać z pięciu osób, których siedliskiem miał być z początku Kraków, a w razie potrzeby, inne bezpieczniejsze miejsca. Polska cała miała być podzielona na pięć wielkorządztw; podział istniejący obecnie na województwa, cyrkuły, powiaty, miał być i nadal nietknięty; a ponieważ Galicja ciągnie się za daleko na długość, więc dla sprężystszego działania, dodać miano wielkorządzcy dwóch tak zwanych rządzców, którzy w bezpośrednim z nim zostając stosunku, mieli zawiadywać pewną ilością wschodnich i zachodnich obwodów. Dzisiejsze obwody miały być podzielone na 4 komissarjaty, a każden z tychże zawiadywany przez komisarza rewolucyjnego *). Oprócz tego miał być utworzony korpus żandarmerji rewolucyjnej, dla pilnowania porządku, i ścisłego wykonywania rozkazów rządowych. Najgłowniejszem zadaniem owegoż byłyby oczywiście liwerunki, formowanie siły zbrojnej i utrzymanie porządku. Środki ku temu były obmyślane praktycznie i stósownie do potrzeb kraju, i przekonany jestem, że gdyby było przyszło do tego, cała ta machina byłaby się dobrze obracała.

Co do planu wojskowego, na pozór zdawał on się piękny i na wielką skalę założony, lubo widome w nim niepraktyczności od razu się odezwały, czego atoli, nie będąc wojskowym, objawić nie śmiałem. Najtrudniejszym bez

---

*) Dziwna rzecz, iż rząd austrjacki naśladował tę organizację, bo gdy najprzód poobsadzał tak zwanych exponowanych komisarzy po cyrkułach, później i całą prowincję podzielił na dwie części, zupełnie według naszego planu.

wątpienia był w tem wszystkiem wybór osób. Do owej piątki rządowej wyznaczono Libelta, Gorżkowskiego, członka centralizacji wersalskiej Alciatę, mnie, i kogoś piątego z kongresowej Polski, którego jeszcze naznaczyć nie umiano. Zważywszy atoli, iż w Galicji można działać pożyteczniej, przybrano na moje miejsce Tyssowskiego, poruczając mi urząd wielkorządzcy.

Gdy mi to Mierosławski w obec tam zebranych osób oznajmił, wzdrygałem się przyjąć na siebie tak wielki obowiązek, nie czując w sobie potrzebnych ku temu zdolności; prosiłem najusilniej aby mię od tego uwolniono. Błagałem Mieczysława Skarzyńskiego, aby mię w tem zastąpił, przedstawiałem, iż ta moja posada rzuci cień śmieszności nietylko na mnie, ale i na całą sprawę, gdyż będąc za młodym, z interesami mało obeznanym, nie podołałbym memu powołaniu. Gdy atoli Skarzyński nie dał sobie ani wspomnieć o tem, i nalegał na mnie koniecznie, zapewniając, że przyjąwszy na siebie urząd jednej połowy Galicji, będzie mi we wszystkiem pomocny, a urząd ten mój podczas rewolucji wymagać będzie więcej szczerej chęci i sprężystości, niżeli teoretycznych wiadomości administracyjnych widząc nareszcie, iż na razie nie ma nikogo innego, przyjąłem tę posadę z wyraźnem zastrzeżeniem, iż natychmiast po wybuchu wolno mi będzie zdać ją komu zdolniejszemu — bo oto wtedy zapewne nie będzie trudno.

Mierosławski polecił mi, abym sobie dobrał potrzebną ilość osób, zdolną do pomocy, i utworzywszy z nich rząd tymczasowy prowincjonalny, oczekiwał pierwszej chwili powstania w Jordanowie, w miasteczkn położonem w ziemi Sandeckiej, nad granicą węgierską, gdzie miało być zgromadzenie pierwszych sił zbrojnych, składających się z gó-

rali i ochotników od Krakowa. Nie podobało mi się to wcale, bo widziałem niepraktyczność tego polecenia, najprzód w tem, że za górami trudno było z takiego zakątka komunikować się z całym krajem, powtóre znając trochę usposobienie kraju, widziałem, iż gdy w pierwszej chwili sam osobiście z bronią w ręku nie pójdę naprzód, posądzą mię o brak odwagi, o chęć zastawiania się cudzemi piersiami, o ambicję, itd. Mierosławski powiedział mi na to stanowczo, iż takie jest rozporządzenie naczelnej władzy, a więc rad nie rad wykonać go muszę, nakazując mi surowo, ażebym w pierwszej chwili nie narażał się na osobiste niebezpieczeństwo.

Od czasu widzenia się mojego z Mierosławskim, sprawa nasza w nową wstąpiła fazę. Duch uspiony dotąd pomiędzy szlachtą, a podniesiony do najwyższej potęgi pomiędzy młodzieżą, mieszczaństwem i klasą średnią, podniósł się teraz ogólnie; ludzie dotąd najobojętniejsi i najprzeciwniejsi naszym zamiarom, z największą poczęli występować energją i gotowością Zmiana ta pochodziła po części z wrodzonej poczciwości, i gotowości do poświęceń przy jakiej takiej nadziei skutku, po części zaś z szlachetnej ambicji, by nie pozostać w tyle, u wielu wreszcie ze strachu przed terroryzmem rewolucyjnym, który sobie Bóg wie w jak czarnych wyobrażano barwach, tak, iż widma Robespierów, Dantonów i gilotyny i wszelkie tym podobne strachy urojone, tłumiły w niejednym bojaźń przed rzeczywistem niebezpieczeństwem. I stało się, że ludzie dotąd najzimniejsi, nietylko co do tej sprawy, ale co do wszystkiego przechodzącego granice zwykłych trosk życia, ludzie oddani wyłącznie robieniu majątku, gospodarstwu, a nawet karciarstwu i zabawie, inni zgoła znów, co życie swe całe prze-

pędzali na salonach gubernatorów i starostów rządowych, podejrzani przeto u nas, jeśli nie o proste donosicielstwo, to przynajmniej polityczne plotkarstwo, którem nie mało przyczynili się do obudzenia uwagi rządu; ci nareszcie, którzy pomimo szczerego patrjotyzmu i dobrych chęci wątpili dotąd o dobrym skutku i od wszystkiego się usuwali — jednem słowem wszyscy bogatsi czy ubożsi, arystokraci i pół-panki, szlachta i dorobkiewicze, dziś w miarę jak zbliżał się wybuch i powietrze niejako napełniało się elektrycznością, poczęli się ruszać i roić jakby pszczoły w ulu. Bezczynność umyślna, czy przypadkowa rządu, pochodząca z niedołęztwa organów rządowych (czego dotąd pewny nie jestem) nie mało przyczyniła się do tego; ludzie ci albowiem z jednej strony parci przez nas, widząc z drugiej, iż rząd żadnych nie przedsiębierze środków, aby zapobiedz powstaniu, znaleźli się istnie jak między młotem i kowadłem. Obawa przed opinią publiczną i przed terroryzmem, nie ugaszone pod powłoką materjalizmu iskry miłości ojczyzny jakby jakowe fatum popychały tę masę nowych spiskowych w ręce nasze. Nie wchodząc też w pobudki wewnętrzne, radzi z takiego przybytku sił nowych, nie odpychaliśmy nikogo, a zapał i otucha wzrastały u nas coraz bardziej.

Spisek teraz przestał już być tajemnicą, i zamienił się w otwarte przygotowanie do wojny. jeźli pierwej trudno było namówić kogo, to teraz gdzie było uderzyć, wszędzie spotykaliśmy gotowość i pomocną rękę: pieniądze nawet, których dotąd taki brak mieliśmy, że wszystko własnym kosztem, za pożyczony na lichwę grosz opędzać musiałem, lubo jeszcze nie nader obficie, ale przecież pojawiać

się zaczęły; tu i owdzie złożono po kilkaset reńskich na ręce ajentów naszych.

Rozesłaliśmy emisarjuszów w rozmaite strony: jednych do Węgier, gdzie już Goslar, schroniwszy się przed uwięzieniem, jak to powyżej mówiłem, rozszerzał spisek pomiędzy Polakami. z rozmaitych epok tamże schronionymi, by przez nich działać na Węgrów; drugich do Czech, Ilirji i Wiednia. pomiędzy Słowian i Polaków, tak po akademiach jak w armji tamże konsystującej rozrzuconych.

Zewsząd dobre otrzymywaliśmy wieści. Węgrzy, a raczej Kossut ich imieniem oświadczył nam, iż lubo wprawdzie w skutek i możność powstania naszego nie wierzą, gdy jednak wybuch tylko nam się powiedzie i przynajmniej kilka tygodni wstrzymać się zdołamy, na współdziałanie ich liczyć możemy; tymczasem zaś, muszą ograniczyć się na zapewnieniu nam swej sympatji. Emissarjusz wysłany do Czech i Sławiańszczyzny, z niemniej pocieszającemi powrócił wieściami. Według raportu jego nie tylko mnóstwo młodzieży na pierwsze hasło przybędzie do nas, ale cały jeden pułk kawalerji oświadczył się zaraz na wiadomość o wybuchu, iż w masie przebije się do nas.

Nie chcę ja tu wymieniać osobiście owych emissarjuszów, lubo dziś jeszcze mógłbym odwołać się do ich świadectwa, bo nie wiem czy takie wyjawienie byłoby mi na rękę; przyjdzie może czas atoli, gdzie dla lepszego wyjaśnienia rzeczy, będę mógł poprosić ich o publiczne potwierdzenie podanych tu faktów. Dotąd przekonany jestem, iż w dobrej oni działali wierze, a jeśli ich raporta były przesadzone, raczej sami oni byli oszukani i złudzeni, jak żeby mieli nas rozmyślnie oszukiwać.

Podania i raporta innych ajentów naszych w kraju nie mniej były pomyślne. Siły do pierwszego wybuchu zdawały się rość z dniem każdym. Henryk Rogaliński, z niezwykłą energją i zręcznością prowadzący rzecz po nad Dunajcem i Wisłą w Bocheńskim i Tarnowskim obwodzie, którego działania ograniczały się dotąd tak jak wszystkie po największej części na klasy średnie, obecnie zyskał obszerne pole działania pomiędzy szlachtą i zamożnymi posiadaczami, tak, iż wszystko w tamtej okolicy zdawało się słuchać jego skinienia. Adam Kochanowski, bracia Chrząstowscy, Jaworski, Józef Machowicz, Malecki, Jan Gumiński i inni, których nazwiska przemilczeć mi wypada, rozwijali czynność swą z nie mniejszą energją i poświęceniem. Leon Mazurkiewicz, Adolf Rozwadowski, Teofil Wiśniowski, działali po tamtej stronie Sanu w ziemi Sanockiej, Przemyskiej i dalej, aż po Tarnopol i Stanisławów. Ja i mój brat chwili żadnej nie zaniedbywaliśmy także: w ciągłym ruchu, w ciągłych jazdach z miejsca na miejsce, prowadziliśmy rzecz odtąd już prawie otwarcie, najważniejsze schadzki odprawiając po miejscach niemal publicznych,

Rząd ówczesny patrzał na wszystko z założonemi na pozór rękoma; nie pomnażano nigdzie wojska, nie napastowano nas w drogach ani w domu. Bezczynność takową tłómaczyliśmy sobie tem, iż władze widząc, że spisek za daleko już posunięty, za wielkie przybrał rozmiary, aby mu urwać głowę, chcą dopuścić do wybuchu; my zaś byliśmy tego przekonania, iż pierwszy moment powstania udać nam się musi, bo nietylko sił spiskowych mieliśmy podostatkiem, ale i na to liczyliśmy wiele, że wojsko austrjackie od wojny odwykłe, nie tęgim też obdarzone duchem, napadnięte z nienacka da się od razu pokonać, że następnie nietylko powo-

łane masy, ale i ruchy rewolucyjne w innych prowincjach, zadadzą fałsz rachubom rządowym. Że te nasze, może przesadzone nadzieje, które zwłaszcza dziś, po kilku latach nowych doświadczeń i odczarowań, płonnemi się wydać mogą, natenczas nie były bezzasadne — najlepiej pokazało się we dwa lata później, gdzie w Węgrzech, w Czechach a nawet w samym Wiedniu nastąpiły ruchy rewolucyjne, a cóż dopiero powiedzieć o W. ks. Poznańskiem, gdzie w 1848 r. 30,000 zbrojnego ludu stanęło w polu. Łatwo to bardzo sprawę upadłą potępić i zdyskredytować; ale cofnąwszy się w tył o te lat kilkanaście przed rzezią i przed doświadczeniem smutnej pamięci roku 1848, nie ma się czemu dziwić, iż rzeczy tak jasno, jak dzisiaj, nie pojmowaliśmy wtedy. Bez wątpienia te lat piętnaście więcej nauczyły ludy, niżeli poprzednich lat pięćdziesiąt — czyli rządy skorzystały z całej nauki, nie wiem.

Jakkolwiek rząd nie przedsiębrał skutecznych i energicznych środków, od czasu jednak katastrofy Goslara i pojmania dwóch wysłanników poznańskich, komisja śledcza włóczyła się po obwodzie Tarnowskim z miejsca na miejsce, aż w końcu osiadła stale w Tarnowie. Konsyljarze kryminalni Wottawa i Filaus, założyli tu bióro śledcze, i poczęły się aresztowania tu i ówdzie pojedyńczych spiskowych. W Tarnowie przygotowano więzienia na większą skalę. Komisarze cyrkularni, jak Chomiński, Żmiękowski, Leśniewicz, i t. p. krążyli po obwodzie pod rozmaitemi pozorami na tak zwane komisje, a tu zamykali się z chłopami, lub wyprowadzali ich w pola, by tam z nimi jakieś tajne odbywać narady. Za Dembowskim i Wiśniowskim chodziły listy gończe z jak najdokładniejszym

rysopisem. Wszystko to jednak nie odejmowało nam ducha, i przygotowania szły dalej na wielką skalę.

Kilku z dawnych wojskowych w okolicach Krakowa wzięło się na serjo do roboty: rozbierano plany Mierosławskiego, a wpływ tych zacnych ludzi, stanowiących poniekąd powagę, odbijał się i na innych dawnych oficerach w rozmaitych stronach kraju zamieszkałych. Między innymi odwołuję się tu do świadectwa pana Kaliksta Horocha, dawnego oficera kwatermistrzostwa, wzywając go pod oficerskiem słowem honoru, ażeby zeznał, czy nie powiedział on mi wracając z Krakowa, w Tarnowie, iż to „na wielkie zanosi się rzeczy" i spieszył do domu nad Wisłą, ażeby jak najprędzej przygotować materjały do mającego się tam budować mostu. Przytaczam tu fakta podobne, odwołując się do żyjących jeszcze osób, ażeby tem silniej poprzeć prawdę twierdzeń moich, oraz dowieść, iż między tymi, którzy później, gdy wszystko nieszczęśliwy obrót wzięło, radzi umywali ręce od wszystkiego, na nas kilku tak zwanych zapaleńców zwalając całą złego przyczynę, był także niejeden z tych, co wspólnie z nami podzielali prace przygotowawcze i ów szał jaki nas wtedy ogarnął. Czas albowiem raz wypowiedzieć sobie prawdę w oczy! Wszyscy byliśmy w błędzie, i ta tylko między nami była różnica, ze jedni gorętsi i młodsi, wcześniej i głębiej zapadliśmy weń, bo żywsza wyobraźnia, w jaskrawszych kolorach malowała nam przyszłość naszego przedsięwzięcia, inni zaś, a mianowicie starsi i wytrawniejsi, powoli i z większym namysłem przystępowali do rzeczy; a jeżeli młodsi wpływali na starszych, to przystąpienie starszych nie mniej wpływało na dodanie młodym otuchy, utwierdzając nas w naszem przekonaniu.

Tak jest, uderzmy się w piersi! Zbłądziliśmy wszyscy, ci po swojemu, a ci po swojemu; wszystkich, a przynajmniej większą część powodowała myśl szlachetna, bo miłość ojczyzny! A więc nie ma się wstydzić czego, nie ma za co złorzeczyć i potwarzać się wzajemnie. Ową żółć, ową podejrzliwość, ów jad nareszcie, z jakim gotowi jesteśmy rzucać się na własnych ziomków, tę krew z krwi, kość z kości naszych, lepiej zaprawdę zwrócić gdzieindziej i to tam, zkąd istotnie wszystko złe pochodzi.

Koniec stycznia i połowa lutego zeszły nam na powyższych robotach. Im bliżej nadchodził termin wybuchu, tem niebezpieczeństwo stawało się groźniejsze, bo zdawało się, iż rząd rozwinie środki represyjne. Owa komisja śledcza w Tarnowie zwoływała świadków, chłopi poczęli czynić zeznania, w kilku miejscach zaczęli oni oni już stawiać warty po drogach i napastować przejeżdżających; widzieliśmy wtedy, iż się na coś złego zanosi. Ale cóż było robić? Cofnąć się nie było podobieństwa, a zresztą zdawało się, iż gdy wybuch nastąpi za pomocą klas oświeconych, gdy pierwszym aktem nowo zaprowadzonej władzy będzie usamowolnienie ludu, rozkaz wydany z góry potrafi masy oświecić i poruszyć je.

Tu rozmaite podawano plany; jedni byli za tem, by powstanie rozpocząć otwarcie, wśród dnia białego, po wsiach, i natychmiast ogłaszać wolność masom, wzywając je ze sobą do uderzenia na miejskie załogi: inni chcieli, trzymając się ściśle instrukcji Mierosławskiego, w nocy, tylko po miastach uskutecznić napad na wojsko, by go rozbroić. Były przytem i inne mniej praktyczne plany, z których jeden tu przytoczę, jako mający niesłychane podobieństwo

z tym, co się w dniach dzisiejszych *) działo w Warszawie. Adam Kochanowski podawał plan następujący: „Ponieważ — mówił on — ani dostatecznej broni palnej nie mamy, ani armat, by zaczynać wojnę, niech każdy u siebie zbierze cały lud we wsi, niech weźmie duchowieństwo, by w ornatach z krzyżem w ręku i z chorągwiami bezbronny lud ten procesjami w masie prowadziło do miast obwodowych w jednym dniu i o jednym czasie, dopominając się głośno o ustąpienie z kraju wojska i urzędników. Przypuszczał on, iż rząd w takiem położeniu nietylko nie będzie mógł oprzeć się tym masom bezbronnego ludu, ale nawet w razie, gdyby chciał użyć siły, i strzelać do bezbronnych, to samo wojsko, po większej części złożone z chłopów galicyjskich, zobaczywszy w tym tłumie swych ojców, braci, żony i siostry, nie poważy się do nich dawać ognia, i raczej da się rozbroić."

W planie tym, jakkolwiek niepraktycznym, była myśl wielka, poetyczna; malowała ona dokładnie położenie nasze: gdyby lud ten był naprawdę przejęty myślą narodową, gdyby poruszony w ten sposób był stanął choćby bezbronnym, ale miljonowym zastępem jakby jeden mąż — jakaż siła oprzeć by mu się zdołała?... Nam zaś, szlachcie i stanom wyższym społeczeństwa, cóż pozostawało innego, piękniejszego, jak na czele ludu tego dopominać się o prawa nasze, lub zginąć na czele jego?.. Lecz była to rzeczywiście tylko utopia, bo pokazało się najlepiej, iż lud ten

*) Ta część pamiętnika była już w 1862 roku po kilkuletniej przerwie pisaną.

(Przyp. Wyd.)

nietylko wtedy niemiał, ale i dotąd nie ma poczucia swej godności; a raczej zepsuty i zbałamucony szkodliwemi wpływami, gotów był uledz pokusie, jaką mu łupieztwo bogatszych przedstawiało.



V*).

Przyspieszenie terminu wybuchu — Postawa ludu w obec spiskowych. — Nocna wyprawa. — Spotkanie w Lisiejgorze. — Pastwienie się chłopów. — Odwiezienie do Tarnowa. — Uwięzienie.

Pierwszych dni lutego z odebranych raportów od rozmaitych ajentów przekonaliśmy się, iż siły na pierwsze zajęcie Tarnowa były aż nadto dostateczne. W samem mieście Tarnowie liczyliśmy na 1000 ludzi, gotowych w każdej chwili: z okolic bliższych i dalszych mogliśmy z pewnością liczyć na kilkuset spiskowych, co na przeznaczony czas staną na zawołanie.

Co do sposobu działania zdania były podzielone. Jedni, między nimi i ja, byliśmy mniemania, ażeby chłopów w pierwszej chwili nie poruszać, a przynajmniej nie ogólnie, i chyba wyjątkowo werbować pomiędzy nimi pojedyńczych ochotników. Pierwsze siły chcieliśmy złożyć z tak zwanych surdutowych, to jest szlachty, oficjalistów prywatnych, służących dworskich, małomieszczan itd. Tą siłą,

*) Zawarty w rozdziale tym ustęp pamiętnika był już raz drukowany w „Dzienniku literackim" r. 1862 w nr. 74, 75, i 76.

która niewątpliwie byłaby dostateczną do uskutecznienia pierwszych ruchów, chcieliśmy rozbroić nieliczne natenczas załogi, a odebrawszy władzę, z góry zapowiedzieć ludowi nadane mu swobody i wezwać na ochotnika, a w najgorszym razie nakazać wprost rekrutację, nie w moc egzekucji i kija, ale w moc nadanych swobód, natychmiast w życie wprowadzonych, przez zrzeczenie się pańszczyzny, danin i wszelkich powinności gromadzkich. Chociaż albowiem nie przypuszczaliśmy nigdy czynnej ze strony ludu reakcji, obawialiśmy się obojętności i pojedyńczych denuncjacji, jakich tak dawno jak i świeżo mieliśmy smutne doświadczenia.

Inni, a między nimi mój brat Michał, byli zdania, ażeby w dniu wybuchu zwołać zrana całe gromady, a w przytomności księży uroczystym, zaprzysiężonym aktem zapewnić im nasze obietnice, i całe masy powoławszy do powstania, ciągnąć śród dnia pieszo, coraz wzmagającą się lawiną, ku miejscu przeznaczenia. Myśl ta, jakkolwiek na pozór piękna, zdawała się nam być niepraktyczną, co dalsze wypadki aż nadto niestety dowiodły, bo pokazało się, że nad tym ludem ani szlachta, ani księża żadnej nie mieli przewagi, a tylko jedna materjalna siła, to jest rząd w ręku naszym, mogła go może na stronę naszą przechylić.

Jakkolwiekbądź, postanowiliśmy zjechać się do Tarnowa na dzień 17 lutego, pod pretekstem balu fantowego, w celu ostatecznej narady.

Czechowski, były major wojsk polskich, był mianowany przez Mierosławskiego członkiem komitetu centralnego, komendantem wybuchu w Tarnowie; jemu więc jako takiemu, zdałem siły jakieśmy mieli w pogotowiu, oraz imienną listę wszystkich ajentów obwodu tarnowskiego, któ-

rym też poleciłem, aby się z nim znosili, sam mając jeszcze wiele zatrudnień przygotowawczych w innych stronach kraju. Jakoż udałem się w Rzeszowskie, ku Lwowu, nad Wisłę itd., tak zaledwie 15 lutego na noc stanąłem w domu, o 6 mil od Tarnowa odległym.

Dnia 16 miałem odebrać z różnych stron ostateczne raporta, ażeby nazajutrz z gotową rzeczą stanąć w Tarnowie. Ku wieczorowi przyjeżdża do mnie sąsiad mój i spiskowy z zawiadomieniem, iż w Tarnowie uradzono wybuch przyspieszyć, i żądają, ażebym tamże jak najrychlej przybywał. Wiadomość ta przeraziła mnie okropnie, przewidywałem bowiem, iż termin ten nietylko wielu z nas zastanie nieprzygotowanych, ale i inne miejsca tym pospiechem sparaliżować można. Na całą noc zatem ruszam do Tarnowa, w celu powstrzymania jeżeli można tego nierozważnego kroku

Przybywszy rano do Tarnowa, spotykam na ulicy jednego ze spiskowych, który mi oświadcza, że istotnie wybuch nazajutrz, to jest na dzień 18 udecydowano, a to z przyczyny, iż rozpoczęto już aresztowania, że i po mnie już komisarza Bartmańskiego z wojskiem posłano, a więc gdy nas pobiorą, cały związek się sparaliżuje, i później wcale do wybuchu nie przyjdzie. Ażeby uniknąć aresztowania, nie wracam więc już do oberży, gdzie zajechałem, ale pieszo, tyłami spieszę do Gumnisk, do mieszkania sekretarza księcia Sanguszki, aby w domu jego z Czechowskim i innymi się naradzić.

Tenże sekretarz, Ksawery Barzyński i Jozef Machowicz byli obecni, jak Czechowskiemu czyniłem wyrzuty za to bezprawne przyspieszenie terminu. W ich obecności przedstawiał mi tenże, iż rzecz ta jest już nie do odłoże-

nia, bo wszyscy ajenci są o tem zawiadomieni, i nawet do Krakowa posłano wiadomość. Widząc zatem, że nie podobna na nowo inny termin stanowić, bo na to czas już za krótki, by ajenci o kilka mil w około wiadomość odebrali, zważywszy, że takie wydawania i cofania rozkazów demoralizują podwładnych, a trwożliwym mogłyby dać pozór niestawienia się w czasie nanowo oznaczonym, widząc nadto, że w niektórych wsiach chłopi się burzą, i propaganda przeciwna poczyna narażać wsie okoliczne, tak że trzy dni mogą zrobić wielką różnicę; widząc nareszcie, że mojem odłączeniem się tylkobym ujął tę trochę sił, które miałem nadzieję z sobą przyprowadzić, a przez to nie zapobiegłszy złemu, tylkobym wybuch osłabił, a siebie zgoła naraził na podejrzenie o zdradę lub tchórzostwo, o co u nas najłatwiej — pomimo złego przeczucia, pomimo niepewności, czy wszystkie siły przygotowane na 21 lutego, dadzą się zgromadzić o trzy dni pierwej, pomimo nareszcie nieprzygotowania osobistego, tak dalece, że nawet sukmanę dla siebie dopiero robić kazałem, nie mając chwili czasu wcześniej pomyśleć o sobie — siadam i ruszam co żywo do domu po ludzi i broń jaką miałem, i obowiązuję się stanąć wraz z bratem moim Michałem i ludźmi, ile zebrać będziemy w stanie, na 2gą godzinę po północy, z 18go na 19ty lutego, na cmentarzu cholerycznym, o ćwierć mili od Tarnowa, gdzie i inne zebrać się miały oddziały pod komendą Czechowskiego, który nas tam miał oczekiwać.

Otóż i pierwszy akt owej okrzyczanej, oszkalowanej wyprawy, gdzie, o ile mnie słuchy dochodziły, pokątnie (otwarcie bowiem, pomimo wezwania mego, nikt nie raczył wystąpić) szarpano mnie za przyspieszenie wybuchu!

Z tego co tu powiedziałem, cytując wiarogodnych świadków, na których się odwołuję, zdaje mi się najjaśniejszym być dowodem, że nie ja przyspieszyłem termin wybuchu, ale Czechowski. Że zaś nie mogłem zapobiedz temu, to i w tem nie moja wina, gdyż będąc w Rzeszowskiem i dalej, nie mogłem wiedzieć co się za mną dzieje. Czechowski jako komendant, musiał mieć oddane wszystkie siły i wszystkich ajentów, którymi miał dowodzić; że zaś był mianowany nie przezemnie, ale przez władzę wojskową, w osobie Mierosławskiego reprezentowaną, powinnością moją było zdać mu posłuszeństwo tych ajentów. Jeżli zatem w tym względzie co zgrzeszyłem, to chyba tyle, że nie trzymając się pedantycznie terminu 21 lutego, pod tym pozorem nie starałem się sam uchylić i pozostać bezczynnym wtedy, kiedyby inni spiskowi byli się bili w Tarnowie. Przyznaję, iż to byłoby dla mnie wygodniej, a przeto według zwykłego sądu ludzkiego rozsądniej. Wolę jednak, że tak nie uczyniłem.

Wyjechawszy z Tarnowa ku wieczorowi, jechałem na całą noc ku domowi. Chcąc atoli uniknąć scen pożegnalnych z nieszczęśliwą żoną, dwojgiem dziatek i starych, nad grobem stojących rodziców, których też jako i dzieci moich więcej nie widziałem w życiu, nie zajechałem do domu, ale zboczyłem, przeprawiając się przez Wisłokę pod Przecławiem, by zajechać do Kiełkowa gdzie mieszkał zwyż spomniony Gumiński.

Zajechawszy tam około 8ej godziny z rana, zastałem Gumińskiego właśnie, jak zawiadomiony przez mego brata Michała, który na parę godzin przedemną był w Tarnowie, o niezawodnem przyspieszeniu wybuchu, czynił do tego przygotowania. A ponieważ w czasie mej bytności w Tarnowie,

wpadł po mnie do domu z żołnierzami komisarz Bartmański. Gumiński i brat mój pewni byli, że mnie w Tarnowie przytrzymano. Nie czekając zatem mego powrotu, posłali do domu mego po kilkanaście strzelb, na ścianie wiszących, i mieli już bezemnie wyruszać. Wicher powstał okropny, przeprawa na Wisłoce była zatem trudna, trzeba było długo czekać, nim wyprawieni ludzie powrócili. Ja też z mej strony wyprawiłem zaufanego furmana mego z poleceniem, ażeby ludzi, którzyby mieli ochotę, zebrał, wójta i kilku gospodarzy zawezwał, i z tem wszystkiem do mego brata, do Goleszowa, tuż naprzeciw mojej wsi, tylko że z drugiej strony Wisłoki położonego, sprowadził, gdzie po drodze mieliśmy wstąpić.

Brat mój będąc w Sanockiem, i nie wiedząc o niczem, zdążał na ową powyżej spomnioną naradę, która się miała odbyć w Tarnowie dnia 17 lutego. Tam dowiedział się dopiero o przyspieszeniu wybuchu, i o zamiarze aresztowania mnie i jego. Nie tracąc więc czasu, umknął z miasta piechotą, kazawszy koniom iść za sobą. Ztąd to stanął w Goleszowie o miedzę od Gumińskiego odległym, na parę godzin pierwej, nim ja tamże zdążyłem

Żeby okazać, jak mylnie sądzą ci co utrzymują, że lud wiejski bezwzględnie i nigdzie nie dał się dla sprawy spiskowych zjednać, żeby okazać, iż gdzie stale i od dawna a nie od wczoraj nad tem pracowano, ten lud wcale inaczej był usposobiony i dopiero idąc za fałą większości wsi, dał się pociągnąć niech mi wolno będzie opisać tu szczegółowo, jak lud u mego brata, jako też i u mnie, przyjął zapowiedziane powstanie, zaręczając słowem honoru, iż to wszystko, co tu piszę, jest najrzetelniejszą prawdą.

Michał Wiesiołowski, oprócz tego, iż od kilku lat naprowadzał, ile możności, lud we wsi swojej do pojęcia sprawy spiskowych, na początku jeszcze lutego 1846 roku, powiedział wójtowi, Walentemu Kwaśniewskiemu, kmieciom Jakóbowi Cieśli i Kisielowi, że wkrótce ma być powstanie czyli wojna, i że lud wiejski będzie usamowolniony i wolny w obliczu prawa, byleby szczerze trzymał z nami.

Zdawało się, iż ludzie ci nie tylko to oznajmienie dobrze przyjęli, ale sami czynili uwagi, że gdy się panowie z ludem wiejskim połączą, to przeciwników czapkami zawalą.

Kowal wiejski, Stanisław Brocki, chodził po jarmarkach z danemi mu na ten cel pieniądzmi, i skupywał kosy, które już wtedy tak były rozkupione, że trudno było dostać większej ilości razem. Zapewniał on, że i inni kowale kupują kosy, a mianowicie z Radomyśla, gdzie całe miasteczko zabiera się do powstania. Wielu we wsi wiedziało o tem kos skupowaniu, a przecież zdawało się, iż nikt się tem nie niepokoił.

Otóż kiedy brat mój, jak mówiłem wyżej, umknął z Tarnowa, gdzie pomiędzy innymi, pewien urzędnik przestrzegał go, iż dnia 17 rano, mandatarjusz z Gumnisk, Polikowski, zwoływał gromady, i kazał im przejeżdżających do Tarnowa więzić, i żywcem lub trupem do Tarnowa odstawiać — nie będąc zaś bezpiecznym w domu, zatrzymał się na leśnictwie, wysyłając żyda na zwiady, co się we wsi dzieje, oraz kazał oświadczyć zwyż spomnionym gospodarzom, Walentemu Kwaśniewskiemu i Kisielowi, że zapowiedziany dzień powstania już nadszedł dzisiaj, i że on póty do wsi nie przyjdzie, aż będzie pewnym, że chłopi się z nim połączą. Przez tegoż żyda posłał kartkę do domu

z poleceniem, ażeby mu broń wszystką na leśnictwo przysłano, co też wkrótce uczyniono.

Niebawem przybyli na leśnictwo trzej zwyż wzmiankowani gospodarze, a za nimi kilku młodych parobczaków, proszących o broń, gdyż są gotowi.

Mój brat wyprawił wszystkich tych ludzi na wieś z poleceniem, ażeby cała gromada zeszła się do dworu, dokąd udał się sam na bryce naładowanej bronią. Tu nie zastali już nikogo z ludzi dworskich, bo wyszli wszyscy uzbrojeni werbować ochotników, a na ich czele fornal miejscowy, chłop, Tomasz Szarek, nie czekając rozkazów,

W tem rozeszła się wieść fałszywa, iż od Przecławia idzie oddział szwaliżerów. Nie było czasu do stracenia. Gromada jakoś nie przychodziła, a więc siadłszy na bryczkę, wyjechał na wieś.

Jadąc spotkał już w drodze kilkunastu chłopów, ku dworowi dążących; skoczył więc naprzeciw nich, i w te odezwał się słowa:

— Oto moi ludzie! dziś powstaje cała Polska, idziemy na Tarnów, aby tam polski rząd ustanowić; widzicie mnie tu bezbronnego, możecie zatem gdy chcecie, związać mnie i do cyrkułu odstawić, jeśli więcej komu innemu jak mnie wierzycie!

Na to jednogłośnie odpowiedzieli:

— My za panem wszędzie pójdziemy!

Gdy im powiedział, iż żołnierze są pono w Przecławiu, i lada chwila uwięzić go mogą, a więc spodziewa się, że go nie dadzą, odrzekli:

— Niechno tu tylko te juchy przyjdą, to my im damy radę!

Tak rozmawiając doszli do folwarku, pośród wsi położonego, gdzie mieszkał dzierzawca Stanisław Kłobukowski, a gdzie coraz więcej chłopów się schodziło. Tu przemówiwszy do nich stosownie, złożył im akt pisemny, zrzekając się pańszczyzny, danin i wszelkich powinności, podpisany przez siebie, żonę i świadków; na stwierdzenie zaś rzetelności tej obietnicy, kazał postawić krucyfiks i uroczyście to zaprzysiągł.

Tu zapał był nie do opisania, zaczął się werbunek formalny, chłopi płakali i oświadczyli, że lubo gospodarze muszą zostać w domu, synowie ich i parobcy pójdą z nami. Kto zatem się zaciągnął, otrzymał sukmanę, buty, czapkę i 3 cwancygiery, jako żołd sześciodniowy, przytem broń palną lub kosę.

W dniu tym był jarmark w Przecławiu, a więc dużo ludzi we wsi brakowało.

Między innymi odezwał się Kisiel:

— Pan może myśli, że ja mego syna schowałem, ale jak Boga kocham, jest on na jarmarku, i skoro tylko powróci, poszlę go za wami!

Urlopnicy jako świadomi rzeczy, usłyszawszy, iż żołnierze idą od Przecławia, rozstawili warty.

Przyniesiono potem chorągiew, na której był wyszyty orzeł biały i Opatrzność. Mój brat Michał rozwinął ją przed nimi, i przemówił:

— Oto jest godło Polski, pod którem Polacy z dawna bili wrogów Moskali i Turków, a ponieważ widzicie tu Opatrzność, więc z Bogiem zaczynajmy, a Ten nas nie opuści!

Rozczulenie było ogólne. Mężczyźni i kobiety poczęli płakać i zawodzić, a kilku gospodarzy porwawszy chorą-

giew, poszli z nią na wieś, by jeszcze więcej ludzi zwerbować: jakoż zebrało się dwudziestu kilku ochotników, samych wiejskich parobków.

Z całą tą drużyną wyruszył mój brat naprzeciwko nas ku Kiełkowu, gdzieśmy go też na samej granicy napotkali, a gospodarze i kobiety szły za nimi. Jedna z kobiet zanosiła się od płaczu, a gdy mój brat chciał ją pocieszyć, mówiąc:

Czegoż ty płaczesz? wszak twój mąż nie idzie!

Ona mu na to:

— Albożto nie wstyd, że inni idą, a on zostaje?!

Mój brat nosił długą brodę, chłopi prosili go, aby ją ogolił, mówiąc:

— Bo te bestyje pana po brodzie poznają, i do pana najpierwej strzelać będą!

Na usilne więc prośby musiał przynajmniej ostrzydz brodę.

Wszystkie te szczegóły, które tu bez najmniejszej przesady podaję, charakterystycznym są dowodem usposobienia tego ludu, przynajmniej w owej chwili, dopóki w parę dni później, ogólne zamięszanie i oddziaływanie nie wzięło góry, tak, że ciż sami gospodarze, we dwa dni później dom mego brata zrabowali...

Ale wracam do rzeczy.

We dworze w Goleszowie, zatrzymaliśmy się wszyscy, czekając na moich ludzi z Wojsławia. Czas był okropny, burza i zadymka śniegowa, że zdawało się, iż się zbliża sąd ostateczny: przeprawa przeto na Wisłoce niezmiernie była utrudniona, ledwie więc nad wieczorem zdołali oni przybyć, a z nimi wójt i kilku gospodarzy.

Tu nastąpiła znowu rozrzewniająca scena, gdy tenże wójt po wysłuchaniu mojej do niego przemowy, i ogłoszeniu zniesienia pańszczyzny, ściskał mnie i całował ze łzami, oświadczając, że jako stary iść z nami nie może, ale przyprowadził tu zięcia swego, który niech idzie ojczyzny bronić.

Jako dodatek do poznania ówczesnego usposobienia włościan, zboczę tu na chwilę, by opisać dalsze postępki tegoż wójta i zięcia jego.

Kiedy po rozbiciu naszem pod Tarnowem i ogólnej zamieszce, wieść o tem doszła do Wojsławia, przez umyślnie przybyłego konno chłopa z wsi sąsiedniej, z wyraźnym dodatkiem, iż nakaz jest, ażeby rabować — ten sam wójt z urzędu swego nakazał napad na pomieszkanie moje, z którego nieszczęśliwa żona wraz z matką i dziećmi, schroniła się do Kolbuszowy. Rabunek ten atoli, odbyty potem, dosyć był łagodny, skończył się na sukniach, kredensie, itp. drobnostkach: bydło zaś, owce, jako i gorzelnia wraz z zapasem wódki zostały nietknięte, zboże tylko z spichrza rozdzielono pomiędzy chłopów w sposób najporządniejszy i najlegalniej.

Co do owego zięcia, poszedł on z nami na wyprawę. W Lisiejgórze, jako chłop ubrany w płóciennicę, uszedł jakoś uwagi otaczających nas chłopów; a złączywszy się później z nimi, hulał sobie wraz z rozmaitemi bandami, rabującemi po okolicy.

Gdy w kilkanaście dni potem powrócił do domu, ganił mocno ludziom wojsławskim, iż tak lekko rabunek odbyli.

— Wszak to tu — mówił — widzę i owce są całe i gorzelnia nietknięta! Ho! ho! nie tak to, mościewy, gdzieindziej rabują!

Ależ trudna była rada; było już po wszystkiemu, musiało zatem już tak wszystko pozostać.

W parę miesięcy potem, z toku indagacji z moimi ludźmi, wykryło się, że i ów zięć wójta, Marek Mazur, był z nami jako ochotnik w Lisiejgórze, a więc znów wyszedł rozkaz, by go aresztowano, jako *Hochverraethera*, i do Tarnowa odstawiono, gdzie też w tym charakterze 8 miesięcy przesiedział. Tak więc użył on wszystkiego, czego w owym czasie użyć było można.

Mylnem byłoby mniemanie, iż ci chłopi przy powyższych oświadczeniach swej gotowości, już mieli zdradę na myśli, boć gdyby tak było, najłatwiej mogli nas powiązać, zabić lub t.p., za co by im włos z głowy nie spadł Nie! do dziś dnia jestem przekonany, iż oni szczerze myśleli w owej chwili; ale jako masy, zwykle i po wszystkie czasy zmienne i idące za większością — widząc nas upadłych, a bojąc się przytem następstw, jakie z tego wyniknąć mogły, nie mając przytem oczywiście ugruntowanego zdania zasad — z łatwością zmienili swe postępowanie.

Na tych i tym podobnych przygotowaniach i wybieraniach, połączonych z niesłychanemi trudnościami, z powodu owej burzy, zeszło nam aż do zachodu słońca, po którym to czasie zaledwo zdołaliśmy ruszyć kilkoma wozami i saniami w pochód. Było nas wszystkich czterdziestu kilku. Ja z moim bratem jechałem w bryczce parokonnej, którą Gumiński powoził, a Kłobukowski siedział obok niego na koźle. Wiatr ze śniegiem dął nam w oczy, że światu wi-

dać nie było: wozy obładowane ludźmi z ciężkością przebijały się za nami przez zaspy. Przyjechawszy do wsi Rudy pod Radomyślem, stanęliśmy na chwilę, a Kłobukowski zboczył do dworu, by zabrać ztamtąd z sobą dzierzawcę i żądać od niego przyprzążki.

Zostawszy przy ludziach, wstąpiliśmy obaj z bratem do przyległej chaty, by się zagrzać cokolwiek. Chatę zastaliśmy próżną, tylko dziecko w kołysce płaczące, które musieliśmy sami kołysać na ochotnika. Ledwo po chwili wyszła do nas z za pieca przestraszona kobieta, do której mieliśmy oczywiście kazanie. Wiarusy nasi rozbiegli się też po chałupach, dla zagrzania się, a podobno już wtenczas nie wszyscy do nas powrócili...

Jechaliśmy dalej ku Tarnowu przez Radomyśl, Zarówkę; wszędzie było spokojnie i cicho: konie tylko nasze chrapały, zapadając w śniegu, co ustawicznie nas wstrzymywało i podróż opóźniało. Tak dowlekliśmy się do Jastrząbki, gdzie zajechawszy do karczmy, koniecznie popaść konie wypadało. Pomimo wszystkiego, pomimo to, iż widocznie na termin, to jest na 2gą godzinę stanąć nam niepodobna było, bo jeszcze przed sobą trzy mile mieliśmy drogi, nie traciliśmy otuchy; jedno tylko nas trapiło, że nie znając sztuki wojennej, żaden naszego oddziału prowadzić nie potrafi, jeźli późno przyjdziemy.

W tej karczmie dołączyło się do nas kilku ochotników, a między innymi niejaki Gromczewski, były oficer gwardji grenadjerów, jeszcze za wielkiego księcia wprawdzie, ale człowiek nałogowy, któremu niepodobna się było powierzyć. Jakkolwiekbądź, nie mając czasu do stracenia, dodawszy mu kontrolę z młodego Wilhelma Romera, zostawiliśmy na ich opiece cały ten tabor, sami jak by-

liśmy we czterech, puszczając się naprzód, ażeby jeżli nie razem z ludźmi, to przynajmniej samoczwart stanąć na czas oznaczony.

Od Jastrząbki, czyli od karczmy zwanej Wesoła, jadąc przyspieszonym kłusem, nie napotkaliśmy nigdzie żadnej przeszkody; wszędzie najzupełniejsza panowała cisza, żywego ducha w całem tego słowa znaczeniu nie spotkaliśmy nigdzie, aż z pierwszym brzaskiem jutrzenki, minąwszy wieś Lisiągórę, i dojechawszy do karczmy, stojącej na gościńcu, wiodącym od Wisły ku Tarnowu, spostrzegliśmy w szarym jeszcze zmroku stojący przed nią rój chłopów. Ci z wrzaskiem i gwarem nie do opisania wypadli ku nam, i w jednej chwili otoczyli nas dokoła, a było ich tam może ze 200. Jedni pochwycili za koni, drudzy poczęli nas szarpać i ściągać z bryczki. Chcieliśmy do nich przemawiać, ale gwar był taki, że własnych nie słyszeliśmy słów. Nie wiedząc co począć, odwiodłem kurki u dubeltówki, chcąc strzelać w tę kupę, od czego wstrzymał mnie mój brat; jakoż i ta myśl wstrzymała mnie, że trudno było zaczynać powstanie ludowe od mordowania ludu.

Nie tracąc nadziei, że gdy się cokolwiek uciszy, wykazaniem im naszych zamiarów dadzą się uspokoić i na stronę naszą przyciągnąć, nie szamocąc się dłużej bezpotrzebnie z tak przemagającą siłą, wysiedliśmy z bryczki, a chłopi w tej chwili powiązali nam w tył ręce. Nieszczęśliwy Kłobukowski chcąc się bronić, dobył z zanadrza sztylet, lecz ten wypadł mu z ręki i stanął sztorcem w śniegu; ściągnięty gwałtownie z kozła, padł na sterczące żelazo, i wskroś przebił się niem, pod samem sercem. Zaniesiono go do karczmy, i na pół żywego położono na stole, nas za nim do tejże izby prowadząc.

W karczmie, do której nas wprowadzono, zastaliśmy już kilku przed nami tamże powiązanych, a byli to ci, co zabiwszy burmistrza w Pilźnie, tamtędy na miejsce zboru pospieszali. Siedzących na ławie ze związanemi ciągle w tył rękoma, otoczyła masa chłopów, bab i dzieci, krzycząc, szkalując i odgrażając.

Gdy cokolwiek ucichło, zaczęliśmy do nich przemawiać, a taka jakaś przystąpiła do nas wymowa, że zdawało się, iż kamień poruszy: to też chłopi z coraz większą uwagą słuchać nas poczęli, a niektórzy nawet dawali nam pytania, gdy w tem nowy na dworze powstał hałas, i cała ta hurma wyleciała z izby, zostawiając przy nas trzech czy czterech urlopników, uzbrojonych naszemi strzelbami, i dwóch żołnierzy z karabinami, którycheśmy tam już zastali, a których snać przysłano z Tarnowa.

Gwar na dworze przed karczmą nie ustawał; usłyszeliśmy dwa strzały, domyślaliśmy się przeto, że to nasi nadciągnęli. Pozostali przy nas chłopi i żołnierze, podczas tego poczęli do nas łagodnie przemawiać, że nas wkrótce rozwiążą, że wiedzą, iż my im nic złego nie uczynimy, żeby tylko mieć cierpliwość itd.

Wtem hałas z dworu coraz się zbliżał ku sieni, słyszeliśmy jakieś tupanie, uderzanie i przeklinanie, aż drzwi się otworzyły i znowu cała hurma pieniąca się od złości, z tryumfem wpadła do nas, i szarpiąc i popychając, prowadziła nas do sieni. Kłobukowski, konając prawie, leżał ciągle na stole, a żaden z nas związanych nie mógł dać mu pomocy!

We drzwiach zastąpiła mi jakaś rozjuszona baba, a przyskakując do mnie z wyrazami:

— A to ty wilku! coś nas chciał rznąć! — uderzyła mnie pięścią w twarz.

Mając ręce związane, za całą odpowiedź palnąłem ją z całej siły nogą, że się aż zatoczyła, za co znów zadudniało mi po plecach kilkanaście razów chłopskich.

W sieni otworzono drzwi na prawo, i po schodach wepchnięto nas do piwnicy. Tu zastaliśmy wszystkich naszych rozbrojonych, powiązanych, a niektórych i pokaleczonych. Wtłoczono nas tam jak śledzi w beczkę. Przez małe okienko, wychodzące na drogę ku Tarnowu, widzieliśmy, jak kilku chłopów siadłszy na moją bryczkę, pędem ku Tarnowu pojechało.

Była to chwila okropna, nie przewidywaliśmy bowiem co się z nami stanie. Nie wiedząc co zaszło w Tarnowie i jak się powiodło, sądziliśmy, że może zostawieni na pastwę chłopów, głodem tu marnie zginiemy, a nikt nawet o tem wiedzieć nie będzie. Baby i chłopaki wiejskie ustawicznie do nas przez okienko zaglądali, i rzucając błotem, lub szturkając widłami, wymyślali niestworzone przekleństwa. Była to chwila, w której życzyliśmy sobie ogólnie, ażeby wojsko po nas nadeszło, bo mieliśmy nadzieję, że jakkolwiek nie ujdzie nas legalna kara, przecież pastwić się nad nami nie będą. Jak się to później sprawdziło, opowiem.

Od towarzyszów naszych dowiedzieliśmy się dopiero, jak z nimi postąpiono. Gdy nadjechaliśmy ku karczmie, i banda chłopów ku nich się zbliżyła, było kilku, co chciało opór stawiać; szanowny atoli ów oficer Gromczewski, pierwszy rzucił broń w śnieg, a kontrolujący go niby Wilhelm Romer, chwytał za ręce tych, co strzelać chcieli, prosząc na miły Bóg, aby tego nie czynili i bratniej krwi nie przelewali. Skończyło się więc na dwóch strzałach, które swój

skutek odniosły, bo chłopi, ilu ich tam było, odskoczyli na bok, i tylko z za węgła głowy wychylając, poczęli z nimi parlamentować, przyrzekając, iż gdy broń złożą, oddadzą im panów, to jest nas. Kto tàm dał pierwszy hasło do tego, po dziś dzień nie wiem, to pewna tylko, że, gdy broń rzucili, natychmiast ich powiązano i do piwnicy wtrącono.

Po parogodzinnem oczekiwaniu, spostrzegliśmy przez okienko zbliżającą się konnicę. Jakoż za chwilę wpadli chłopi do piwnicy, by nas ztamtąd wyprowadzić przed karczmę; tu ustawiono nas szeregiem pod ścianą, a szwadron szwaliżerów, pod dowództwem podpułkownika Ludwiga, rozciągnął się przed nami wzdłuż gościńca. Coś tam komenderowali, szykowali, przygotowywali niezmiernie długo, a my staliśmy ze związanemi w tył rękoma, oczekując, co to będzie.

Pomiędzy oficerami tego szwadronu spostrzegliśmy kilku znajomych, z którymi nie jedną wesołą spędziliśmy chwilę, czy to na polowaniu, czy na jakiej zabawie, bo wtedy był jeszcze zwyczaj żyć z oficerami. Między innymi byli tam i Polacy, jak np porucznik Aleksandrowicz. Jakkolwiek nie liczyliśmy na to, aby który z nich działał wbrew powinności swojej, co nawet ze związanemi rękoma żądać było nierozsądkiem, ufając jednak honorowi wojskowemu, spodziewaliśmy się, iż wszelkie pastwienia i nadużycia ze strony chłopów miejsca mieć nie będą. Jakoż znalazł się między tymi oficerami jeden, co rzeczywiście tak rzeczy pojmował a był nim baron Berlichingen, którego poznałem u mego szwagra, nieszczęśliwego Dominika Reja, zamordowanego okrutnie w Dębicy Gdy albowiem jeden z szwaliżerów, stojąc na koniu przedemną, począł coś wygadywać, Berlichingen natychmiast nakazał mu milczenie.

Gdy tak stoimy, zbliża się po chwili do mnie chłop z pałką, i zaczyna łżyć mnie po swojemu. Gdy go ofuknąłem i wskazałem na wojsko, w obec którego już władza chłopska nad nami ustała, chłop cofnął się o parę kroków, a podumawszy chwilę odwinął pałką i palnął mnie w głowę! Zalany krwią potoczyłem się pomiędzy obok stojących kolegów. Tu zaczęło się ogólne młócenie nas, w całem tego słowa znaczeniu, pałkami i cepami, w które chłopi niektórzy byli uzbrojeni; a wszystko to w obec oficerów znajomych i Polaków, jak p. Alexandrowicz!

Po tej trzepance, z której kilku mocno pokaleczonych wsadzono na wozy, resztę a między innymi i mnie, ustawiono środkiem drogi; każdego wziął chłop z tyłu za postronek w jedną rękę, trzymając pałkę w drugiej. Żołnierze po jednej i drugiej stronie drogi uszykowali się jeden po drugim, a między nimi oficerowie. Podpułkownik Ludwig przemówił do nas, wskazując nam nabite karabinki, że który tylko na bok się ruszy, lub zechce uciekać, natychmiast padnie trupem, i marsz! marsz! kłusem ku Tarnowu.

Jak tam było, i zkąd się wzięły siły, że tak my jak prowadzący nas chłopi nastarczyli kłusowi koni, nie wiem. To wiem tylko, że chcąc uniknąć bicia i popędzania przez chłopów pałkami, a przez żołnierzy i oficerów pałaszami, pędziłem naprzód wyciągniętym kłusem, nie oglądając się za siebie, a razy, przekleństwa i komenda oficerska dochodziły mnie tylko z tyłu. Pędziliśmy tak, stając co chwila, dla pochwycenia tchu, nie wiem czy nam czy koniom potrzebnego.

Nie daleko Tarnowa, na ostatniej górze, kazano mi wsiąść na sanki pewnego szlachcica z okolicy, niejakiego

pana Worczyńskiego, który Bogu duszę winien, mając kamienicę w Tarnowie, jechał sobie tamże w prywatnym interesie, jeszcze w wilję dnia tego wieczorem. Chłopi przytrzymawszy go przed karczmą w Krzyżu, trzymali tam pod strażą noc całą, a teraz przyłączywszy do nas, wieźli do Tarnowa. Chłop siadł na przodzie twarzą do mnie obrócony, a w ręku trzymał lufę od jakiejś zrabowanej strzelby; dwóch innych stanęło z tyłu za sankami, i dopiero nuż rozmawiać, częścią pomiędzy sobą, a po części zwracając się do mnie, ową lufą grożąc mi ciągle po pod nos, gdy ja miałem w tył ręce związane.

Słuchając tych rozmów, tych groźb i wyrzutów do mnie zwróconych, między któremi wymawiali mi, że ich chciałem wyrżnąć, to znów podrzeźniali, jak to panowie kiedy się zjadą, bawią się tylko, kłaniają się sobie, popijając kawę i zajadając zwierzynę, a chłop biedny na nich pracować musi i stać za drzwiami. Pomimo wszystkiego nie mogłem się wstrzymać od śmiechu. Tu zaraz przykładał mi lufę do zębów, mówiąc:

Nie wyszczerzaj zębów, ty wilku, coś nas chciał zjeść, bo ci je tu zaraz wybiję, i cóż mi zrobisz za to?

Jakkolwiek był to argument *ad hominem*, nie traciłem czasu, natężałem całą moją wymowę, ażeby tych ludzi oświecić; były chwile nawet, że mnie słuchano z uwagą.

Tak zbliżaliśmy się do nieszczęsnego Tarnowa. Tu nowa nastąpiła scena. Masa ludu, żydów, uliczników wyległa naprzeciw nas; wielu z wykształceńszych w mieście było oczywiście wtajemniczonych, z tych zatem każdy po doznanym zawodzie niedoszłego wybuchu, przycupnął w domu. Sam motłoch i najpodlejsza część ludności wybiegła na to widowisko. Była to droga prawdziwie krzyżowa; plwano,

ciskano błotem, szkalowano nas, jako rabusiów i złodziei. W ulicy zwanej Brama pilznieńska, naprzeciw nas w otwartem oknie, z fajką na długim cybuchu, rozsiadł się Luksenberg, propinator tarnowski znany z roku 1847. Z tryumfującą miną patrzał on z góry na nas.

W tem zrobił się szmer jakiś pomiędzy tłumem; chłopi zaczęli wołać, ścigać i łapać kogoś Chcąc się przypatrzyć, co to jest, podniosłem się na sankach. ale uderzony z tyłu pałką w głowę, usiadłem zaćmiony. Ten, co go ścigano, był to dependent od adwokata, Kunaszewski, który nie wiem zkąd się tam wziął w tej chwili, a złapany przez chłopów i osadzony w więzieniu z innymi, wysiedział w niem najniewinniej kilka miesięcy.

Zaprowadzono nas na rynek, i tu przed ratuszem otoczeni wojskiem i chłopami, czekaliśmy z godzinę, jedni, na wozach, drudzy na sankach, inni piechotą, a wszyscy mniej więcej zbici i zbroczeni krwią, która się lała z wozów po bruku, śród przekleństw, szkalowań i krzyków rozjuszonej gawiedzi. Baron Berlichingen i tu powtórnie obronił mnie od napaści szwaliżera, który z dobytym pałaszem odgrażał mi, mówiąc, że miałem być królem Galicji. Niechaj mu za to będzie cześć, jako człowiekowi honoru i serca, że nie dał pastwić się nad bezbronnym.

Wtem przyszedł rozkaz, ażeby nas wieść do sztokhauzu; cała hurma ruszyła za nami, a w tej drodze oberwało mi się jeszcze kilka szturkańców w głowę.

Przed sztokhauzem ustawiono piechotę w dwa szeregi i kazano iść tym szpalerem. Żołnierze obrócili karabiny kolbami w górę, i nuże łupu cupu po głowie. Nie wiem już, wiele takich razów odebrałem. Padłem na ziemię i spostrzegłem nad sobą pałasz oficera, który wołając *halt!*

wstrzymał dalsze bicie. Dowiedziałem się później, że był to niejaki Bierfeldner, młody porucznik od kirasjerów, adjutant od jenerała. Miło mi jest i temu złożyć tu podziękowanie, bo jemu niezaprzeczenie zawdzięczam życie.

Podniesiony z ziemi, zataczając się jak pijany, wprowadzony byłem na piętro w sztokhauzie. Tu na korytarzu dość długo jeszcze czekać musiałem, śród obelg i urągowiska rozjuszonych, tak, że prawie pianę ze złości toczyli, wymawiając mi ciągle, że przezemnie już kilka nocy nie spali.

Gdy przyszedł profos z kluczami, a otworzywszy kaźnię, wtrącił mnie do niej wraz z moim towarzyszem Worczyńskim i drzwi za nami zatrzasnął, zdawało mi się, że dostałem się do raju, a odurzony siadłem na łóżku, z związanemi rękami, nie śmiejąc długo z tych więzów się uwolnić. Worczyński dopiero po chwili zwrócił na to moją uwagę i rozwiązał mi ręce.

Krew skrzepła mi na twarzy, na głowie powyskakiwały guzy, że musiałem wyglądać potwornie, pomimo to jednak, w porównaniu z drugimi, nie mogę mówić, dosyć obronną wyszedłem ręką *). Po paru dniach okładania zimną wodą i śniegiem, wszystko wróciło do dawnego stanu

---

*) Jak dalece chłopi jeszcze w Lisiejgórze byli niewprawni w rzezi i rabunku dowodzi, że nie tylko nie zamordowali nas, ale nawet zegarek, 1600 złr. i 52 dukatów w złocie, które miałem przy sobie, zostały nietknięte. Przekonany jestem, iż gdyby nie zachęcano ich do bicia, bylibyśmy zdrowo wyszli i byłoby się skończyło na tych kilku, co ich przy rozbrajaniu poszturkali

Tak zakończyła się lisiogórska wyprawa, którą tu zgodnie z prawdą skreślić zamierzyłem, zostawiając resztę na później.

Co do usposobienia włościan, tak u mnie jak u brata mego, że było ono w owej chwili nieobłudne, na dowód dodać tu jeszcze winienem, iż gdy minęły dnie szału, żałowali oni tego, co uczynili, a gdy przyszło do indagacji, do których ich pociągano, nic na nas nie zeznali; wydaną ową przez mego brata deklarację pisemną żonie jego zwrócili, większą część winy składając na Kłobukowskiego, o którym wiedzieli, że nie żyje, i na innych kilku zabitych, zamilczając o rozdawaniu kos, o przysiędze i o wszystkich tym podobnych, a mocno nas potępiających okolicznościach.

Kiedy zaś roku 1848 powróciłem do domu, ów wójt mój, Tomasz Sarama, i zięć jego, Marek Mazur, przyszli do mnie z całą gromadą, najrzewniej przepraszając i tłómacząc się, że obawiali się odpowiedzialności.



VI.

Pierwsze chwile w więzieniu. — Niepewne posłuchy o wypadkach w kraju. — Nieszczęścia rodzinne. — Śledztwo wstępne w Tarnowie. — Odwiedziny dygnitarzy. — Przewiezienie do Lwowa.

Z uwięzieniem mojem i osadzeniem w sztokhauzie zakończyła się moja działalność w sprawie 1846 roku, a było to dnia 19go lutego tegoż roku.

Nie moją jest rzeczą opisywać tu wypadki zaszłe natenczas w całym kraju; wypada nietylko trzymając się wytkniętego naprzód programu, w którym zamierzyłem ograniczyć się na osobistych wspomnieniach, zdać sprawę z dalszego mego postępowania podczas indagacji, które różni różnie tłumaczyli. Jedni czynili to przez złość rozmyślną, inni, idąc zwykle przyjętym trybem potępiania nieszczęśliwych, inni zaś, a to po największej części, przez głupotę i plotkarstwo. Powtarzano plotki za policją i figurami rządowemi, które nie mogąc fizycznie, chciały moralnie zabić nas w opinji narodu, ażeby przez to wprowadzić nową nieufność, rzucić kość podejrzenia i niezgody pomiędzy nas, i tym sposobem odstraszać nadal od wszelkich przedsięwzięć tego rodzaju.

Nim atoli przystąpię do tej nowej strony przedstawionego tu obrazu, niechaj mi będzie wolno w krótkości streścić najważniejsze punkta, które w ciągu mego opowiadania głównie wyświecić chciałem. Punkta te są:

1) Że wybuch roku 1846 nie był improwizacją ni ztąd ni zowąd, powstałą w mózgu kilku tak zwanych zapaleńców, gdyż od r. 1833, czyli raczej od upadku rewolucji, cały kraj pracował nad urzeczywistnieniem go. Dowodem na to są partyzantka Zaliwskiego, późniejsze działania tak emigracji jako i krajowców, wreszcie spiski ustawicznie odradzające się jedne na gruzach drugich, a propagnjące ideę demokratyczną, na której spoczywają dziś niemal wszystkie państwa europejskie. Propaganda ta, lubo wprawdzie niekiedy mniej zręcznie i z przesadą właściwą ułomności ludzkiej prowadzona, która jednak przyczyniła się wielce do podniesienia ducha narodowego, jeśli nie w ludzie, to w średniej klasie społeczeństwa, sprawiła to, że w dalszym postępie epoki spiskowej, ludzie najświatlejsi, najumiarkowańsi i najlepszej wiary z wszystkich klas narodu, począwszy od szlachty aż do wyrobnika udział w spiskach brali. A stało się to nietylko w części Polski pod rządem austrjackim zostającej, ale we wszystkich jej częściach.

2) Że pierwsza myśl wybuchu przyspieszonego w roku 1846 nie wyszła z emigracji, bo centralizacja towarzystwa demokratycznego, jak to wyżej dostatecznie faktami dowiodłem, odkładała go do dalszego czasu, chcąc dopiero kilkuletnim kursem szkolnym przysposabiać do niego wojskowych. Myśl powstania tego wyszła raczej od młodzieży, w różnych spiskach skompromitowanej w Kongresówce, przechowującej się w W. Ks. Poznańskiem, pomiędzy którą

głównie odznaczał się Dembowski. Ta to młodzież poruszyła stan średni, który goręcej rzeczy biorąc, pociągnął niejako za sobą komitet zawiązany w Poznaniu, składający się z ludzi najzacniejszych, najświatlejszych i najumiarkowańszych tej części Polski, a ztamtąd dopiero ruch poczęty, rozszerzył się i do nas.

3) Że powziąwszy przekonanie, jakkolwiek co do przygotowań w Kongresówce przesadzone, jednak co do Poznańskiego rzetelne, niepodobna prawie było, ażeby Galicja nie podała im ręki, bez wzięcia na siebie ciężkiej a hańbiącej odpowiedzialności.

4) Że wszelkie zarzuty i monstrualne potwarze, pomawiające nas o komunizm, demagogją, socjalizm i tympodobne brednie, były tylko niecnym wymysłem ludzi niechętnych i taktyką władz ówczesnych, a powtarzali to głupcy, samoluby i inna gawiedź. Bo jeżli oczywiście powstanie miało być oparte na idei demokratycznej, czyli ludowej, to ta nie przechodziła u nas nigdy granic, w jakich je dziś nawet rządy najabsolutniejsze u siebie wprowadzają.

5) Co do zarzutu, iż zanadto lekkomyślnie liczyliśmy na masy: dowiodłem w ciągu mego opowiadania niejednokrotnie, iż do ostatniej chwili nie mieliśmy powodu sądzić, ażeby te masy czynnie przeciwko nam powstały, i doprowadziły aż do mordu i rabunku, bo nie przypuszczaliśmy nigdy, ażeby organa rządu absolutnego posiadającego dość siły, dopuściły się do tego środka rozpaczy, równie jemu samemu, jak nam i wszelkiej organizacji społecznej, niebezpiecznego. Trzeba albowiem przypisać to łagodnej naturze słowiańskiej, iż rzecz ta na tem się tylko skończyła; łatwiej to bowiem poruszyć masy, niż je w ruchu pohamować. Przekonany nawet jestem dotychczas, iż do osta-

tniej chwili, rząd sam ówczesny nie był pewny, jak dalece mu się te machinacje powiodą: dowodem najlepszym ów strach paniczny, ów do szaleństwa doprowadzony zamęt i nieład pomiędzy wszystkiemi władzami.

6) Nakoniec, chciałem dowieść i dowiodłem, że spisek 1846 r. nie był zabawką dziecinną, nie był wybrykiem kilkunastu ludzi, ale było to dzieło wielkie, ogarniające tysiące z wszystkich klas społeczeństwa: bo lubo szlachta, czyli ludzie możniejsi, starsi, wytrawniejsi, w początkach zimniej do rzeczy przystępowali, to dalej, czem bliżej wybuchu, wszyscy się do nas garnęli. A jeśli byli tacy, co na to wszystko zyzem spoglądali, a nawet pokątnie niestworzone o nas roznosili wieści, to mogę powiedzieć śmiało, iż nie znalazł się ani jeden, coby stanowczo, otwarcie i odważnie oparł się robotom naszym, a mieli do tego porę, lecz, jak to wykazałem, wcale nie tając się przed tymi ludźmi, wprost od nich, roboty nasze zaczynałem. Dlaczegoż wtedy nie potępili oni mnie otwarcie, nie odmówili śmiało jak na mężów przystoi, współudziału w rzeczy niezgodnej z ich przekonaniem, a raczej woleli to zachować na później, gdy zbity i związany nie mogłem się im obronić?! Kto wie, może podówczas, w samym jeszcze początku, otwartem takiem a uczciwem wystąpieniem, byłbym się dał zwrócić z toru, na któren raz wstąpiwszy i brnąc coraz dalej, cofnąć się już nie mogłem. A jeśli postępowanie moje przyczyniło się wielce do późniejszych nieszczęść krajowych, to mogę zapewnić, że i osobiste nieszczęścia moje ztąd wynikłe nie mniej mnie też dotknęły.

W pierwszych chwilach po uwięzieniu, gdy ochłonąłem z przykrych wrażeń, jakie ta cała scena na mnie wy-

warła, nie upadłem wcale na duchu, i rzeczy za zupełnie stracone nie uważałem; sądziłem albowiem, iż pomimo to, że nam się w Tarnowie nie powiodło, w innych miejscach pójdzie może lepiej, czekałem więc niecierpliwie, co się 21go lutego pokaże. Jedno tylko niepokoiło mnie nieco; myślałem sobie, a nuż nie dadzą doczekać tego dnia i według praw wojennych, we 24 godzin rozstrzelają? Mogę jednak zapewnić, iż szło mi tu więcej o ciekawość, o to, żeby wiedzieć, co się dalej stanie, aniżeli o życie.

Kto nie przechodził przez podobne katastrofy, ten może nie uwierzy jaka to ogarnia obojętność na los własny, i z jak zimną krwią oczekuje się spełnienia przeznaczeń. Nie jestto żadna fanfaronada, ale gdyby byli mnie byli w tej chwili wywiedli na plac, byłbym to przyjął jak coś naturalnego i codziennego.

Tymczasem minęło kilka dni, a żadna wiadomość o tem, co się dzieje w kraju, nie doszła nas nawet. Dopiero pewien oficer znajomy, Włoch Galateo, wpadłszy na korytarz, otworzył okienko do mojej kaźni, i powiedział mi po francusku:

— *Ah! si vous saviez ce que'se passe! que de morts on a amené!*

Potem zatrzasnął okienko i pobiegł dalej zapewne zanieść innym tę dobrą nowinę.

Była to pierwsza wiadomość o rzezi, dopóki nie dowiedziałem się bliższych szczegółów z kartek, przysłanych mi przez posługaczy więziennych.

Opisywać tu, co się działo ze mną na te wieści, byłoby zbytecznem. Lubo sumienie nic mi nie wyrzucało— bo czyż mogłem ja przewidzieć to wszystko? były przecież chwile, gdzie wyrzucałem sobie, iż do tej sprawy przy-

łożyłem rękę, nie przewidując nawet jeszcze, że będą tacy, co na mnie całą odpowiedzialność za to zrzucać będą, jak się to później stało. Niespokojność o żonę, dzieci i rodziców, o których nic mi donieść nie umiano, nie mało dodawała mi boleści. Były to dnie okropne, a męki moralne jakich wtedy doznawałem, nie dadzą się z niczem porównać!

Widząc iż wszystko stracone, o własnym losie nie myślałem już wcale, nie mając nawet wyobrażenia, jaki cała ta sprawa obrót weźmie, czy nastąpi sąd wojenny, czy bez sądu powieszą, czy też poprostu zamordują w kaźni, jak o tem głośno z umysłu oficerowie na kurytarzu mówili, wydając rozkazy żołnierzom, ażeby, gdy tylko zbliżą się rebelanty, wszystkich nas wykłuli i wymordowali!...

W kilka dni później dopiero zjawił się w kaźni urzędnik od komisji kryminalnej, Koliszer, znany mi już z poprzednich indagacyj w domu, w sprawie Goslara, i zażądał oddania pieniędzy, zegarka i wszelkich kosztowności, których według prawa, więźniowi kryminalnemu mieć przy sobie nie wolno. Ztąd dopiero powziąłem przekonanie, iż cała ta sprawa pójdzie zwykłą drogą kryminalną: a że przewidywałem, iż będą tu do niej wplątane tysiące winnych, znając zwykłą procedurę austrjacką, pewny już byłem odtąd, że proces takowy pociągnie się przynajmniej jakie lat parę. Wkrotce też nadszedł oficer z profosem, i nałożono mi kajdany na rękę i nogę.

Oprócz tej niedogodności, do ktorej w dni parę z łatwością przywykłem, więzienie moje w sztokhauzie było dość znośne, a wprawa, której nabyłem już w czasie poprzedniego mego blisko trzechletniego więzienia we Lwowie, czyniła to, iż z położeniem mojem dużo łatwiej pogodzić się umiałem, nizli inni nowicjusze. Najlepszy do-

wód tego miałem na moim towarzyszu Worczyńskim, który nie sypiał, nie jadł, i wydziwić się niemógł, że ja te wszystkie funkcje wypełniać mogłem. Muszę tu bowiem nadmienić, iż czy to w skutek ulania żółci, czy z innej jakowej fizycznej przyczyny, apetyt miałem tak nienasycony, że nietylko swoją, ale i jego porcję zjadałem, zwłaszcza, gdy jedzenie dawano nam z traktyjerni wcale nie złe.

Tak powoli, powoli, w miarę jak uciszyło się na świecie, i ja też przyszedłem do równowagi, odzyskując wszelką przytomność, i siłę moralną. O żonie tylko i o rodzicach, oprócz tego, że żyją, nie dawano mi żadnych szczegółów. Jakkolwiek niepokoiło mnie to mocno, tłumaczyłem sobie milczenie kładąc je na karb przeciętej komunikacji. Nie przewidywałem niestety, jaka była prawdziwa przyczyna!

Kiedy po wyruszeniu naszem na wyprawę, doszły do domu głuche wieści o rzezi około Tarnowa, nieszczęśliwa żona moja wraz z matką moją, (ojciec albowiem od dawna złożony chorobą był już wtedy konający, i właśnie w owych dniach grozy 80 letniego poczciwego żywota dokonał, co nawet dało powód, iż mylnie umieszczono go na liście zamordowanych wydanej w emigracji) wyjechały do miasteczka, o trzy mile, szukając tamże przytułku, jako w miejscu odległem o mil kilka od teatru wydarzeń. Rzucam zasłonę na to, jakim się to stało sposobem, że zamiast przyzwoitego schronienia, musiały te kobiety wraz z dziećmi małemi schronić się w ciasnym domku poczciwego mieszczanina Olszańskiego, dość iż się tak stało. Dzieci zapadłszy na szkarlatynę, przeziębiły się i w kilka dni po-

marły. Było to dwóch chłopczyków jak aniołki; jeden miał trzy lata, drugi o rok był młodszy.

Niechcąc dodawać mi boleści taką smutną wieścią, nie donoszono mi o tem wcale. Co więcej, gdy w kilka tygodni żona moja zaledwo zdołała dostać się do Tarnowa, i uzyskała pozwolenie widzenia się ze mną, anielska ta kobieta miała tyle nad sobą mocy, że tłumiąc żal głęboki zataiła go przedemną, pomimo nielitościwych zapytań moich o te dzieci ukochane, któremi jej serce rozdzierałem... Można sobie wyobrazić, jaką walkę przetrwała tu ona między tym niewypowiedzianym żalem a przywiązaniem do mnie — z której wyszła, z ową, śmiało rzec można, bohaterską odwagą, godną matek Spartanek, godną matek Polek!

Nie chcąc więcej powracać do tego dziś jeszcze po latach tylu, rozdzierającego serce ustępu, dodam tu jeszcze, że przeszło rok cały utrzymywała mnie żona w takiej niewiadomości. Gdy później, jak to opowiem, wywieziono mnie do Lwowa, a ona ciężką złożona chorobą, wśród najokropniejszych bolów fizycznych, pozostała w Tarnowie, gdy za pośrednictwem sądu, pozwolono nam niekiedy do siebie pisywać, w każdym liście na natrętne moje zapytywania o dzieci, i o wszelkie tychże dotyczące szczegóły, miała ona odwagę odpisywać mi, że są zdrowe. Odpowiedzi te wprawdzie bywały lakoniczne, co uwagę moją niekiedy zwracało; przypisywałem to atoli tylko delikatności, z jaką chce mi oszczędzić rozczulenia zbyt szczegółowym opisem. Nigdy albowiem nie przypuszczałem takiej mocy duszy w wątłej tej na pozór i fizycznie znękanej istocie, nie przypuszczałem również, aby Bóg miłosierny taki cios zesłał i na nią i na mnie, lubo, gdy nareszcie zasłona spadła, ani chwili nie sarkałem, poddając się tak w tym wypadku, jak we

wszystkiem, co mnie dotknęło, świętej woli Jego! Jeśli kiedy dopełni się miara, a szala sprawiedliwości Bożej przechyli się na naszą stronę, pochlebiam sobie, iż łzy tej nieszczęśliwej istoty, dodane do tyle łez naszych matek i Polek, nie mało się do tego przyczynią. Trzeba sobie wystawić kobietę słabego zdrowia, z dwojgiem konających dzieci przed oczyma, a z trzeciem, co miało przyjść na świat w kilka miesięcy póżniej, by krótkiem swem życiem, bo tylko dwuletniem pocieszyć ją na ziemi — kobietę tę, wygnaną z domu, tułającą się pomiędzy obcymi, a przytem nie mającą żadnych o mnie wieści z powodu przeciętej komunikacji z Tarnowem, zkąd tylko głuchy dochodził szmer, że tam już wszystko w pień wycięto -- trzeba sobie wystawić tę istną Niobę, patrzącą na padających koło niej wszystkich, których kochała — a przyzna pewnie każdy, że spełniła ona do dna czarę boleści! .

Pamiętam jak dziś, dnia 26go marca 1846 r. wezwano mnie do pierwszego badania. Że zaś w stokhauzie tak było pełno, iż nie było miejsca na kancelarję, przeprowadzono mnie do przeciwległego gmachu szpitalu wojskowego. Wyszedłszy na dwór z zaciemnionej kaźni uczułem prawdziwą roskosz, gdy mnie owiało balsamiczne powietrze wiosny. A była to wiosna tak piękna i wczesna, jakiej nie pamiętam w naszym kraju. Jakby na urągowisko ludziom złej woli od dnia owego najokropniejszej burzy i zawiei, w którym zdążaliśmy pod Tarnów, i od katastrofy Lisiogórskiej, 19go lutego poczęła się wiosna zupełna: w marcu było już zielono, jak gdyby natura, wstydząc się spraw ludzkich, spieszyła czem prędzej pokryć tym kobiercem ślady przelanej krwi bratniej. Brzęk kajdan, które dźwigałem, szyderski wzrok kilku oficerów stojących na placu

przed sztokhauzem, mimo których przechodziłem pod eskortą kilku żołnierzy z najeżonemi bagnetami, dziwnie odbijały od tej wiosennej pogody.

Wprowadzono mnie do kancelarji Za stołem siedział radca kryminalny Wotawa, a obok niego trzymający pióro urzędnik Koliszer. Podano mi krzesło, a tuż za mną stanął żołnierz z karabinem, zapewne ku obronie prześwietnej komisji, gdybym w rozpaczy chciał się rzucić na nią z jedną gołą ręką, bo drugą miałem okutą.

Po zwykłych wstępnych pytaniach przystąpiono do szczegółów. Wiedząc już wtedy, kogo i gdzie zamordowano, a udając zupełną o tem nieświadomość, począłem całą winę składać na tych nieboszczyków. Zeznałem, iż Eisenbach, dawny oficer polski (który istotnie miał dowodzić jednym oddziałem powstania, a którego zabito) przysłał mi, nie pomnę przez którego (z nieboszczyków także) rozkaz stawienia się pod Lisiągórą; że zaś oddawna dochodziły mnie wieści o jakiemś powstaniu, o którem mówiono ogólnie, a przeciw któremu rząd nie przedsiębrał żadnych środków, nie będąc głębokim politykiem sądziłem naiwnie, iż może Austrja sama tajemnie wspiera te zamiary, rada pozbyć się Galicji, byleby tylko zaszkodzić Rosji, tej wiecznej swojej rywalce. Utrzymywałem, iż wiedząc z historji, z jaką niechęcią jeszcze Marja Teresa do rozbioru Polski przystępowała, jak dawała przytułek konfederatom barskim, a w r. 1831 rząd austrjacki widocznie protegował ruch polski, tem łatwiej mogłem powziąć to przekonanie. Że zaś, będąc Polakiem, czułem się być obowiązanym każdemu podobnemu wezwaniu w imię ojczyzny i honoru zadosyć uczynić, nie mogłem wahać się stanąć na wezwanie Eisenbacha Zkąd zaś cały ten plan powstał, kto był pierwszą jego sprężyną,

gdzie się poczynał i gdzie się kończył, odwołuję się w tem do Eisenbacha, któremu jestem gotów każdej chwili zeznać to w oczy.

Tłumaczenie takowe w dosyć prawdopodobny sposób ułożone, którem kilka arkuszy zapisano, zdawało mi się być najlepszem, jakie w tej chwili obrać było można, a sądząc na prawdę, iż na tem tle nie tylko ja, ale i inni będą mogli się tłómaczyć, postanowiłem sobie trzymać się go stale.

Wiedząc, iż w całym kraju uwięziono jakie kilka tysięcy osób, sądziłem, iż rząd widząc, że z takiej wikłaniny przy tylu pozrywanych nitkach przez śmierć winnych i niewinnych wybrnąć mu trudno i dojść do prawdy, że widząc przytem, jak są umysły w kraju i w Europie rozdrażnione tylu mordami, a przekonawszy się nakoniec, iż wszelkie dlań niebezpieczeństwo już minęło, bo cała sprawa upadła, zechce zręcznie wywikłać się z tego ambarasu, a nie wiedząc kogo karać tam, gdzie wszyscy winni a zarazem znowu wszyscy niewinni prawie, żeby oczyścić się z zarzutów przed opinią świata, po niejakim czasie płonnych i do niczego nie wiodących indagacji, zechce pokryć wszystko aktem tak zwanej łaski. Przekonanie, iż nie ma tu dla rządu innej drogi, tak mnie opanowało, że odtąd cały ten proces olbrzymi miałem sobie za nic i pewny byłem, że nikomu z nas nic się nie stanie.

Jakkolwiek zdarzenia późniejsze w r. 1848 uwolniły nas niespodzianie, przerywając spokojny przebieg całej tej sprawy, przekonany jestem dotąd, iż i bez tego nie mogłoby stać się inaczej. Przekonanie to nie odstępowało mnie przez cały czas, i dla tego ani na chwilę nie oddawałem się rozpaczy; a ci, co się widywali ze mną w czasie uwięzienia

jako i koledzy moi, co ze mną siedzieli, mianowicie ksiądz Szerszník, ksiądz Józef Nowakowski, Ksawery Burzyński Hieronim Farczyński i inni, którzy jakkolwiek pośrednią czy bezpośrednią styczność mieli ze mną, niechaj mi w tem zaświadczą. Podnoszę to dla tego, ażeby dowieść, jak mylne i potwarcze były owe o mnie wieści, jakobym upadłszy na duchu, ze słabości czy zgoła z bojaźni, do zeznań obszerniejszych przystąpił.

Po skończonym protokole, który trwał kilka godzin bez przerwy, nie odprowadzono mnie do sztokhauzu, ale pozostawiono przez dwa dni w szpitalu, gdzie także wtenczas urządzono więzienia. Byłoto z powodu kolegi mego Worczyńskiego, którego zarazem chciano wyindagowac.

Człowiek ten, blisko 60letni, najniewinniejszy, bo do niczego nie należał, wyjechał tylko w dniu naszej wyprawy do Tarnowa w prywatnym interesie. Wzięty przez chłopów na drodze i osadzony wraz ze mną siedział tak sobie przeszło pół roku. A iluż to takich więźniów stanu było wtedy w całym kraju? Nie było miasta obwodowego, któregoby nie zamieniono na wielki zakład więzienny, gdzie mieszczono w pierwszym zamęcie jak śledzi ludzi najrozmaitszych, winnych i niewinnych bogatych i ubogich, tak, że nieraz po dwudziestu i więcej musiało się dusić w jednym szczupłym pokoiku, a trwało to przeszło przez rok cały, zanim sąd kryminalny lwowski, natenczas jedynie kompetentny do sądzenia spraw politycznych, nie wybrał sobie jakby z jakiej sadzawki pewnej liczby ofiar, potrzebnych mu do uformowania monstrualnego procesu owego, trwającego aż po rok 1848. To też dzięki takiemu wybieraniu trafiło się nieraz, iż jednych sądzono jak najsurowiej za mniej znaczące prze-

winienia, podczas gdy innym, daleko winniejszym udało się wykręcić rozmaitemi sposobami.

Cóż to za złote były czasy dla urzędników, wysłanych ze Lwowa na komisje kryminalne do wszystkich tych miejsc, pozapełnianych więźniami! Dyety, awanse, często gęsto prezenta sypały się jakby z roga obfitości. Jak wszystko na świecie ma swój punkt zwrotny, do którego doszedłszy już nie posuwa się dalej, ale przeciwnie powraca na dół, tak biurokracja doszła niezaprzeczenie w tych dwóch latach do szczytu; były to istne saturnalia, prawdziwe zapusty meternichowskiego karnawału. Z rokiem 1848 zato nastały dnie postu i pokuty, a lubo ruchy roku tego nie zdołały obalić zupełnie całego systemu, za nadto wkorzenionego we wszystkie soki żywotne, w krew i szpik ówczesnej biurokracji można być pewnym, że owe dnie świetne, owe miesiące miodowe przepadły już dla biurokracji na wieki... Jakkolwiek bowiem rzuca się ona i konwulsyjnem wierzganiem swojem nie jedno w około siebie potrącić i wyrzucić jeszcze może, trudno, ażeby kiedy stanęła już na nogach, i odzyskała siły, któremi w szalonym owym tańcu szafowała nad miarą.

Opisywać więzienie moje w Tarnowie a później we Lwowie szczegółowo nie widzę potrzeby, zwłaszcza, gdy są to rzeczy dziś już znane i dokładnie opisane. Powiem tylko tyle, iż oprócz kajdan, które były mi dosyć przykre, lubo nie tak dalece, jakby się to komu wydawać mogło, było ono dosyć znośne. Na świeże powietrze nie wypuszczono mnie wprawdzie wcale w Tarnowie, bo też i miejsca nie było po temu, lecz mimo to komunikację ze światem miałem codzienną przez rozmaite sposoby, co wiele ulgi przy-

nosiło, a tak czas trzechmiesięcznego więzienia tamże zeszedł mi dosyć szybko.

O jednym ważniejszym epizodzie z owego czasu zapomniałem powiedzieć. Była to wizyta hrabi Lażańskiego, wice prezesa gubernium lwowskiego, który odwiedził mnie wraz z księciem Szwarzenbergiem (Fryderykiem podobno) pułkownikiem od huzarów, w towarzystwie rozlicznej świty, w której znajdował się między innemi komisarz cyrkularny Leśniewicz. Pan Lażański, przywitawszy się ze mną dość grzecznie, jako ze znajomym ze Lwowa, oznajmił o śmierci niektorych znajomych, a między innymi szwagra mego Dominika Reja, kończąc tę rozmowę dodatkiem:

Patrz pan, coście tą nieszczęśliwą waszą rewolucją narobili.

Trzymając się wtedy na stanowisku zupełnej niewiadomości, odpowiedziałem mu na to, iż rewolucja ta, o której nic nie wiem, w żaden sposób nie może być moją; a wskazując na Leśniewicza dodałem, że jest ona raczej tych panów dziełem.

Na to Lażański rzekł:

— A przecież Dembowski bywał u pana!

Odpowiedziałem, że nie bywał, a nawet gdyby i tak było, to nie moja rzecz o tem rządowi donosić, gdyż ma on na to tych panów, i tu wskazałem znowu na Leśniewicza.

Gdy pan Lażański twierdził, że było to moją powinnością, odrzekłem mu z oburzeniem, iż do tego pewno nigdy nie przyjdzie, ażebym był denuncjantem.

Książę Szwarzenberg rozwodził się długo, jakto i on był dotąd przyjacielem Polaków, i on polską czapkę nosił, (domyślam się, że musiał służyć w regimencie ułanów

austrjackich) a za tę przyjaźń i za tę rękę, którą nam podawał, chcieliśmy mu odpłacić sztyletem i trucizną.

Nie wiem, gdzie to szanowny książę, przyjaciel Polaków wyczytał, i odpowiedzieć na taki zarzut niedorzeczny nie umiałem, powiedziałem tylko, że nasza cała historja dostatecznie dowodzi, iż Polak nigdy nie walczył podłością.

Na tem skończyła się cała rozmowa, która mi dała poznać poniekąd, jak takie wyższe figury rządowe na całą rzecz się zapatrywały.

Około 2go maja kilkunastu nas wybrano i wywieziono do Lwowa, nie więcej jednak jak po kilku na raz, każdego na osobnym wozie, pod silną eskortą, odmieniając wozy na każdej stacji. Podróż ta trwała dwa dni i dwie nocy.

Na pierwszy nocleg stanęliśmy w Rzeszowie, gdzie nas umieszczono w kryminale. Z Rzeszowa nazajutrz dodano nam straż inną, i innego urzędnika, tudzież inne kajdany, pamiętam okropnie ciasne i ciężkie, tak, że dobrze dały mi się we znaki Pomimo to, nie traciliśmy fantazji, a przynajmniej nadrabialiśmy miną.

W transporcie moim, jechał pamiętam ksiądz Morgenstern, dzisiejszy poseł, młody Bronisław Romer, i Stanisław Stojowski. Przyznam się, iż dosyć się zadziwiłem, spostrzegłszy tego ostatniego, wiedziałem bowiem, iż do niczego on nie należał, a jeśli w ostatniej chwili dał się unieść fali, to nie sądziłem nigdy, aby ludzi tak mało w sprawę wtajemniczonych jak on i młody Romer, do Lwowa kwalifikowano. Dawało mi to do myślenia, iż dotąd rząd na zupełnie fałszywej jest drodze, a jeśli podobnymi ludźmi zechce zapełnić więzienia, to liczba więźniów urośnie na tysiące, jeden albowiem przez młodość, a drugi

przez odmienne widzenie rzeczy zupełnie nie należał do kategorji tych, którychby sądzić i karać było warto.

W Przeworsku stanęliśmy na obiad w oberzy, naprzeciw pałacu księcia Lubomirskiego. Ten dowiedziawszy się o tem przysłał nam parę butelek doskonałego starego wina, a że do obiadu zasiedliśmy razem. wypiliśmy to wino za jego zdrowie, i nie pamiętam, żeby mi kiedy wino tak smakowało. Pokrzepieni a nawet podochoceni nieco, przegwarzyliśmy parę godzin wesoło, jakby gdzie w lepszych czasach na jarmarku w Dąbrowej, po czem jechaliśmy dalej na noc do Przemyśla, gdzie osadzono nas w więzieniu, przerobionem z klasztoru Bernardynów.

Więzienie to po brudnym, ciemnym i okropnym kryminale rzeszowskim, tak jakoś milutko wyglądało, jakby dziecinna zabawka. Celki malutkie, ledwo jakie trzy kroki w kwadrat mające, ściany cienkie, okna nizkie, wszystko to jakkolwiek dla człowieka wolnego i nieprzywykłego zapewne wydałoby się okropnością, na mnie jakieś wcale nie przykre robiło wrażenie. tak, że prawie żal mi było jechać dalej, tem bardziej gdy na noc zdjęto mi owe rzeszowskie kajdany. Skoro świt jednak ruszyliśmy dalej.

Z Przemyśla znów inny urzędnik, inne wojsko odprowadzało nas; wsadzono nas do krytych bryk furmańskich, i przykuto za nogę do bryki, zamiast kłaść kajdany na rękę Urzędnik siadł zemną. Nie pomnę już jak się nazywał. ale było to jakieś nie złe człeczysko; ile możności starał się osładzać nam nasze położenie.

W Mościskach znowu jedliśmy obiad razem, a w Gródku stanęliśmy na kolację, gdzie już po raz ostatni pożegnaliśmy się z sobą. przewidując, iż nie prędko się zobaczymy.

Cała ta droga dziwnie przypominała mi pierwszą mą podróż podobną, gdy mnie w roku 1833 także tędy jako więźnia wieziono do Lwowa, z małemi jednak odmianami. Wtedy byłem bardzo młody — dziś przybyło mi lat kilkanaście; wtedy nie zostawiałem za sobą nikogo oprócz rodziców i kochanki — dziś zostawiłem ją jako żonę, i matkę dwojga dziatek, które wtedy mniemałem, że żyją. Matkę o kilkanaście lat starszą, majątek zrujnowany na boskiej opiece, krewnych i przyjaciół pomordowanych lub uwięzionych, a sprawę której się poświęciłem upadłą — i przecież żyło się jakoś i nie traciłem otuchy! O przyszłość byłem dość spokojny; przewidywałem, że trzeba będzie czas jakiś odpokutować, ale żeby to miało być na długie lata, nigdy jakoś nie mogłem przypuścić, a i tym razem, odwołuję się tu do świadectwa tych, co ze mną wtedy jechali.

VII.

Przybycie do Lwowa. — Pierwsi towarzysze więzienni. — Szczegóły śledztwa. — Zmiana systemu w obronie. — Odparcie krzywdzących podejrzeń. — Przeniesienie do małych koszar. — Posłuchy o egzekucji na Wiśniowskim i Kapuścińskim. — Rok 1848. — Odzyskanie wolności. — Zakończenie

Do Lwowa przywieziono nas równo z zachodem słońca. Liczna publiczność, jak zwykle o tym czasie krążyła około wałów. Postrzegłszy nasze bryki obsadzone żołnierzami, mnóstwo osób cwałem biegło za nami aż pod mury Karmelitów. Nim otworzono bramę do podwórca, na któren mieliśmy wjechać, wychyliwszy głowę powiedziałem otaczającym nas ciekawie moje nazwisko. Wysiadłszy z bryczki, kolegów podróży nie widziałem już więcej, bo ich gdzieś w inną stronę zaprowadzono.

Dobrze mi znany dziedziniec więzienny, owe okopciałe mury starego niegdyś klasztoru, znajome twarze niektórych dozorców, przypomniały mi żywo spędzone tu niegdyś trzy lata młodości mojej.

Po zwykłej rewizji, spisaniu rzeczy, pieniędzy, itp. więziennych formalnościach, wprowadzono mnie znaną mi dokładnie drogą, na pierwsze piątro. Ciekawy byłem mo-

cno, gdzie mnie też umieszczą, aż tu prowadzą mnie pod Nr 20 Byłato kaźnia odosobniona, tuż nad drzwiami, prowadzącemi do gmachu sądowego, mająca tylko jedną obok siebie kaźnię, napełnioną samemi złoczyńcami. Znana mi ona była z pierwszego w więzieniu pobytu, bo w niej siedział samotnie Konstanty Słotwiński. Nieraz wtedy, rozmawiając przez okno, albo pukaniem z ówczesnymi moimi kolegami, użalaliśmy się nad tym nieszczęśliwym, że tak jest odosobniony od nas, i niema z nikim komunikacji. Łatwo sobie więc wyobrazić, jakiego doznałem uczucia gdy mnie tam wprowadzono, miałem jednak nadzieję, że przy takim natłoku więźniów, niepodobna, ażeby dla wszystkich osobne miejsca się znalazły: nie przypuszczałem albowiem nigdy, ażeby więźniów stanu ze zwykłymi złoczyńcami mięszano. Lecz i jakież było moje zdziwienie, gdy w kaźni tej zamknięto mnie sam na sam z jakimś chłopem Rusinem, brudnym, rozczochranym, odrażającej powierzchowności złodziejem.

Na środku kaźni stała prycza, a na niej dwa sienniki; tam to miałem ja w małżeńskiej zgodzie położyć się obok mego towarzysza. Ponieważ zaś było już dosyć ciemno, i nie stawało czasu rozpatrywać się długo, więc znużony podróżą po kilkumiesięcznym spoczynku, bez namysłu usłałem sobie łóżko własną pościelą, i wkrótce zasnąłem twardo

Nocna rewizja nie przeraziła mnie już, jak tego zwykle doznawali nowicjusze pierwszej nocy Gdy jednak rano po dniu rozpatrzyłem się lepiej około siebie, gdy spostrzegłem tuż obok leżącego przy mnie owego Rusina, doznałem niewymownego wstrętu i oburzenia na takie postępowanie ze mną. Jakkolwiek bowiem nie szło mi tu wcale o obrazę szlacheckiej godności i traktowanie zarówno z chłopem, to

przecież między chłopem uczciwym a złodziejem, między czystym a plugawym, zawsze i wszędzie była i będzie różnica.

Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, pomyślałem sobie, że przecież może to lepiej będzie bodaj i z taką żywą istotą być zamkniętym, niźli samotnie. O, bo ta samotność dała mi się już dosyć we znaki podczas pierwszego mojego więzienia! Mniemałem że znajdę tu sposobność czynić spostrzeżenia psychologiczne, a może wpłynąć na tego człowieka moralnie, dobrą radą i nauką.

Po lepszej znajomości dowiedziałem się, że chłopisko ukradł gdzieś krowę, i już po raz drugi siedzi tu w kryminale. Był to człowiek głupi, narzekał tylko, przeklinał wzdychał, i zawsze był ponury; raz tylko na dzień rozjaśniała mu się cokolwiek fizjognomia, a to gdy mu jeść podawano Na zapytanie moje po rusku: *czy ne majesz ty wszy?* Odpowiedział mi on najnaiwniej: *mają buty* (co znaczy: muszą być!). Odpowiedź ta, nie nader pocieszająca, zwłaszcza przy tak blizkiem sąsiedztwie, rozśmieszyła mnie jednak, bo wystawiłem sobie jak to stworzenie musi w butach pociesznie wyglądać. Chcąc jednak uniknąć skutku tej ciekawości, na drugą noc zabrałem siennik z pryczy, zostawiłem na niej całe panowanie koledze mojemu wraz z jego familją, a sam położyłem się na ziemi. W nocy, gdy spostrzegł to Kerkermajster, zapytał, czemu raczej tamtego z pryczy nie zrzuciłem? A na odpowiedź moją, że nie miałem do tego żadnego prawa, skoro nas tu obu zrównano, zawołał: „Ho, ho! co za demokracja!“ Pomogło to jednak o tyle, że na noc następną przyniesiono mi za moje pieniądze łóżko osobne, a chłopa ubrano w czystą bieliznę, wytargawszy go za to porządnie za uszy.

Siedziałem z tym chłopem z miesiąc, dopóki nie zabrano go sobie szczęśliwie, poczem dano mi innego kolegę, akademika, niejakiego Medweckiego. Od niego to dopiero dowiedziałem się niektórych szczegółów, tyczących się wschodniej części Galicji, a mianowicie o rzezi w Horożanie, o bezowocnym wybuchu pod Narajowem pod dowództwem Teofila Wiśniowskiego, o uwięzieniach we Lwowie i t. p. Kilka tygodni zeszło mi z tym młodym człowiekiem najprzyjemniej, poczem wypuszczono go na wolność. Dziwna rzecz, że odtąd nigdy, nigdzie z nim się nie spotkałem, i nic o nim nie słyszałem.

Jeśli nie miłem było mi towarzystwo z owym złodziejem, czemże ta nieprzyjemność była w porównaniu z innymi kolegami moimi, których między kilku a nawet kilkunastu takich łotrów umieszczono!

Ale wracam do rzeczy. W kilka dni po przybyciu do Lwowa, wezwano mnie do indagacji. Referent mój pan Pohlberg zmierzył mnie ciekawie od stóp do głowy; oprócz niego i aktuarjusza jego pana Drenig, zastałem w biórze dwóch świadków z miasta, pana Engla zegarmistrza, i drugiego, którego nazwiska nie pomnę.

Protokół był taki sam, kubek w kubek jak i w Tarnowie, tylko nieco więcej szczegółowy. Jeśli referent badał mnie ciekawie, to i ja niemniej ciekawy byłem dociec, co on też wie o mnie. Taka pierwsza inkwizycja bywa jakoby próba sił, występujących w szranki zapaśników; gdy jedna strona próbuje coby tu dało się wybadać, to druga przeciwnie co da się utaić, a jakkolwiek siły są nierówne, bo inkwirentowi służą źródła i wiadomości powzięte z całego świata, a więzień zamknięty i nie wiedzący nic co przeciwko niemu świadczyć może, musi wszystkiego na oślep

dochodzić — to przecież z jaką taką przytomnością i bystrością pojęcia, da się mniej więcej wyrozumieć, czego się trzymać wypada, przynajmniej tymczasem. Dopiero w dalszym ciągu badania, kiedy to nagromadzą się dowody, a inkwirent umie z nich zręcznie korzystać, kiedy trafiwszy na pierwszą nitkę tej tkaniny uda mu się ją wypruć, to już słowo za słowem porze się dalej wszystko do końca. Dla tego to wprawni postawili sobie za pierwszą zasadę w takim razie, ażeby przeczyć wszystko (*prima regula fortiter negare*) i zaiste, nie ma tu środka: albo potrzeba wszystko przeczyć ryczałtem, albo wdawszy się raz w połowiczne zeznanie, niepodobna będzie się zeń wywikłać.

Kto nie doświadczał inkwizycji kryminalnej, ten nie ma pojęcia, jak tam lada słówko nierozważnie wyrzeczone, lub też zręcznie wyciągnięte, snuje za sobą coraz dalszy szereg pytań, wniosków i zawikłań, a wszystko to jak mówię po omacku, bo któż tam może przeniknąć, ile z tego wszystkiego wykryto już istotnie, a ile inkwirent domyśla się tylko i jako rzecz wykrytą przedstawia. Ztąd to pochodzi, że bywały wypadki, iż ludzie najtęższego charakteru zaraz po protokole takim, życie sobie odebrali, że najbieglejsi prawnicy znający na pamięć wszelkie paragrafy któremi zastawiać się mogli, popadli w najobszerniejsze zeznania. Cóż dopiero powiedzieć o ludziach prostodusznych, brzydzących się kłamstwem i wykrętami, nie znających przepisów prawnych, a do tego częstokroć, nie nader bystrego pojęcia. Czyż można dziwić się nawet i wymagać po nich, ażeby w sprawie, w którą przytem wchodziło mnóstwo osób złej wiary, podłego charakteru, lub słabego ducha, mogli oni utrzymać się niezachwianie tak, ażeby i sami siebie obronili, i drugich nie potępili? Wymaganie takie

było czystą utopią, w którą jednak muszę się przyznać, sam wierzyłem, mniemając, iż wielkie owe ułatwienie jakie dawała tu sposobność składania winy na nieżyjących, dopomoże żyjącym, tak, że jeśli przyjdzie do zasądzenia, to chyba tylko za fakt oczywisty zbrojnego wystąpienia, którego zataić było niepodobna.

Pierwsza inkwizycja utwierdziła mnie tem mocniej w podobnem mniemaniu, widziałem albowiem, że odtąd nic pewnego i stanowczego na jaw nie wyszło Gdy przytem dodano mi za towarzysza niejakiego Lisowskiego, który należał do sprawy, tak zwanej narajowskiej, gdzie główną rolę odgrywał Teofil Wiśniewski, i gdy od tegoż Lisowskiego dowiedziałem się, że cała ta sprawa już jest ukończona i zasądzona w pierwszej instancji — tem mocniej utwierdziło mnie to w mojem przekonaniu. Jakże albowiem mógłby sąd tak spiesznie kończyć sprawę z Wiśniowskim, gdyby był wiedział o jego działalności i stosunkach ze mną, nie pytając mnie się nawet o niego? Widocznem było, iż dotąd trzymano się tylko wyłącznie tych, których schwytano na gorącym uczynku, pomijając zupełnie stronę spiskową i przygotowawczą, stronę, że tak powiem duchową całej tej sprawy. A może też, ze zwykłem lekceważeniem wszystkiego co polskie, nie przypuszczano nawet, ażeby ta sprawa wzniosła się do owej wysokości duchowej, i liczono ją raczej do zwykłych burd szalonych, bez żadnej podstawy i wyrachowania!...

Pomimo częstego dopominania się mego, żeby proces mój przyspieszano, przez całe kilka miesięcy nikt mię o nic nie zapytał. Pobyt mój w więzieniu w porównaniu z dawniejszym pod drakońskiem berłem Pressena, był o wiele znośniejszy. Naprzód, miałem zawsze towarzysza, powtóre

pozwolono mi abonować książki w księgarni, po trzecie, na długie wieczory dawano lampę, wprawdzie nie do wnętrza kaźni, ale przymocowaną do tak zwanej wizytyrki, to jest okienka szklannego we drzwiach zewnątrz, tak, że światło tej lampy oświecało tę kaźnię Na spacer tylko pół godziny wypuszczano mnie codziennie. Wszystko to były ulgi, których dawniej nie doznawałem.

Tak schodził dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, aż pamiętam dnia 16go listopada zawołano mnie powtórnie do indagacji. Teraz to poczęła się już wojna na prawdę. Tak z pytań i zarzutów, jako i ze zbijania mych odpowiedzi, które usiłowałem ciągle stosować do wytkniętego powyżej programu, coraz widoczniej poznawałem, iż śledztwo kilkomiesięczne wyprowadziło na jaw mnóstwo nowych faktów, które sądziłem iż zostaną w ukryciu. Były tam szczegóły a nawet drobne szczególiki nieznane i ten fakt drobny, że do Krakowa na konferencję z Mierosławskim, dostałem się za pomocą 5 reńskich, któremi przekupiłem policjanta.

Oprócz tego z zarzutów wymienionych mi przez referenta, częścią protokolarnie, a po części ustnie, widziałem jak monstrualne powziął on wyobrażenie o całej tej sprawie. Raz wychodziły tu na scenę dążenia komunistyczne, to znów szlachecko-polskie zachcianki, ukrywające się pod fałszywą maskę liberalizmu. Zarzucał on nam, iż łudziliśmy tylko obietnicami chłopów, których nigdy na prawdę ziścić nie myśleliśmy. Zarzut ten ostatni najwięcej mnie ze wszystkich oburzał, bo miałem rzetelne przekonanie o czystości naszych zamiarów, i o niekłamanem poświęceniu wszelkich materjalnych korzyści dla sprawy, a był to zarzut, mówiąc nawiasem, pochodzący od jednego z najczynniejszych naszych

ajentów. Franciszka Wolańskiego z Krosna. Człowiek ten, wpadłszy w rodzaj obłąkania czy zwątpienia, mnóstwo nagadał niepotrzebnych rzeczy, mnóstwo zarzutów wysypał na mnie gradem, z których trudno by mi się było wytłumaczyć nawet wtedy, gdybym był nie zmienił systemu obrony. Wszystko to wybaczam mu po chrześcijańsku, zarzutu atoli powyższego nie wybaczę mu nigdy; zarzut ten oburzał mnie więcej, niźli ów oklepany o komunizmie, bo w oczach wrogów stawał się on prawdopodobniejszym i trafiał do ich przekonania.

Co do komunizmu, owego straszydła ludzi majętnych, którym ci sami przeciwnicy szermowali, wiedzieli oni dobrze, iż nam go z dobrą wiarą zarzucić nie mogą, bo dążenia nasze nie wykraczały nigdzie z granic porządku społecznego, nie sięgały po za narodowość, wolność, równość, braterstwo, owe znane zasady, przyjęte przez wszystkie cywilizowane ludy europejskie, na których z konieczności historycznej, każdy rząd nawet musi się dzisiaj opierać, chcąc zyskać trwałą podstawę.

Zarzuty trucizny, sztyletów i podstępnej rzezi urzędników Niemców i oficerów — których rzekomo zwabiwszy na bal w Tarnowie, i połapawszy na druciane stryczki, jakie podobno pewien korespondent do gazety Augsburgskiej miał widzieć na własne oczy, kobiety nasze miały wykłuć sztyletami — opierano głównie na pojedyńczem wydarzeniu, iż w Pilźnie powstańcy zabili burmistrza Markla, którego ten los spotkał za podburzanie chłopów.

Zabójstwo to przypisywano mojemu rozkazowi, a nawet jakaś kobieta zeznała, że mnie tam osobiście widziała, kiedy ja właśnie w tej chwili, o trzy mile od Pilzna jechałem pod Lisiągórę. Pomimo oczewistej bredni w tem

zeznaniu, musiałem stoczyć o to walkę niesłychaną, i dopiero na mapie dowodzić, że w jednej chwili nie mogłem być w dwóch miejscach o kilka mil od siebie odległych. Odpierając tę napaść nie przeczyłem wcale, ażeby podobne pojedyńcze wypadki zemsty za bezwzględne postępowanie urzędników, nie mogły mieć miejsca tu i ówdzie, wszelką jednak solidarność ze siebie zrzucając.

Oprócz zeznań rozmaitych, prawdziwych i najfałszywszych tego rodzaju, pochodzących po części z złej woli, a po większej części z prostej głupoty lub też nieprzytomności i wprawy, nie mało też było prostych denuncjacyj i oskarżeń tak bezpośrednich na piśmie do protokołów zeznanych, jako też pośrednich, za pomocą plotek, narzekań, przekleństw miotanych na mnie przez rozmaite nieszczęśliwe wdowy po zabitych, matki, siostry zabitych i uwięzionych, które w pierwszej chwili nie myślały kogo mają obwiniać, lecz tego bynajmniej za złe nie biorę, bo nie wiedziały co czyniły, a wielka boleść ich miała swoje prawa. Organa policyjne nie omieszkały oczywiście podnieść te narzekania, zrzucając przeto z siebie cały ciężar odpowiedzialności na mnie, przyczem rade były dowiedzieć się nie jednego szczegółu co do mojej działalności w tej sprawie.

Denuncjacyj podobnych pisemnych, pochodzących niestety od obywateli, od szlachty, ludzi używających pewnego znaczenia w obywatelstwie, pokazywano mi kilka, i gdybym chciał, mógłbym tu nawet zacytować ich nazwiska, ale niechaj im Bóg przebaczy! Byli to ludzie, którzy jak wyżej mówiłem, przeciwnego z nami zdania, opuszczeni od rządu, i oddani w ich mniemaniu na pastwę urojonego terroryzmu rewolucyjnego, przystąpili do nas w końcu z czystego tchórzostwa. Dziś, gdy wszystko przepadło, nie

mieli oni nic lepszego do czynienia, jak czemprędzej udać się do władzy, by dobrowolnem potępieniem nas w ogóle, a mnie w szczególności, zamaskować przed rządem, nawet ten mały udział, jaki wzięli w naszej sprawie, a przytem dać folgę długo ze strachu tłumionej żółci, i pomścić się na nas za to.

Między innemi, jeden z podobnych nieproszonych świadków zeznał pisemnie, jakoby go mój brat napadł z pistoletem w domu, żądając pieniędzy, gdy mój brat nie znał go nawet, a tylko ja sam byłem raz u niego potrzebując, aby mnie dalej odesłał, przy czem go nawet osobiście nie widziałem, bo sprawę całą załatwił ekonom. Drugi, zaraz w pierwszej chwili, gdy jeszcze w najlepsze rzeź trwała pod Tarnowem, wpadł do swego starosty wraz z sąsiadem swoim, pewnym panem baronem, i naplótłszy kilka arkuszy niestworzonych rzeczy przeciwko mnie, zakończył temi słowy:

— Teraz, jak słychać, rozpuści swoją bandę pod Tarnowem, gdzie rabują wsie i palą.

Pewien z takich obywateli ziemskich, uwięziony we Lwowie, jeszcze do większej doszedł doskonałości; nietylko nagadał on do protokołu, że byłem u niego z Dembowskim, przebrany i w peruce, a to gdzieś tam w Brzeżańskiem, (co było fałszem zupełnym, bo tego człowieka nigdy nie znałem i dotąd nie znam), ale raz, podsłuchawszy rozmowę kolegów swoich przez okno, wprost zameldował się do sądu i wszystko co słyszał, zeznał do protokołu. Jestto fakt, któremu może kto nie da wiary, i ja sam nie uwierzyłbym także, gdyby protokół ten, nie był mi wpadł przypadkowo w oczy.

Takich to niestety! mieliśmy ludzi pomiędzy sobą, obok najszlachetniejszych i najzacniejszych, mogących być każdej sprawy i każdego narodu chlubą; takich to ludzi, taką hołotę w zaślepieniu podnoszono do godności męczeństwa, sypiąc jak z worka wyroki na kilka i kilkanaście lat nawet, gdzie tylko była jaka bądź poszlaka!

Ale do rzeczy. Z tego chaosu zeznań i zaskarzeń, wystawiając nietylko mnie i kolegów moich, ale całą sprawę w najfałszywszem świetle, trzeba się było wydobyć koniecznie. Nie miałem jednak na tyle odwagi, ażeby wziąść tu inicjatywę. Przywykły w dawniejszych procesach uważać wszelkie zeznania za słabość, sądziłem, że jak tylko zboczę od przyjętego systemu obrony, jednym krokiem wyjdę po za ów cmentarz pomordowanych nieboszczyków, którym wszystkie role w tym ułożonym dramacie rozdałem, to popełnię zbrodnię. System ten cmentarny, którego jako najłatwiejszego na pozór i inni koledzy moi się uchwycili, przyczynił się do coraz większego zamętu, na czem prawda i godność sprawy nie mało cierpiały. Składano bowiem tak kierunek jak całą sprawę na pierwszych lepszych, najniewinniej pomordowanych, wysławiając ich jako pierwszych bohaterów; utwierdzając przez to w rządzie mniemanie, że stało się słusznie, iż ich pomordowano, gdy właśnie przeciwnie, trzeba tu było wykazać, ile popełniono niesprawiedliwości taką ryczałtową egzekucją, gdzie na jednego winnego padło kilkudziesiąt niewinnych, najspokojniejszych, i tak przeciwnych rewolucji całej, jak same organa rządowe.

Łatwo sobie wystawić jak pożądane były podobne zeznania. Nie omieszkano głosić przed światem,

jakich to niebezpiecznych hersztów powstania pozabijano. Znaczniejsze imiona tych ofiar, najniewinniej pobitych, występowały tu jako imiona przewodników powstania.

Trzymającemu się na stanowisku obronnem, referent mój zadawał mi niejedno kłamstwo, zapisując jednakże cierpliwie wszystkie me zeznania. Aż po kilkodniowej takiej katuszy, wystąpił on do mnie z przemową, mniej więcej następującej treści:

— Muszę zwrócić pańską uwagę, iż jesteś na mylnej drodze, która cię do niczego nie doprowadzi. Zapierasz pan fakta dobrze nam znane, bronisz osób i zakrywasz je, gdy one same już się do wszystkiego przyznały, i pana nie oszczędzając. Rzecz, co do kierunku i początku spisku jest nam dokładnie znana, bo mamy na to bardzo ważne zeznania ludzi, których pan o zdradę, głupstwo lub słabość posądzać nie będziesz; poczynili oni je widocznie w tym celu, ażeby rządy o istocie całego tego zamachu oświecić. Lubo nie jest to moim obowiązkiem, muszę panu powiedzieć, iż ludźmi tymi są: Tyszowski, Mierosławski, Kosiński, i inni w Poznańskiem, którzy jak najobszerniejsze zeznania poczynili. Wzywam więc pana, ażebyś także porzucił niewłaściwą drogę, na której jesteś, i poszedł wskazanym ci przez tamtych torem. Mogę pana zapewnić, iż jedynie tym sposobem możesz pan zwrócić rząd na drogę łagodności i względności, tak co do niego, jak i co do wszystkich innych uwięzionych. Nakoniec — mówił dalej — widzisz pan, iż ta rzecz cała skończona. Rząd, gdy zechce postąpić z wami surowo, i bez dalszych zeznań pańskich ma do tego aż nadto prawnych powodów; wyjaśnieniem okoliczności zatem, jeśli nie pomódz, to i zaszkodzić bardziej pan nie zdołasz. Proszę jednak — dodał nakoniec —

nie brać tego co tu mówię za żadne z mej strony przyrzeczenie, bo powiem panu otwarcie, iż wbrew pańskiemu mniemaniu, w żadną amnestję nie wierzę.

Przemowa ta, dosyć uczciwa, której zdrowej logiki odmówić nie mogłem, nie obrachowana jak to zwykle bywa na inkwizytorskie kruczki, wybiegi i obiecanki, ale wprost otwarcie i do rozumu przemawiająca, odsłoniła mi z niemałem podziwieniem cały stan rzeczy. Było to dla mnie coś tak nowego, tak niezgodnego z dotychczasowem pojęciem o obowiązkach więźnia, że w pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, jak ludzie tacy, a zwłaszcza Mierosławski, którego, wyznam szczerze, natenczas miałem jeszcze za ideał bohatera rewolucyjnego, mogli tak postąpić. Złej woli, słabości lub zdrady nie przypuszczałem.

Widząc moje niedowierzanie, referent przedłożył mi protokoły Tyssowskiego i Mierosławskiego, z których czytał mi kilka ustępów, tyczących się mojej osoby. Między innemi zeznał ten ostatni, iż gdy do niego do Krakowa przybyłem, odezwał on się (co istotnie tak było):

— No, kiedy mamy Wiesiołowskiego, to na cóż nam tu czytać raport Dembowskiego. Wszak on będzie nam najlepszym żywym raportem.

Powiedział on dalej, że ja, będąc na czele spisku, mam klucz do wszystkiego, co się tyczy Galicji. Na dowód zaś, że Mierosławski nie czynił zeznań przez słabość, lub chęć bronienia siebie, zacytował mi referent ustęp jeden, który dziś jeszcze dosłownie pamiętam. Mierosławski mówi tam po niemiecku:

— *Ich brannte vor Begierde mit den Unterdrückern meines Vaterlandes einmal anders als mit der Feder kämpfen zu können.* — Co znaczy: — Pałałem żą-

dzą już raz nareszcie z uciemiężycielami mojej ojczyzny inaczej walczyć niż piórem.

Wysłuchawszy tego wszystkiego oświadczyłem, że wcale mi tu nie idzie o moją osobę, bo wiem, że nie mam nic do stracenia, ale idzie mi o innych, których nie mogę kompromitować; proszę zatem o trzy dni czasu, bym się mógł namyślić. Referent powtórzył mi tu jeszcze uwagę, że daremnie troszczę się o innych, gdy oni i tak już siedzą po uszy. A muszę tu wyznać, według słuszności, iż tak w tym razie, jak i przez cały ciąg czasu, gdy miał ze mną do czynienia, postępował uczciwie, lubo nieprzyjaciel Polaków w ogóle, w całem słowa tego znaczeniu liberał biórokratyczny, to jest taki, coby to chciał zostawić wszelką wolność, ale tylko urzędnikom, bo po za tą kastą według jego mniemania, a zwłaszcza też w Polsce, nikt do wolności nie dorósł. Był to człowiek światły i prawy, o ile to zgadzało się z jego urzędowym charakterem.

Powróciwszy do kaźni, miałem nad czem przez trzy dni myśleć. Z wszystkiego, co się dowiedziałem o zeznaniach Poznańczyków, widząc przytem ów chaos w pojęciu i zapatrywaniu się na sprawę komisji śledczej, pojmowałem i domyślałem się, że i tamci na taki sam chaos natrafiwszy, powzięli zamiar zrzucić maskę, i stanąć rządom oko w oko, mówiąc im śmiało prawdę. Myśl tę pojąłem od razu, przemówiła mi ona do przekonania i do wyobraźni dość żywej z natury, a do tego wyegzaltowanej w więzieniu.

Ale jakże tu począć, ażeby prawda wyszła na jaw, a osoby zostały nietknięte? Czyż sąd kryminalny, a do tego niemiecki, więc pedantyczny, śledzący każdy najmniejszy szczegół, da się zbyć ogólnikami? Czyż będzie

dosyć na tem, gdy mu przedstawię suchy szkielet, ni to uczoną jakąś rozprawę, choćby najdobitniej wyczerpującą całą teorję praw i dążeń naszych, jeśli wywodów tych nie oprę na faktach i osobach? Czyż podobieństwo, raz wyszedłszy z obronnego mego stanowiska, raz napocząwszy ową tkaninę, ustrzedz, ażeby i dalej się nie pruła? Czyż nie lepiej, myślałem sobie, i nie z większą godnością byłoby tu nie czekać aż mnie połapią za słówka, i niejako wyciągną ze mnie zeznania połowiczne, bez sensu i kierunku, nie prowadzące ani do ocalenia niczyjego, ani do wyświecenia prawdy, ani do postawienia w należytem świetle całej tej sprawy, zapoznanej i zpotwarzonej tak przez wrogów, jak i przez własnych ziomków?

Co do współwinnych, widziałem ja tu jasno, że ich nie uratuję. Kto schwytany na uczynku, albo kto sam się w zeznaniu zaplątał, (a takich było mnóstwo) tego bardziej nie potępię; kto zaś trzyma się odpornie, temu zeznania moje także szkodzić nie mogą, i pole do dalszego wypierania się stoi mu zawsze otworem.

Będąc nareszcie zbiegiem okoliczności postawiony na czele całej tej sprawy, poczuwałem się względem niej do innych obowiązków jak każdy pojedyńczy. To poczucie obowiązku mówiło mi, iż winienem odpowiedzieć myśli kierowników, którzy mieli prawo władzy nademną, a przeto mniejszemi względami nie mogę się dać od tego odwrócić. Przewidywałem ja, iż zeznaniami mojemi może nie jednemu nie dogodzę; ależ pytam się: czy dowódzca pułku gdy mu każą szarzować na armaty, ma się oglądać na to, że ten lub ów podkomendny spadnie tam z konia? Czyż zresztą owi podkomendni jego nie powinni być na to przygotowani, że gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą? Czyż na to, my-

ślałem sobie, obdarzyli mnie swojem zaufaniem, ażeby przy pierwszej lepszej sposobności obwołać mnie zdrajcą? Tego nie przypuszczałem! I to był mój błąd jedyny, że nadto byłem pewnym swej bezinteresowności i poświęcenia, którego od kolebki prawie dawałem dowody, ażebym mógł coś podobnego przypuścić. Sądząc po sobie, mniemałem, że tak jak ja przyjąłem zeznania Mierosławskiego, lubo z niejakiem podziwieniem w pierwszej chwili, ale nigdy, ani na chwilę z podejrzeniem, tak i ci, co się o moich zeznaniach dowiedzą, zdziwią się może w początku, ale przecież złej woli nigdy mi nie przypiszą.

Pomyliłem się w tem niestety! O boli mnie to dotąd jeszcze, ale tak pomyli się każdy, co będzie sobie przesadzał ludzkie poświęcenie. Łatwo to było nie jednemu za dobrych czasów, dopóki się przyszłość uśmiechała, szermować słowami; łatwo nawet z pałaszykiem w ręku po staremu siąść na konika — ale gdy przyszło znieść nudy i męki więzienia, gdy przyszło nie pięścią, lecz słowem, sercem i głową popracować, a popracować w skrytości, bez rozgłosu i blasku dla sprawy — to odstąpili mnie waleczni żołnierze... Poszedłem sam do szarży, a z tyłu za plecami gwar i szemranie, i słowo okropne: „Zdrada!...“ Słowo to niestety znane w Polsce i często używane, przeszyło serce moje! O! niech wam Bóg tego nie pamięta!... Ja dawno przebaczyłem...

Im bardziej rozmyślałem przez te trzy dni, tem mocniejszego nabierałem przekonania, iż tylko śmiałem wystąpieniem postawić można całą sprawę na wysokości sprawy narodowej, a przeto wymusić dla niej od rządu poszanowanie i ludzkie obejście, czego drobiazgowom i trwożliwem wypieraniem się nigdy nie osiągniemy. Gdy przytem spisek

już upadł, a wybuch się nie powiódł, i na tej drodze nic więcej nie da się już zrobić w tej chwili, a rzecz cała przeszła do historji — nie było się nad czem dłużej namyślać; przeciwnie, najmocniej byłem przekonany, że jest to może ostatnia usługa, jaką oddać można krajowi. A że mam to w naturze, iż nic nie lubię czynić na połowę, powziąłem zamiar przystąpić do zeznań jak najobszerniejszych, z wszelkiemi szczegółami, z których cała sprawa zostałaby z najściślejszą prawdą wyjaśniona; postanowiłem zeznania moje z ciasnych pojęć inkwizycyjnych wznieść do wysokości opowiadania historycznego rewolucji roku 1846.

I takito a nie inny cel był mego postanowienia. Zastrzegłem sobie tylko w myśli, szanowanie osób, o ile wiedziałem, że dotąd nie są uwięzione, albo też takich, które nawet w razie amnestji, jaką zawsze przewidywałem, mogłyby być od niej wyłączone lub przynajmniej losu pozbawione. Czy ta moja polityka była dobra, czy zła, mądra czy błędna, zostawiam sąd czytelnikom; to tylko zapewnić im mogę, że nie było w niej cienia samolubstwa ani słabości, a raczej przystępując do niej miałem najświętsze przekonanie, iż wypełniam czyn wielkiej odwagi i poświęcenia dla kraju.

Wezwany po trzech dniach do bióra, zacząłem od wstępu, w którym powiedziałem, iż widząc na jak mylnej drodze znajduje się sąd w ocenieniu naszej sprawy, przystępuję sam dobrowolnie do zeznań otwartych, mając za uchybienie tak własnej godności osobistej, jak sprawie której służyłem, i którą tu zastępuję, gdybym na dal trzymał się wybiegów niegodnych takiej sprawy. Odtąd protokoły moje szły już bez przerwy, i prawie bez żadnych zapytań referenta, jednym ciągiem, przez trzy miesiące, prawie codzien-

nie, przybrawszy charakter prostego opowiadania historycznego.

Dopiero po ukończeniu tej mojej powieści, wystąpił referent z rozmaitemi zeznaniami przeciw mnie poczynionemi, tak przez współwięzniów jak innych świadków i denuncjantów. Było tam nieco prawdy, ale większa część fałszu. Utwierdziłem się z tego w przekonania, iż gdybym był pozostał przy obranym z początku systemie — (jakkolwiek koniecznym przy spiskach nie całkiem wykrytych, to w sprawie jawnej, doprowadzonej aż do otwartego wybuchu, nietylko mylnym i niestósownym, ale wielce dla tejże szkodliwym) byłbym się zaplątał w taki labirynt kłamstw i wykrętów — byłbym sobie tak związał ręce w obronie sprawy, (bo jakże byłoby można bronić rzecz i wyświecać jej prawdziwą stronę, zapierając się zupełnie wszelkiej z nią solidarności), że nie tylko sam nie byłbym wybrnął z honorem, nie tylko innych nie mógłbym był bronić z najdziwaczniejszych częstokroć zarzutów, które na nich wkładano, ale musiałbym był ich wplątać koniecznie, jak to nie tylko mnie profanowi przytrafiéby się mogło, ale przytrafiało się pierwszym prawnikom i koryfeuszom prawniczej inteligencji kraju.

Między innemi, z rozmaitych zeznań mylnych czy kłamliwych, utworzono sobie przekonanie, że w ruchu tym ogół szlachty wziął udział nadzwyczajny, że pieniądze sypały się nam tysiącami, że najznakomitsi obywatele jak np. książę Sanguszko i inni, nie tylko kasy swoje ale srebra i klejnoty złożyli nam w ofierze, i ruch nasz wszelkiemi siłami popierali. Cóż ztąd naturalnie za wniosek chciała wywieść biórokracja? Oto, skoro tej nienawistnej szlachty, w której jedynie spoczywa narodowość i z której płyną wszelkie re-

wolucje, nie dało się wyrznąć do nogi, więc należało teraz niszczyć ją do reszty materjalnie, odebrać jej przywileje, skasować pańszczyznę, podkopać wszelaki wpływ na chłopów, i wystawić ją w oczach rządu jako indyjskie parje, niegodne żadnych praw ni istnienia. Czyliż nie był tu mój obowiązek, rzetelnem wyświeceniem prawdy i stanowiska jakie szlachta w ogóle względem ruchu zajęła, odwrócić od niej zaciekłe pociski biórokracji i ile możności starać się, ażeby, gdy już i tak tylu niewinnie wymordowano, do reszty nie prześladowano i nie niszczono całej owej klasy narodu, która jakkolwiek w ruchu naszym, według wszystkiego co wyżej wskazałem, w ogólności brała udział słaby, połowiczny i prawie wymuszony, to przecież stanowi dotąd główne jądro narodowości? Co do owych sum bajońskich, któremi rzekomo mieliśmy rozrządzać, przyznaję iż oprócz ogólnego celu wyświecenia tej rzeczy z prawdziwej strony, miałem i ten cel osobisty, ażeby zrzucić z siebie podejrzenie, jakobym gdzieś fundusze publiczne tak znaczne zaprzepaścił. Dla tego w tym względzie starałem się ile możności najsumienniejszy podać rachunek, co pewne przykre nader miało dla mnie następstwo.

Pewien zacny obywatel, pan Konstanty Fihauser, ofiarował nam był 3000 reńskich. Sumy tak znacznej nie chciałem przemilczeć, nie spodziewałem się nigdy zresztą, ażeby przy takim natłoku winnych i uwięzionych, okoliczność tę wzięto surowo. Aż oto zacnego obywatela, w skutek zeznania mojego, uwięziono... Dotąd jeszcze, gdy sobie to przypomnę, żałuję, iż się tak zapędziłem, a żałuję tem bardziej, że człowiek ten z prawdziwem poświęceniem poddał się losowi i ani słowem na mnie za to nie sarknął. Byłto resztą czysty wypadek, którego przewidzieć nie mogłem,

tem bardziej, że w zeznaniach moich wiele innych osób poruszyłem, którym przecież nic się nie stało.

O ile wiem przynajmniej, oprócz tego wypadku podobno tylko jeszcze jedną osobę z mego powodu uwięziono, a to dla tego jedynie, że sądziłem, iż jest ona już wielce skompromitowana, i przeto nie widziałem potrzeby ją oszczędzać. Był to niejaki Ulewski, gorzelnik z Dzikowa. Wszyscy inni, jak to już powyżej mówiłem, mieli otwarte pole do obrony, bo nikomu w oczy nie stawałem, co jedyny mogłoby było stanowić dowód prawny, a i to nie cały, ale tak zwane pół dowodu. Muszę tu wyznać, iż wielką chęć miałem wszystkie moje zeznania każdemu w oczy powiedzieć, bo mniemałem, że tym sposobem pokażę im, iż nie są to pokątne oskarzenia, i byłbym to nawet uczynił, gdybym był przypadkiem nie dowiedział się, na jakie przezto narazilbym był ich niebezpieczeństwo.

Po skończonych indagacjach, dano mi zwykły czas trzechdniowy do wniesienia ostatecznej obrony. Prosiłem, aby pozwolono mi ją samemu spisać, a mogę zaręczyć, iż nikt może do owego czasu nie wypowiedział tyle gorzkich prawd rządowi, co ja w tej obronie jak i w całej mej indagacji wypowiedziałem. Winy z siebie nigdzie nie zrzucałem, lecz przeciwnie z innych ją przyjmowałem; zgodnie z prawdą wyznałem, że wspólnie z Dębowskim byłem całej tej rzeczy sprężyną, w czem zgoła sam referent mnie upominał, iż za nadto się narażam. O łaskę nie prosiłem, a nawet przeciwnie, wyraźnie powiedziałem, iż miałbym sobie nietylko za największą karę, ale za osobiste uchybienie, gdybym miał być w czemkolwiek lżej od innych traktowany. Nakoniec zakonkludowałem, iż gdy teraz po otwartem wyjaśnieniu rzeczy rząd już ma wszystko przed oczyma — gdy

widocznem jest z tego, że spisek niniejszy, rozbity zupełnie, należy do historji, i żadnem już nie grozi niebezpieczeństwem — gdy nadto według zdania mego epoka spisków, doszedłszy w ubiegłym roku do punktu kulminacyjnego nadal upadła, a naród odtąd zapewne na inne, nowe jakieś wstąpi drogi nie pozostaje nic rządowi, jak aktem łaski zatrzeć choć w części tyle klęsk zadanych krajowi, i złagodzić opinię świata. Jeśliby zaś miała koniecznie nastąpić kara, niechaj spadnie ona raczej na mnie, jako najwinniejszego, niż gdyby miała dotykać ludzi, po większej części obałamuconych, wciągniętych prawie mimowolnie, którzyby tylko niepotrzebnem męczeństwem swojem nie przestali jątrzyć tyle ran świeżych, krajowi zadanych.

Jeśli kiedy, wcześniej czy później, akta tej inkwizycji wyjdą na jaw, kto je czytać będzie, znajdzie tam co do słowa to wszystko, co tu powiadam.

Gdy przy końcu 1847 roku, na moje żądanie, gubernator hrabia Stadion odwiedził mnie w więzieniu, wszystko to powtórzyłem mu, zastrzegając sobie wyraźnie, ażeby nie sądził, iż dla tego takie obszerne zeznania złożyłem, by przez to sobie jakowe łaski okupić, że raczej wymawiam sobie, ażeby mnie takowemi nie hańbiono.

Rozmowa ta moja ze Stadjonem, dosyć obszerna i długa, w której z wymową, jaka nawet nie wiem zkąd mi się natenczas wzięła, przedstawiłem mu cały obraz kraju, wszelkie nadużycia biurokracji i stan naszej sprawy, wielkie na nim zrobiła wrażenie; dziękował mi za te objawienia, i zapewniał, iż nie omieszka zrobić z nich dalszego użytku.

Otóż i wszystko co miałem powiedzieć, by raz nareszcie wyjawić, zgodnie z najsumienniejszą prawdą, postę-

powanie moje i onego pobudki. Powtarzam raz jeszcze, iż sąd o tem zostawiam każdemu, nie narzucając nikomu mego przekonania. Wiem dobrze, że błądzić mogłem, nie jestem tak zarozumiałym, ażebym miał się za wielkiego polityka, wiem też niemniej, iż w polityce najwięksi ludzie nawet błędy popełniali — do tego tylko nigdy się nie przyznam, ażebym uczynił tu coś, w mojem przekonaniu zdrożnego, lub w czemkolwiek przeciwnego obowiązkom honoru i miłości ojczyzny.

Gdy wieść o zeznaniach moich doszła do więźniów, którym nie omieszkano w najjaskrawszych barwach malować, to moje postanowienie, ażeby przez to nakłaniać i ich do wyznania — (przy czem nie obeszło się bez nadużycia mojego nazwiska, gdyż wiem dowodnie, iż nie jedno cytowano jakoby odemnie pochodziło, o czem mi się nawet nie śniło), gdy wieść ta poszła z kaźni do kaźni, a ztamtąd i na świat się wydobyła, gdy wzięły ją w opiekę kobiety i policja, rada z tej nowej broni do kucia intryg i niezgody — urosło wnet wszystko do bajecznych rozmiarów. Jedni mówili, że wyrobiłem sobie amnestję i wysłanie do Ameryki, inni, że ze strachu przed szubienicą wygadałem wszystko, inni nareszcie, że jako demagog, nie mogąc już innym sposobem wytępić szlachty, chcę ją oddać na pastwę rządu — słowem, nie było zbrodni którejby mi nie przypisywano. Oczerniać mnie, spotwarzać, deptać w opinji narodu — stało się niejako modą ogólną. Wiem wypadki, że więźniowie, których nietylko nigdy nie znałem, ale nazwiska ich nawet nie słyszałem, użalali się przed drugimi, że ich potępiłem.

Siedząc, jak rzekłem powyżej, w odosobnionej kaźni, z najspokojniejszem sumieniem, nie miałem nawet wyobra-

żenia, że jestem owym kozłem ofiarnym, na którego tyle posypało się nienawiści; w miarę dopiero, jak po skończonej indagacji zmieniano mi towarzyszów, jakoteż z wieści słyszanych ze świata, podczas wizyt odwiedzających mnie kobiet, dowiadywałem się po trochu wszystkiego.

Łatwo sobie wyobrazić, co się ze mną działo. Bronić się nie było sposobu, bo jak wiadomo, przy tych wizytach, zawsze w obec urzędnika, zaledwo ukradkiem można było rzucić słów kilka, z których kobiety te nie mogły dojść prawdziwej istoty rzeczy, a pochwytawszy coś niecoś jeszcze większe snuły dziwolągi. Nawet pomimo to, że referent mój widząc tę moją torturę wewnętrzną miał tyle ludzkości, iż pozwolił mi raz otwarcie wypowiedzieć powody i cały sposób w jaki postępowałem — nie zrozumiały one i tak mojej myśli, a chcąc rzekomo łagodzić opinję, przeczyły przed światem fakt oczywisty, przez co jeszcze w większe podawały mnie podejrzenie, jakobym się wstydził i zapierał moich uczynków. Dobrze to powiedziano: „strzeżcie się swych przyjaciół!“

Wypisać zaś wszystko co jedynie mogłoby mi było dopomódz, pomimo to, iż wszelka łatwość była potemu, nie mogłem z następującego powodu: Zaraz w początkach pobytu mego we Lwowie, napisałem był kartkę mało znaczącą i tyczącą się tylko spraw familijnych, którą chciałem podczas wizyty oddać mej bratowej. Urzędnik spostrzegł to i kartkę odebrał, w skutek czego odmówiono mi wszelkich odwiedzin. Znudzony tem, a jak zwykle niecierpliwy, pospieszyłam się z daniem słowa honoru referentowi, iż odtąd żadnych kartek ani dawać ani odbierać nie będę. Fatalne to słowo, pospiesznie wyrzeczone, uczyniło mi niemożliwem wszelkie dokładne wytłumaczenie się na piśmie.

Ledwo dopiero na parę miesięcy przed uwolnieniem, gdy miałem towarzysza co korespondował z żoną, Walerego Kosakowskiego, podyktowałem jemu co chciałem puścić w świat, a on przez żonę podał dalej. Było to jednak za późno; opinja zanadto była już przeciw mnie zwrócona, ażeby dało się to tak łatwo naprawić.

Żona moja ciągle chora ledwo w jesieni 1847 zjechała do Lwowa. Tutaj nowego rodzaju czekały ją katusze; oszczerstwa na mnie miotane dochodziły do niej; kobiety, żony więźniów napadały ją z najokropniejszemi wymówkami, bez żadnego miłosierdzia ani względu należnego tak nieszczęśliwej kobiecie, a doprowadziły wnet do tego, że ją w śmiertelną wprawiły chorobę, i gdyby nie ojcowskie staranie zupełnie bezinteresowne czcigodnego doktora Wincentego Petrowicza, byłaby niezawodnie życiem przepłaciła tę srogą nieludzkość.

Taka to była nagroda za wszystkie cierpienia, za całe poświęcenie i za bezwzględne oddanie się moje, śmiało rzec mogę duszą i ciałem, tej nieszczęsnej sprawie... Bodajby nikt takiej nie doznał nagrody!...

Tymczasem sprawa szła swoim trybem. Więźniów podzielono na kategorje, według miejsc, w których zaszły zdarzenia, a począwszy podobno od listopada roku 1846, ciągle ogłaszano wyroki mniej więcej srogie, i wywożono rozmaitych ludzi do Berna. Im więcej skazywano takich, o których miałem przekonanie, że udział ich był bardzo ograniczony i mały, a skazywano ich na długie lata i więzienia, tem mocniejszego nabierałem przeświadczenia, że wszystko to dąży tylko do chwilowego zterroryzowania kraju, i musi się wkrótce skończyć amnestja, jak zwykle kończą się takie sprawy. Gdybyż to bowiem było się ogra-

niczyło na kilku lub kilkunastu najwinniejszych, to byłaby w tem konsekwencja, ależ trudno było przypuścić, ażeby kilkuset ludzi, po większej części niewinnych, i tylko zbiegiem okoliczności wplątanych, miano na prawdę kilkanaście lat trzymać w zamknięciu.

Ostatnich dni lipca 1847 r., kazano nam obydwom z moim bratem, z którym natenczas w jednej kaźni mieszkałem, spakować rzeczy i wywieziono nas do innego więzienia, do tak zwanych małych koszar na żółkiewskiem przedmieściu. Przed wyjazdem jeszcze, widziałem się z moim referentem. Miarkowałem po nim, (o, bo więzień ma wzrok przenikliwy!) że coś zaszło niezwykłego: jakby przeczuciem jakiem od razu wpadłem na myśl, że mają na kimś wykonać wyrok śmierci. Oczywiście, Wiśniowski pierwszy stanął mi przed oczyma, i wprost wpadłem na referenta, że on zapewne ma być tą ofiarą. Powiedziałem mu wręcz, że przyjdzie czas, iż rząd sam będzie żałował tego, co też wkrótce aż nadto się sprawdziło, bo od dnia tej egzekucji obudził się najgwałtowniej duch we wszystkich warstwach społeczeństwa we Lwowie, a śmierć tego zacnego syna ojczyzny, więcej może przyniosło sprawie narodowej, niż całe jego życie pełne trudów i poświęceń!

Wywiezieni do koszar, wiedzieliśmy już dokładnie, co się ma spełnić, a niezawodnie Wiśniowski i Kapuściński od chwili przeczytania wyroku nie mniej cierpieli jak my za nich tam z daleka z każdą minutą, z każdą godziną przybliżającą tę chwilę ostateczną, tę chwilę, w której ostatnią mieli nieść usługę krajowi Zdawało nam się, jakgdyby nam z życia wydarto wszystkie chwile przedśmiertne!... Całe przygotowanie do tego aktu przechodziliśmy wraz z nimi w naszej wyobraźni — a kiedy dowie-

dzieliśmy się, że już się stało, to rzewnemi łzami i szczerą modlitwą pożegnaliśmy ich na wieki!...

Po nieszczęśliwem tem zdarzeniu przewieziono nas napowrót do Karmelitów, ale już nie do tej nieznośnej kaźni, tylko pod nr. 34ty, gdzie zastaliśmy trzeciego towarzysza, księdza Józefa Nowakowskiego. Od niego, jako i od sąsiadów nowych, których mieliśmy po obu stronach, dowiedzieliśmy się niektórych szczegółów prawdziwie bohaterskiej i męczeńskiej śmierci Wiśniowskiego. Między innemi opowiadano nam, jak po przeczytaniu wyroku przed gmachem sądowym na rusztowaniu zażądał on, aby wprowadzono go nazad do sali sądowej, gdzie było zebrane całe gremium sądowe, i tam uroczyście oznajmił wszystkim sędziom, że im przebacza · jak później, wyjeżdżając już na plac, silnym, donośnym głosem zawołał na korytarzu: „Żegnam was Bracia!“ a potem z najzimniejszą krwią, z pogodną twarzą, w której malowała się uroczysta powaga i spokój stosowny do tak wielkiej chwili, jechał pomiędzy tłumy, żegnające go powiewem chustek z okien i balkonów, wieńcami kwiatów sypiącemi się pod koła, aż tam na piaskową górę, zkąd przemówił do tłumu:

— Niechaj was śmierć moja nie odstrasza!

Kapuściński także śmiało szedł na rusztowanie, ale jako człowiek młodszy i mniej wykształcony, więcej okazywał nadrobionej odwagi, niżeli głębokiej, świętej owej, co tamten rezygnacji.

W dwóch tych straceniach, przebijała myśl dwojaka. W Wiśniowskim chciano ukarać emisarjusza centralizacji wersalskiej, by przez to rzucić postrach na emigrację, jak gdyby to emigracja nie znała tego rodzaju postrachów, jak

gdyby nie liczyła ona w gronie swojem Zawiszów, Konarskich, Wołłowiczów i tylu innych, którzy przez lat kilkanaście rokrocznie prawie dostarczali pastwy Mikołajowskim siepaczom. Może być że się mylę — bodajbym się mylił! — ale przekonany jestem, iż do srogości tego wyroku nie mało przyczyniły się i owe stugębne narzekania w całym kraju, że to emigracja i emisarjusze narobili całego nieszczęścia. W Kapuścińskim chciano ukarać świętokradzkie porwanie się na poświęconą osobę urzędnika, w burmistrzu z Pilzna, lubo tenże machinacjami swemi nie mało się przyczynił zapewne, iż cała okolica około Pilzna zaczerwieniła się od krwi i mordów.

Jak się później dowiedziałem, namyślano się nad tem w wyższych sferach urzędowych, ażeby i ze szlachty wybrać ofiarę dla przykładu. Gdyby ta myśl była się utrzymała, to oczywiście nie kto inny, tylko ja byłbym był na to wybrany. Brakowało jednej rzeczy. Położono za zasadę, ażeby tam tylko śmiercią karać, gdzie przyszło do rozlewu krwi; że zaś pod Harajowem, gdzie dowodził Wiśniowski, zabito jednego czy dwóch huzarów, a w Pilznie, gdzie Kapuściński był najczynniejszym, zginął burmistrz — warunek ten był dopełniony dla spełnienia wyroku. Dlatego to w początku chciano wmówić we mnie koniecznie, że należałem do tego zabójstwa — a gdy się to nie udało, wmawiano znów, że pod Lisiągórą padło kilku chłopów. Wszak zgoła podobno w Wiedniu składki robiono na wdowy po owych mniemanych poległych: późniejsze dopiero dochodzenia wykryły zupełny fałsz tego twierdzenia.

Mniemanie, iż będę powieszony, było ogólne w kraju, tak dalece iż ostrzeżono o tem siostrę mej żony Tyszkiewiczową, a ona nakłoniła moją matkę, ażeby jechać do

Wiednia i starać się tam o ułagodzenie. Pojechały obydwie, i znowu jak w czasie mojego pierwszego więzienia zacna księżna Montlear, przyjąwszy moją matkę z serdecznością prawdziwej siostry, wszelkich sił i wpływów używała, któremi rozrządzać mogła. Czy ta troskliwość była istotnie potrzebna, czy był to tylko zmyślony postrach, ręczyć nie mogę: niemniej atoli poczuwam się do wdzięczności za te wszystkie starania. Ja tylko jeden nie miałem ani wyobrażenia, co tam o mnie radzą, nigdy albowiem nie przypuszczałem, aby władzom nie było dość krwi, już i tak aż nadto obficie wylanej. Dlatego to i wyroku, na Wiśniowskim i Kapuścińskim spełnionego, nigdy nie przewidywałem. Od tej fatalnej chwili, więzienie moje po przewiezieniu do nowej kaźni, między nowych towarzyszy, o dużo stawało się znośniejszem.

Po wypuszczeniu na wolność księdza Nowakowskiego i przeniesieniu mego brata jako słabego do szpitalu więziennego, miałem aż czterech na raz towarzyszy: Walerego Kossakowskiego, Ksawerego Burzyńskiego, Hieronima Tarczyńskiego, i Karola Przybyłowicza, poczciwego, choć prostego człowieka, który będąc u mnie na wsi profesorem, poszedł za nami pod Lisiągórę, i niewiedzieć zkąd dostąpił tego honoru, że wybrano go z pomiędzy innych kilkunastu ludzi, tego samego co on wykształcenia, ażeby go zabrać do Lwowa.

W tem towarzystwie schodził nam czas niemal przyjemnie. Odbieraliśmy gazety, czytaliśmy w nich o ruchach we Włoszech, aż nareszcie nadeszła i rewolucja francuska — oczewistem więc było, że już jesteśmy jedną nogą na świecie.

Zabawna to rzecz, iż ja te ruchy, jak gdyby jakiem widzeniem magnetycznem dawno przewidywałem; i tak: gdy jednego, razu jeszcze w czasie indagacji, dowodziłem mojemu referentowi, że wszystkie te uwięzienia i prześladowania na nic się nie przydadzą, bo duch czasu wykłuje się z tego jak szydło z worka, powiedziałem mu wyraźnie, że nietylko gdzieindziej, ale w samym Wiedniu przyjdzie kiedyś do rewolucji. Nie spodziewałem się wtenczas, że tak prędko sprawdzi się moja przepowiednia!

Dnia 19go marca 1848 r. o zwykłej godzinie wyprowadzono nas na spacer. Na dachach i w oknach przyległych kamienic spostrzegliśmy mnóstwo ludzi płci obojej, powiewających ku nam chustkami, i witających: „będziecie wolni!“ — Wiedząc już przedtem, że coś zaszło w Wiedniu, nie byliśmy zdziwieni, i przyjęliśmy tę wiadomość jako coś zwykłego, a powróciwszy do kaźni, zaczęliśmy się pakować. Wieczór na korytarzach usłyszeliśmy ruch niezwykły; otwierano i zamykano kaźnie jedne po drugich, aż przyszła kolej na nas. Otworzyły się drzwi, a deputacja, złożona z księcia Leona Sapiehy, Franciszka Smołki i Juljana Skolimowskiego, w assystencji prezesa sądu Wittmana, weszła do kaźni oznajmiając nam, iż na żądanie obywateli gubernator Stadion kazał nas uwolnić. Noc tę musieliśmy jeszcze przepędzić w kaźni, zapewnie z obawy nocnego zbiegowiska; drugiego dnia rano, t. j. 20 marca, wypuszczono nas na wolność.

Przed więzieniem zastaliśmy masy ludu. Nieskończone okrzyki radości powitały nas u progu, kobiety rzucały nam się na szyje — i tak, przeznaczeniem mojem było, ażeby tę sprawę odbyć z kobietami. Gdy bowiem najpierwej w Lisiejgórze dała mi baba w twarz, gdy w cza-

sie więzienia kobiety najwięcej mnie swemi plotkami i komerażami szarpały, to w końcu jakby wynagradzając to wszystko, znowu kobiety mnie wycałowały.

Tłum ludzi odprowadził mnie wśród okrzyków do mieszkania mojej żony, naprzeciw kryminału. Skończyło się moje męczeństwo, ale dla niej jeszcze nie było końca. Zaledwo wyszła z ciężkiej choroby, gdy gwałtowne wzruszenie powaliło ją na nowo. Smutne też to były dla mnie owe pierwsze chwile wolności. Kiedy inni na łonie rodziny, rozradowani jej szczęściem, obok ogólnej radości jaka wtenczas zabłysła w kraju, oddawali się weselu — to ja przy łożu boleści tej istnej męczennicy, pasującej się między życiem a śmiercią, pędziłem dnie i noce w ciągłej o nią obawie. Jedyną moją pociechą była tylko mała dziecina, zaledwo kilkanaście miesięcy licząca, która miała mi zastąpić czworo innych dawniej straconych. Nie spodziewałem się wtenczas, że i ten aniołek tak rychło mnie opuści, w listopadzie bowiem, a to pamiętnego dnia rewolucji 29go i ją śmierć nam wydarła!

Oprócz domowego zmartwienia, wyjście moje na świat, po tylu na mnie miotanych oszczerstwach, nie pomału było zatrutem, jakkolwiek wzwyż wspomniona moja odezwa z więzienia nie pozostała całkiem bez skutku, bo wiele ócz otworzyła - - jakkolwiek nie jednemu z oszczerców moich już wtedy własne sumienie wyrzucało krzywdę mi wyrządzoną. Lecz ja nadto czułem się obrażonym i pokrzywdzonym, ażebym mógł był od razu wszystko zapomnieć. W parę dni po uwolnieniu mojem wydrukowałem odezwę, wyzywając wszystkich którzy mieli mi co do zarzucenia, ażeby publicznie wystąpili. Nikt jednak nie znalazł się taki, bo każdy

po bliższem i zimniejszem rozpatrzeniu się, jeżli tylko nie był rozmyślnie złej wiary, musiał mi przyznać słuszność a jeżli może nie zgadzał się z moją polityką, to pochlebiam sobie, nie było takiego, coby mi śmiał był przypisać złą wiarę.

Zdarzenia roku 1848, których główną cechą było przebaczenie, spowodowały to, że i ja wszystkim moim wrogom przebaczyłem, i dla tego w pamiętniku niniejszym wiele pominąłem milczeniem, co byłoby musiało wywołać nie jeden rumieniec wstydu, za niegodne względem mnie postępowanie.

Majątek zastałem w najokropniejszym stanie. W roku 1845 aż do wilji wybuchu, opędzałem wszystkie wydatki niemal własnym kosztem za pieniądze pożyczane, po większej części na lichwę, bo trudnoż było ścierpieć, ażeby sprawa cała upadła dla braku pieniędzy! Mniemałem, że później, gdy fundusze się pomnożą, będę mógł sobie tę zaliczkę odebrać; tymczasem nie przyszło do tego. Po uwięzieniu mojem, wierzyciele rzucili się na mój majątek, a nie znalazł się nikt, coby czyto uczciwą pożyczką, czy jakimbądź innym sposobem chciał mnie poratować. Pomimo rozmaitych przyrzeczeń, które skończyły się na frazesach, stało się tak, iż utraciwszy rodzinną zagrodę, dziś muszę tułać się z miejsca na miejsce jako dzierżawca — czego jednak wcale nie żałuję, bo nigdy nie przywiązywałem zanadto wiele wartości do majątku, będąc przekonanym, iż przy pracy i staraniu, co Bóg wziął, Bóg powrócić może.

Nie jest to moim zamiarem ciągnąć ten pamiętnik dalej. W ruchach roku 1848 nie brałem prawie żadnego udziału. Rewolucja ta legalna, oparta na adresach, petycjach, protestacjach, deputacjach i swarach dziennikarskich,

nie przemawiała do mojego przekonania: wiedziałem, że do takiej rewolucji bezpiecznej i nie narażającej na nic, było ludzi gotowych aż do zbytku, a więc bezemnie się obeszło. Nie jeden z owych tchórzów i prostych denuncjantów, co byłby się wtenczas wyparł wszystkiego aż do nazwiska polskiego, dziś, kiedy rewolucja działa się za pozwoleniem panów gubernatorów i kreishauptmanów, przypasywał pałasz do gwardyjskiej kurtki, albo gardłował w radach narodowych, dopóki nowa burza nie zapędziła go nazad w myszą jamę. Z tego to powodu, oprócz drobnego i nieznaczącego udziału w sprawach krajowych, nie uczyniłem nic wspomnienia godnego — a więc też na tem kończę mój pamiętnik.

W Żółkowie pod Jasłem
w pierwszej połowie stycznia 1863.

Franciszek Wiesiołowski.

CHWILA TERAŹNIÉJSZA

i

POSŁANNICTWO POLSKI

CHWILA TERAŻNIÉJSZA

i

POSŁANNICTWO POLSKI

PRZEZ

Leona Chrzanowskiego.

Z Przeszłości rozwija się Przyszłość

PARYŻ

1846.

W Drukarni i Litografii Maulde i Renou, przy ulicy Bailleul [illegible].

CHWILA TERAŹNIÉJSZA

i

POSŁANNICTWO POLSKI

Z Przeszłości rozwija się Przyszłość.

Chwila płynąca teraz nad ziemią jest tak ważna, jakiéj nie było od czasów Chrystusa—Ludzkość jest teraz w chwili przesilenia, w któréj kończy się drugi okres jéj życia od przyjścia Chrystusa trwający, a nowa rozpoczyna się era. Jest to chwila graniczna między światem *Srednim* a *Nowym*, tak jak czasy Chrystusa leżały na granicy świata starożytnego i średniego. Druga noc zapadła w dziejach świata poprzedzająca dzień trzeci.

Przypatrując się Przeszłości, mamy przed oczyma ciągle jedną, z biegiem wieków nieprzerwanie olbrzymiejącą postać, która jednak co moment inaczéj wykształca swe rysy, nowemi obleka się szaty; — widzimy w tym nieskończonym dramacie przeszłości jak kościoły co chwila wznoszą się, nikczemnieją i padają—a religia nieprzerwanie postępuje; systemata, teorye rozkwitają i więdną — a um ciągle się rozwija; państwa powstają i nikną jak senne widziadła, spóleczności tworzą się i rozsypują, genijusze działają chwilę i w cichy grób zapadają, ludy przechodzą jedne za drugiemi stąpając po dawnych narodów mogiłach, pokolenia mijają jak fale rzeki — a wolność jednak bez przerwy wzrasta Wicher czasu rozwiewa kształty jakby z mgły ulane postacie, lecz istota wszechrzeczy zostaje i rośnie ciągle.—Jest więc w świecie oprócz części doczesnéj *część wieczna*— Duch boży—nieginąca nigdy lecz ciągle się rozwijająca, a którą nazwać możemy *Życiem*, albowiem ona we wszystkiém żyje i wszystko ożywia. Te kościoły, systemata, państwa, genijusze, ludy o tyle były i są teraz w Życiu, o ile to Życie rozwinęły i sobą stworzyły. Życie nieprzerwanie się rozwija-

ąc, zmieniać musi ciągle swoje kształty -- wstępując na wyższy szczebel rozwinięcia, rozkrusza swoje dawne ciasne już i zbutwiałe formy, a przywdziewa większe i piękniéjsze. Chwile te wstąpienia Życia w wyższą potęgę i przemiany kształtów stanowią granice er w historyi. Przemiana kształtów jednak odbywa się zwolna, i chwile te mieszczą w sobie lata. Takim momentem były czasy Chrystusa — takimże, tylko wyższéj potęgi, są nasze czasy.

Patrzmy.... oto Życie rozkrusza swoje dawne formy, nowe sobie tworzyć zaczyna. Wszystkie jego objawy: religia, filozfia, życie społeczne i polityczne sterczą wśród rozwalin jak duchowe szkielety, z których opada dawne ciało, świéże zaczyna wyrastać....

Religia — która w świecie starożytnym wzrastała w kościołach pogańskich i jerozolimskim, a wzniosłszy się nad ten ostatni za czasów Chrystusa, rozwaliła go, i unosiła się przez całe wieki średnie jako niewidomy kościół Chrystusa pod sklepieniami kościołów ziemskich — wyszła teraz z nich, bo już jéj objąć nie mogły, i burzy je, aby wznieść w ich miéjscu powszechny widomy Kościół Chrystusowy. To jest: religia chrześciańska rozwijająca się dotąd w teoryi, ma przejść teraz w życie społeczne i polityczne ludzi i narodów. Tak nam wskazuje ciąg postępu Życia skreślony ręką Boga w historyi; a słyszymy zewsząd taki sam głos przeczucia, i widzimy że kościoły ziemskie, i rzymski i protestancki i grecki, stoją martwe jak ciała które duch opuścił, rysują się i upadają....

Filozofia — która w świecie starożytnym rozkwitała jako uczucie Piękna i Prawdy, a od przyjścia Chrystusa, wstąpiwszy w wyższą krainę, w państwo wiedzy, wzrastała w łańcuchu systematów jako um, jako świadomość, teorya Piękna i Prawdy — teraz wznosi się nad swoją budowę, uczuwa swą jednostronność, i przepowiada swą trzecią epokę rozwijania się jako serce i um, uczucie i myśl w jedni, to jest, jako *wola* (1), jako miłość i mądrość w połączeniu, to jest, jako *wolność* — epokę zstąpienia z nadziemskich eterów teoryi w życie, w społeczność, i *urzeczywistniania piękna i prawdy*; słowem epokę *czynów*. Tu filozofia dosięga religii — Bo zaiste religia i filozofia są to tylko dwie drogi po których jedno i toż samo Życie postępuje — dwie objawy przez które jeden duch Boży się jawi. Kto jest przeciwko jednéj, ten występuje przeciw obóm.

---

(1) Nie tu jest miéjsce dowodzenia psychologicznego że myśl i uczucie w połączeniu są wolą — każdy jednak nad tém się zastanowiwszy, o téj przekona się prawdzie.

Przypatrzmy się nakoniec Życiu ukazującemu się w wiecie społecznym ś i politycznym, na obszerniéjszém dla niego polu. Tam jawi się ono w postaci *wolności*. Dzieje ludzkości przedstawiają tylko obraz rozwijania się wolności — Zaprawdę albowiem *wolność jest życiem człowieka* — ona tworzy wszystkie jego czyny, jest iskrą żywotną wszystkich jego namiętności i myśli. — Tyle państw znikło, tyle runęło kościołów, tyle ludów przeszło i jakaż po nich została spuścizna? jakiż w świecie dzisiéjszym stoi ślad ich bytu? — oto jedynie przyrost wolności! — W świecie starożytnym rozwijała się wolność w postaci *samowolności* jednego, wszystkich i w połączeniu tych dwóch kształtów (Azya, Grecya, Rzym). Dosięgnąwszy szczytu wykształcenia w téj postaci, opuszcza ze śmiercią Chrystusa swoje ciało, swój dom ciasny już i zbutwiały; burzy go rękami Cezarów i barbarzyńskich narodów, a stawia drugie swoje mieszkanie — ś w i a t ś r e d n i. W nim rozkwita z biegiem wieków jako samowolność jednego ograniczona przymuszoném uznaniem wolności drugiego, słowem w kształcie *prawa*. Lecz wzrosłszy porzuca teraz tę szczupłą formę, a przed półwiekiem zacząwszy rozwalać gmach *średni* chorągwią rewolucyi francuzkiéj i orężem Napoleona, burzy go jeszcze ciągle.... zwolna wstępuje w trzecią swą potęgę i ukazuje się w mgławéj jeszcze teraz postaci jako w o l n o ś ć u z n a j ą c a s i e b i e w w o l n o ś c i d r u g i e g o, stąd, jako nieograniczona wolność każdego człowieka.

W pierwszéj wielkiéj chwili przesilenia widzimy martwy już starożytny świat społeczny i polityczny padający pod tchnieniem Chrystyanizmu i pod nawałem silnych i świeżych narodów, naraz, jak ręką Boga, z dalekiéj północy i wschodu popchniętych.... widzimy wir gruzów, po których wśród ciemności nocy przechadzają się z mieczem w ręku młodzieńcze narody, i przy odblasku nad ziemią jeszcze unoszącego się Chrystianizmu, nową rozpoczynają budowę.... Teraz znów oto zwaliska! — znów druga noc w koło nas zapadła!.... Świat społeczny w gruzach — jakiż-to albowiem jest stan socyalny Francyi, Anglii, Włoch, Hiszpanii, Niemiec, Rossyi i naszéj teraz krwią zbrodzonéj Polski? Cóż tam jest stałego? — jakiż stosunek między ludźmi trwały i uświęcony? Odwieczne ogniwa spruchniałe już i ciasne rwą się jedno po drugiém i padają.... tu cicho, a tam wśród jęku — tu złotem, tam krwią oblane. Tysiączne teorye społeczne wiatr czasu rozwiewa po tych rozwalinach jak liście jesienne — lecz żaden nie zawiśnie na odłamie ruiny i nie wyrośnie w drzewo, bo to suche liście nie nasienie, martwe kamienie nie ziemia!

Formy świata politycznego — państwa — to opustoszałe, walące się, nie-

które świeżo pobielone zamczyska — Na ich wierzycach siedzą mary królów albo izb, i chwytają w konwulsyjnych wysiłeniach pojedyńcze odłamy rozsypujących się zwalisk — Mieszkańcy zamków wyszli z nich, stanęli przeciwko nim, i rozbierają je, mimo krzyku puszczyków i nietoperzy które się w ruinach zagnieździły. Narody stoją wszędzie przeciw rządom — burzą swoje własne państwa, chcąc sobie inne nowym porządkiem postawić; — ale nieznają jeszcze planu przyszłéj budowy, nie mają budowniczego.

Lecz nad stosami gruzów i zwalisk formy unosi się Życie żyjące wiecznie w narodach — duch wolności potężniéjszy jednym stopniem jak w pierwszéj chwili przesilenia, przybierający zwolna postać wolności uznającéj siebie w wolności drugiego, postać miłości. On to zburzył swój dom za szczupły już dla niego.... będzie budował nowy. Budowę tę rozpoczną ludy, których duch narodowy jest odpowiedni nadchodzącemu momentowi życia — które najlepiéj przygotowane są do téj nowéj ery, do przyjęcia nieograniczonéj wolności — narody żyjące bez domu i schronienia, i najwięcéj cierpiące; bo zaiste cierpienie ciała spotężnia siłę ducha i podnosi go ku niebu.

Tak więc za pierwszym rzutem oka na świat, widzimy płynącą nad nim drugą, wyższéj potęgi chwilę *przéjścia* — albowiem leży ona między wyższymi stopniami Życia, a nadto, gdy w pierwszéj chwili więcéj siła fizyczna, w téj więcéj siła duchowa burzy; gdy tam tworzyła więcéj potęga ciała, tutaj więcéj potęga ducha tworzyć będzie — tam więcéj krwi i mordów, tu więcéj duch cierpi. Ten tworzący się obraz Życia wskazuje nam również, z jakiéj i do jakiéj krainy teraźniéjsza chwila przéjścia prowadzi. Z jednéj strony filozofia schodzi z zimnych sfer teoryi w życie, ma rozwijać się jako wola, wolność, i dosięgnąć Chrystyanizmu zstępującego także na ziemię w narody; z drugiéj strony spostrzegamy życie polityczne i społeczne sięgające aż do Chrystianizmu, i w téj chwili opuszczające dawne formy, aby przéjść w tę wyższą swą potęgę. — Chrystyanizm, który dotąd był w teoryi i w pojedynczych ludziach, przéjdzie w ustrój społeczeństw, w czyny narodów i w wzajemne między niemi stosunki. Teraźniéjsza chwila przéjścia wiedzie z krainy prawa w kraj wolności — z świata w półpogańskiego w świat chrześciański. Jest to, powtarzam, druga *noc* w dziejach świata poprzedzająca dzień trzeci — dzień zmartwychwstania. « *A trzeciego dnia zmartwychwstał* » mówi Pismo. Chrystus przyszedł na ziemię przed pierwszą nocą w życiu ludzkości, przed pomrocznymi czasami upadku świata starożytnego i wędrówki narodów — przez tę noc.

dzień następny i drugą noc był zagrzebany w obrzędach, w teoryi, w książkach, w myślach i uczuciach pojedynczych ludzi — tam się rozrastał Duch Jego... dnia trzeciego zmartwychwstanie żyjący w ludziach i w narodach!

Nie mniemajmy przez to zjednoczenie religii z polityką, połączenia teraźniéjszego państwa z dzisiéjszym kościołem, śmiesznego zsypania dwóch rozwalisk w jeden stos gruzów — ale jest to spojenie niewidzialnego Kościoła Chrystusa z narodem. — Przyszły świat nieograniczonéj wolności, Chrystyanizm w życiu narodów nie jest czczą teoryą lub umidłem (utopiją) społeczném jakiego Saint-Simona lub Fouriera — zabijających narody, te żywe organiczne członki ludzkości, zlewających ludzi w jednę bezkształtną bryłę, chcących zamknąć nieskończonego, do wolności stworzonego człowieka w ciasne formułki i każdy krok mu przepisać, wydzierających mu jaźń jego (indywidualizm), wolę, czego Bóg mu nawet odebrać nie chciał (1) — wolność ta, powtarzam, nie jest to teorya społeczna, ale Życie świata w wyższéj potędze; bo zaiste wolność a życie to jedno. Przebiegnijmy okiem raz jeszcze przeszłość, aby się o tém dokładniéj przekonać.

Pierwszy człowiek opuszczający tajemniczą mgłą poranku świata okryty raj nieświadomości i przychodzący do samowiedzy siebie, uczuwa swą wolność — chce ją nieskończenie rozprzestrzenić, a nieuznając w drugich téj saméj wolności, jest samowolnym — wskakuje na tron i panuje... To *samowolność* jednego — Azya przeprowadza ten pierwszy moment wolności... Każdy człowiek przychodzi do świadomości siebie, swéj wolności.. wszyscy są samowolni — wszyscy razem panują każdemu... Grecya przewodniczy ludom w tym momencie; Sparta najwyraźniéjszym jest jego obrazem. Rzym łączy w sobie dwa poprzednie momenta wolności — jeden i wszyscy, Cezar i motłoch panują! każdy niewolnikiem.... Lecz człowiek po długowiekowéj podróży to w koronie panowania, to w jarzmie niewoli, zaczyna przeczuwać w drugim równego sobie, w jego wolności swą wolność. Wtedy Chrystus objawia ludziom, że wszyscy są synami Bożemi, że jeden Duch Boży jest we wszystkich, że wolność jednego jest wolnością drugiego, że dla tego kochać się winni i jeden wolność drugiego rozprzestrzeniać, a każdy będzie nieskończenie wolnym. Z wzgórków Judei rozpływa się słowo Boże po całéj ziemi i znosi z niéj zamarły świat samowolności. Człowiek jednak wówczas, przeczuwający zaledwie myśl przez

---

(1) Teorya Fouriera i jéj podobne mają jednak miéjsce w historyi, jako prawo doprowadzone do ostateczności, jako szczyt prawa i jego zamknięcie.

te słowa wyrażoną, nie może ich pojąć — wierzy im tylko swém przeczuciem powodowany, a wiara ta przymusza go do **uznania wolności drugiego obok własnéj samowolności** — Powstaje *prawo*... Francya, Niemcy, a w ogólności narody romańsko-germanskie rozwijają momenta prawa... Zwolna z tokiem wieków średnich ludzkość pojmuje słowa Chrystusa; przechodzą one z wiary w wiedzę i uczucie—Świat prawa pada... i oto jesteśmy w téj chwili!... Jakaż daléj oczywista następność? Słowa Chrystusa przéjdą w wiedzę i uczucie ludzkości, w jéj wolę, w jéj życie — na gruzach dzisiéjszego świata powstanie nowy świat chrześciański, świat miłości i nieograniczonéj wolności, a z ziemi zniknie **wszelkie *panowanie* i jednego i wielu i wszystkich.**

Nie jest to świat mego marzenia, ale, jak widzicie bracia, ten sam świat dzisiéjszy w wyższą wzniesiony potęgę; bo zaiste tylko z *przeszłości rodzi się przyszłość*; a jak niéma siły któraby przyszłośc oderwała od przeszłości, tak równie niéma potęgi zdolnéj rozwijanie się przeszłości zatrzymać. — Nie są to, powtarzam, myśli moje—są to słowa Boga, które płoną wypisane na kartach historyi życiem i zgodem milionow, czynami narodów, wzrostem i upadkiem światów. Ja wyczytałem je tylko, i nędznym ich zarysem, chcę zwrócic oczy wasze bracia moi, na historyą ludzkości, na tę księgę boską, abyście czytali na niéj słowa Boże, i wiedzieli **skąd—jak—i gdzie idziecie, jak macie żyć i działać.**

Ludzie przeszłości! słudzy upadających państw i kościołów ziemskich! napróżno chcecie powstrzymać rozsypujące się gruzy, napróżno usilujecie cofnąć postępujące Życie; zniszczcież wprzód przeszłość, która Go w tém miéjscu postawiła — Niesłusznie nienawidzicie Życia tego, jest ono bowiem toż-samo, które w was kiedyś było. Nie nienawiść, ale politowanie rodzi się dla was w naszych sercach — Bo nie przeciwko wam o ludzie! ale przeciwko złemu waszemu walczymy. Opór wasz w złém stanie się przyczyną waszéj niedoli. — Wy drudzy, napróżno chcecie wskrzesić jednę z form mijającego świata, czy konstytucyą, czy demokracyą, i zamknąć w nią Życie — Życie już je opuściło, postąpiło daléj i w nowe oblecze się kształty.

Oddalcie od was przestrach i zwątpienie, ludzie patrzący tylko oczami ciała, i widzący jedynie ginące formy — ileż to już padło państw i społeczeństw, znikły całe systemata kształtów, a przecież ludzkość stoi i postępuje daléj—oprócz form jest w świecie Życie, Duch boży, który nie ginie nigdy ale ciągle wzrasta. Nie przywiązujcież się więc do form ale do Życia w nich zamkniętego. — Nie przerażajmy się tym wirem zdań, teoryj, sys-

tematów falującym po zwaliskach, który nas otacza i wśród którego błąkamy się jako w cieniach nocy — to znak że duch pracuje, rozwińmy go w sobie, a on nas z ciemności na dzień wyprowadzi. Nie rozpaczajmy nakoniec cierpiąc, lub słysząc jęk tysięcy towarzyszący łoskotowi padających form, i widząc gruzy krwią oblane — Życie musi poświęcić swe ciało, musi cierpieć rozrywając go, musi pracować tworząc sobie nowe. Idźmy z poświęceniem do dzieła przetworzenia, oderwijmy się od celów ziemskich i samolubnych, a wyższe owionie nas życie, wzniosły sobie dom wystawim.

Narodzie mój! cierpisz krwawo, lecz niech pocieszy Cię to: że naród, którego dawne mieszkanie zburzone, którego ciało rozszarpali jego wrogowie — naród który nie ma żadnéj formy życia politycznego, a żyje i działa, najpierwszy wstąpi w nową erę życia, bo pierwsza a najboleśniéjsza część jego pracy, *burzenie*, już ukończone.

Ludzkość żyje i postępuje nie jak jeden bezładny tłum, ale w narodach i przez narody. Narody są to organiczne członki jednego ciała, które dążyły zawsze — lubo dotąd bez wiedzy, ale ręką Boga kierowane — do rozwijania i postępu całego ciała; teraz zaczynają cel swój pojmować. Chcieć zniszczyć narodowości jest to pragnąć zdeorganizować, zamordować ludzkość; zabić jeden naród jest to odciąć jéj członek niezbędny do życia. Usilujący popełnić tę zbrodnię staje się wrogiem Boga i rodu ludzkiego—Nawzajem w miłości Ojczyzny kochamy człowieczeństwo całe.

Życie narodu jest témże samém Życiem ludzkości, tylko że w każdym narodzie przeważa inny moment tego ogólnego życia. Słońce Życia rozłamuje się niejako na powierzchni ziemi w barw tęczę, a któréj jedna barwa stanowi życie pojedynczego ludu. Życie to narodowe nazywamy *duchem narodu.* Gdy w postępie Życia ludzkości nadpłynie moment znamieniem jakiego narodu będący, to jest: gdy *duch czasu* spłynie się z duchem narodu — naród ten rozwija się silniéj, wyprzedza inne, i przewodniczy im przez tę krainę bytu jako najlepiéj z nią obeznany. Spełnia on swoje *posłannictwo.*

Ten uroczysty pochód narodów do wolności, możemy porównać do wędrówki tłumu pielgrzymów złożonego z mieszkańców wszystkich krain, które przebywać mają. Pielgrzym, którego rodzinną ziemię karawana przechodzi, jest jéj przewodnikiem — na granicy oddaje buławę przewodztwa temu, w którego kraj ojczysty karawana wstępuje. — Czyż byłoby zgodne

z mądrością Boga, aby jeden z tych przewodników zginął przed spełnieniem swego posłannictwa, i tłum narodów błąkał się przez jednę krainę życia niepewny swéj drogi? Napróżno wytężają się wszystkie siły ziemskie i wszystkie sposoby piekła, aby zamordować choć najmniéjszy naród — legnie on dopiero, gdy sam zaprze się swego ducha i swoje życie rozwijać przestanie. Wtenczas pokrają go w kawałki, zakopią w ziemię, przywalą marmurem i na nim wyryją: « niéma tego narodu ». Jednak gdy naród tworzyć daléj pocznie swego ducha, i na drogę swego posłannictwa wstąpi, członki jego zrosną się w grobie, odwali kamień mogilny i na nim napisze: « niéma wrogów moich » — a młodzieńczém ciałem odziany, dom sobie na swéj zbuduje mogile.

Od pierwszéj chwili bytu ludzkości, która wyłania się z tajemniczych cieni oświecona światłem historyi, widzimy narody kolejno stające na czele innych, biorące, nie tak berło hegemonii, jak raczéj ciężką buławę dowództwa, i spełniające swoje posłannictwa. Ukończywszy główną swą missyą, nie giną one ani się zatrzymują, owszem idą daléj, tylko że nie w pierwszym rzędzie—buławę hetmańską zmieniają w kij podróżny.— W świecie starożytnym Indyanie, Medowie, Assyryjczycy, potém naród grecki, nakoniec rzymski były kolejno przewodnikami, i koleją jaśniały nad inne. Przez świat średni narody romańsko-germańskie wiodą tłum postępujących ludów. Każdy z tych narodów szedł na czele przez moment Życia ludzkości odpowiedni jego duchowi i ziemi na któréj powstał—jak to spostrzegamy bliżéj ich dzieje badawszy. Któryż teraz naród będzie przewodnikiem, i wyprowadzi nas z nocy w trzeci dzień Życia, z posępnych rozwalin świata prawa w uroczy świat wolności? Któryż dotąd nie spełniał swego posłannictwa? Któregoż duch odpowiedni jest mającemu zabłysnąć momentowi Życia?

Przypatrując się pierwiastkowéj, czystéj społeczności Sławian, ich początkowym dziejom, a późniéj historyi Narodu polskiego, spostrzegamy, że znamie odznaczające ducha ludów sławiańskich jest właśnie odpowiednie nadpływającemu momentowi w postępie życia ludzkości. Narody sławiańskie, chociaż tak olbrzymie, żyły dotąd biernie, niewystępowały czynnie na scenę historyi świata; przygotowywały się do życia. Narody zatém sławiańskie, a szczególniéj naród polski, który najdaléj ich ducha rozwinął, staną się teraz przewodnikami innych, wprowadzą ludzkość w świat wolności w świat zupełnie chrześciański — zjiszczenie tego, jest ich posłannictwem. Mówię to śmiało, bo słowom moim świadczą przeszłe wieki! Boskie prawa świata są niezmienne — jak działo się w przeszłości, tak się

dziać będzie i teraz; tą samą drogą, którą wszystko dotąd postępowało i daléj iść będzie naprzód.

Duch narodu jest wypisany na kartach jego przeszłości hieroglifami obyczajów, praw, literatury, czynów i koleją jego losów. Lecz znaki te runiczne powleka różnobarwna przesłona czasu. Zdjąć trzeba tę powłokę i hieroglify te, nie pojedynczo, ale w harmonijnym ich odczytywać związku; jeden albowiem jest dopełnieniem drugiego.

Aby poznać ducha Sławian, spojrzyjmy na ich przeszłość..... Najprzód przed okiem naszém staje *gminna* spółeczność sławiańska uroczym brzaskiem porannego świata oblana.... nieskończona ilość *gromadek chat — sioł*—rozsypanych jak białe kwiaty w około Karpat po bezgranicznych zielonych równinach opasanych olbrzymim, srebrnym kręgiem z wód Adryjatyku, Elby i Baltyku z śnieżnych szczytów Uralu, Kaukazu i Bałkanów zwitym — każdą gromadkę chatek wieńczy jéj cieniste *uroczysko*, zasłania jéj *gorodyszcze*.... Każde sioło niezależne — każda chata niepodległa—każdy w niéj człowiek wolny.—Żaden tron niewznosi się na tych bujnych płaszczyznach — nieznany im głos wszelkiego panowania, mimo że Sławianie umieją uczcić duchową wyższość w swych bojanach, władykach i wojewodach, których wybierają. Duch wolności nieograniczonéj jak te przestrzenie, unosi się nad cichą spółecznością Sławian.... Miłość jedynie może być węzłem spółeczeństwa, w którém kazdy członek ma być nieskończenie wolnym. Wykształcenie tego spoju, oto zadanie kazdego ludu sławiańskiego, aby mógł się w spółeczność właściwie sławiańską uorganizować. Miłość jest ogniwem rodziny; rodzina jest pierwowzorem narodu — naród jest wielką rodziną — i czyż to jest niepodobném, aby ten spój naturalny stał się ustrojem narodu? Czyż właściwsze wam bracia zdają się być dla człowieka te sztuczne ustroje spółeczeństw, te wszystkie, że tak powiem, *konstytucye:* obsolutne, monarchiczne, arystokratyczne, demokratyczne, komunistyczne— wydzierające człowiekowi to co ma najdrozszego, indywidualizm, wolność osobistą, a w nadgrodę tworzące z niego martwe swéj machiny kółko? Naturalnymże stanem narodu wydaje wam się ciągła walka machin konstytucyjnych z indywidualizmem człowieka, która przedstawia krwawy, co chwila zwaliskami pokrywający się tych spółeczeństw obraz? Albo koła machin druzgocą ludzi i toczą się daléj skrwawione, albo częściéj indywidualizm kruszy machiny, a z niemi ludzi będących ich kołami. Czyż niedostrzega oko wasze przyczyny téj walki, i sposobu położenia jéj tamy?—Narody jednak od naturalnego stanu odosobnionych rodzin, muszą przejść przez szereg coraz mniéj sztucznych spółeczeństw,

zaczém każdy uczuje, że wolność indywidualna i szczęście jednego jest wolnością i szczęściem drugiego, a stąd powstała miłość uorganizuje społeczność *naturalną*. Lecz wróćmy do Sławian.

W pierwotnéj społeczności sławiańskiéj węzeł miłości łączy ludzi w każdéj chatce, czasem w siole. Lecz sioła stoją bez związku z sobą — skupione niekiedy naciskiem nieprzyjaciół, za ich odejściem znów się rozpływają. Społeczność ta nie ma spoju. Chociaż przez niwy sławiańskie płyną hordy barbarzyńskie jedna za drugą jak chmury gradowe, długo jednak Sławianin niechce swéj indywidualnéj wolności poświęcić dla utworzenia silnego a sztucznego państwa, i zostania zarazem niewolnikiem rozkazu króla albo wodza; w naturalną zaś społeczność połączyć się jeszcze nie jest w stanie. Dlatego przez długie wieki społeczność sławiańska stoi rozsypana, bez ruchu i postępu, jakby skamieniała.... Wtém—przy ciągłém na Sławiańszczyznę ciśnieniu Germanów — wpływa w nią wiara chrześciańska, wiara miłości, i w téj chwili w tém morzu siół krystalizują się narody... Narody te jednak zasypiają jeden po drugim w pierwszych dniach swego dzieciństwa, pod naciskiem Mongołów i Finnów z jednéj, a Niemców z drugiéj strony, i pod tchnieniem świata średniego, świata prawa, który jest nie dla nich. Nad śpiącymi mijają wieki — wznoszą się państwa wrogów w proch tłocząc snem zdjęte ciała — ale w ich głębi tli iskra sławiańska czysta i nieskażona. Jęk dopiero upadającéj Polski budzi te senne ludy jako trąba Archanioła wzywająca ich do nowego świata!— Jeden tylko z ludów sławiańskich, Naród polski, w pośrodku nich będący i w chwilach swego niemowlęctwa nimi osłoniony—zostaje, a walcząc ciągle z otaczającym go wieńcem wrogów, i zasłaniając swemi piersiami ludy romańsko-germańskie kształcące wolność w potędze prawa, sam rozwija ducha sławiańskiego. (1)

W jaskrawych rysach dziejów Polski, złudzone oko nasze zdaje się spostrzegać spojone razem wszystkie kształty, w których rozwijało się stopniowo życie w świecie średnim: monarchią, arystokracyą i demokracyą.

---

(1) W inném piśmie rozwinę myśli tu rzucane. Gdy jednak wydanie jego niektóre opóźniają okoliczności, postanowiłem – czując nagłość płynącéj chwili — przedstawić wam Bracia w tych kilku słowach wypadek niejako dowodzenia, pierwszy zarys obrazu, który tam odmalować wam będę się starał, chcąc zwrócić niémi uwagę waszą na postęp świata, na ważność terazniejszéj chwili, spowodować do lepszego ocenienia przeszłości Polski i do wyprowadzenia nakonice stąd przepisów naszego w teraźniéjszości działania

Lecz przez wszystkie te formy prześwieca, właściwy im typ nadając, ow brak wszelkiego panowania, owa wolność nieograniczona każdego członka narodu, w wszelkim promieniu życia polskiego błyszcząca. Bliżéj przypatrzywszy się historyi polskiéj, przekonywa się zdumione oko nasze, że w niéj niéma właściwie ani monarchii, ani arystokracyi, ani demokracyi, ale wyższy już moment wolności w swych poprzednich rozwijający się kształtach— wolność uznająca siebie w wolności drugiego; — widzi ducha Polski wzrastającego pod zasłoną form średniego świata.

Odchylmy tę ciemną zasłonę dramatu, i śledźmy gdzie dążą wzniosłe postacie ojców naszych, tłumy pokoleń z mieczem w ręku lub z kijem pielgrzymskim przesuwając się z biegiem wieków po krwawéj scenie ziemi naszéj—słuchajmy głosu wyrywającego się z piersi każdego pielgrzyma, i z tych przerywanych dźwięków złóżmy jednę pieśń harmonijną, a ona wyśpiewa nam ducha Polski — połączmy pojedyncze stóp ich ślady, a ujrzymy tór którym postępują a na którego przedłużeniu leży droga nasza.

Co znaczą te dziwne, niedokończone znaki i obrazy, którymi odmalowane są dzieje Polski? te uroczyste dźwięki rozpływające się po falach jéj przeszłości?.... Oto przesuwają się przed naszemi oczyma te nieodgadnione widziadła minionych czasów. Tu obraz powstania narodu i szlachty, występujący z mroku osłaniającego kołebkę Polski i kształtujący się z wiekami — Polaków jednoczy w naród nie chęć podbojów, ni żelazna wola zdobywcy, ni polityki sztuka, ale pragnienie zachowania wolności— Polak, naciśniony od wrogów, widząc swą wolność w wolności wszystkich, poświęcając się szlachetnie dla jéj obrony, walczący i żyjący dla narodu, zostaje jego członkiem — szlachcicem.... Daléj widzimy, jak Polska rośnie nie siłą oręża, ani dyplomacyi kunsztem, lecz niejako miłością — dobrowolnie łączą się z nią Litwa, Ruś i Prusy, jako wolni z wolnymi a równi z równymi.... Naród żyjący na koniu z szablą przyrosłą do dłoni, ma wstręt do podbojów; podbijającego ogłasza zdrajcą Ojczyzny.... Znów oto z całéj ziemicy polskiéj śpieszą wszyscy członkowie narodu (1) na sejmiki i sejmy.... nad nimi drży tajemnicze słowo » *liberum veto* » — zaczęty i stłumiony okrzyk świętości woli każdéj jednostki narodu.... Na przestronnych równinach gromadzi się sejm olbrzymi, to *wolna elekcya* — rysujący dopiero obraz wyboru na przewodnika społeczności

(1) Mówię, wszyscy członkowie narodu, gdyż wtedy koniecznėm nieszczęściem, szlachcic tylko był uważany, i *uczuł się być* członkiem narodu.

największego człowieka w narodzie.... Z koła elekcyjnego wychodzi dziwna osoba, *król*, niepodobna zupełnie do monarchów konstytucyjnych zachodu, ani do samodzierców wschodu; któréj cała godność i potęga, jak woła Jan Zamojski, wspiera się na miłości ludu, — to mgława postać doczasowego, ale indywidualnego kierownika narodu, nie będącego ani uświęconym bałwanem, ani najwyższém machiny kółkiem..... Na wszelkim rządzie Polski i na olbrzymich jéj stowarzyszeniach politycznych złoci się wyryty b r a k p a n o w a n i a, jako właściwe ich piętno..... Niéma wojska w Rzeczypospolitéj wieńcem nieprzyjaciół otoczonéj... w tém zagrzmiała trąba napadających wrogow—w jéj odgłosie rozchodzi się rozkaz do wszystkich członków narodu wsiadania na koń pod karą zdrady Ojczyzny... Ciche, urocze życie rodzinne płonie na niwach polskich —Kobieta, ten anioł opiekuńczy rodziny, wpływ swój z jéj grona na cały rozpromienia naród; Polka przenika czuciem potrzeby Ojczyzny, umie się za nią poświęcać; będąc córką, żoną lub matką, jest zawsze Polką, czuje się być i jest członkiem narodu... Nad tym całym w wiekach odgrywającym się dramatem polskim unosi się pełna tajemnic istota, *Ojczyzna*, dla któréj wszystko żyje i umiera... Polacy uważając się za zrodzonych obrońców Chrystyanizmu— widząc oczywiste, materyalne straty państwa, biegną pod Warnę, bronią pod Wiedniem Niemców swych odwiecznych wrogow, wołając że walczą za swoją Ojczyznę!... A obok zastrzegają uroczyście w każdych pactach conventach swobodę wiar wszelkich... Za każdym krokiem poświęcają korzyść i wzrost siły materyalnéj państwa dla wolności członka narodu... Wolność jednego jest obrażoną, a podnosi się okrzyk, że cierpi wolność Rzeczypospolitéj! — to niejako stłumiony głos, że wolność każdego jest wolnością wszystkich...

Znaki te, i tysiąc innych nakreślonych w dziejach naszych, nie sąż to niewykończone głoski, któremi na kartach historyi wypisano stoi, że Polska — nie już jako pojedyńcze indywidua — ale jako naród była chrześciańską, że C h r y s t y a n i z m r o z w i j a ł a w p o l i t y c e? — nie śpieważ ta pieśń dźwięków przeszłości, iż duchem Polski jest wolność jednego uznająca siebie w wolności drugiego, a stąd nieograniczona wolność każdego członka narodu (1), miłość zaś wszystkich Polaków — braci szlachty — jedynym spojem spółeczności polskiéj!

---

(1) Rzecz zupełnie różna od *panowania* większości, i nieuznawania wyższości duchowéj — demokracya — ; od równości materyalnéj i u n i e w o l n i e n i a każdego — komunizm. — Różnica od zamarłego rządu konstytucyjnego, ary-

Polacy! czytajmy te niedokończone głoski zarysowane krwią i życiem minionych pokoleń polskich, a pismem czynów naszych starajmy się je wykończyć. Wiedzmy, iż Życie naszych przodków stało wyżéj jak te monarchie konstytucyjne, i dalsze ich stopnie, demokracye francuskie — a my, zamiast postąpić daléj i życie ich rozwinąć, usiłujemy naród nasz, niżéj punktu na którym on był przed wiekami, cofnać z okrzykiem postępu! Za nauczycieli wolności bierzemy ludzi mogących być zaledwo uczniami ojców naszych. Wiedzmy nakoniec, iż aby być Polakiem to nie dosyć urodzić się w Polsce i nienawidzić Moskali i Niemców, ale nadto trzeba mieć w piersiach ducha polskiego i czynem go rzeczywistnić.

W tych samych znakach wyczytało wielu polityków przyczynę upadku Polski — i słusznie poniekąd. Polska albowiem chrześciańska nie mogła rozkwitnąć w świecie półpogańskim, społeczność wolności powstać w pośrodku państw prawa — a niechciała znów zniszczyć siebie i zostać wpół pogańską konstytucyjną monarchią. Niemogąc żyć na ziemi, wstępuje w grób i tam wzrasta.

Lecz wyżéj wspomnione znaki jaśniejące w historyi polskiéj są to, powtarzam, zaznaczone ledwie rysy głosek — to świetna część obrazu przeszłości przyćmiona powłoką średniowiecznego czasu, zaciemniona monarchią, arystokracyą i demokracyą. Część tylko Polaków, wzrastająca wprawdzie ciągle, uznaną jest za naród — szlachcic jedynie jest jego członkiem... W téj części — w szlachcie spostrzegamy chęć panowania gromadnego, nieuznawania wyższości duchowéj, uciskania części słabszéj narodu, a zatém mniéjszości (*demokracya*)... Gromada szlachty, zamiast obéjmować zwolna wszystkich Polaków, usiłuje czasami zamknąć się w sobie, stać się stanem dziedzicznym... z niéj wynużają się pojedyncze indywidua — magnaci — i wszelkimi sposoby dążą do panowania nad gromadą (*arystokracya*)... Niekiedy osoba, wysunięta przez gromadę na czoło aby ją prowadziła do wolności, chce jéj panować (*monarchia*). — Wszystko to jest skorupą krępującą ducha polskiego, a utworzoną z tchnienia świata średniego na Polskę. W jakimże to stanie zostawała ówczesna Europa? Ludzkość, a z nią naród polski, była w niższéj potędze Życia, na stopniu prawa. Polska musiała przebyć poprzednie przeobrażenia, kształcić się w mniéj doskonałych kształtach, zaczém swój własny przywdzieje. Uznanie wszystkich Polaków za członków narodu, rozpłomienienie w nich

stokracyi i jednowładztwa, to jest: od panowania martwéj litery, możnych lub jednego, tak jest jawna, iż nie widzę potrzeby bliżéj ją wytykać.

uczucia że wolność jednego jest wolnością drugiego, to jest, stworzenie między niemi miłości: oto co naród polski musiał wykonać, nim mógł swe posłannictwo wypełnić i uorganizować się w spółeczność chrześciańską, w spółeczność prawdziwie polską.

Chwila spełnienia posłannictwa się zbliżała, a długowiekowa jeszcze część pracy zostawała przed Polską. Wtém duch jéj usypia pod duszącym oddechem średniowiecznego świata — Polska zapada w mogiłę!... Przez kilkadziesiąt lat ciężkiego życia w grobie tworzy to, czegoby przez wieki w spokoju zdziałać nie zdołała. Pod deską trumienną pruchnieją i w proch się rozsypują formy życia ciasne i obce, lecz życie potężnieje szybko. Ucisk i cierpienia grobu przymuszają część narodu do pojęcia że nie jest całym narodem, że jedynie uznawszy wszystkich Polaków za braci szlachtę (1), za wolnych członków narodu, a w Sławianach braci przyrodnich, każdy stanie się wolnym; z drugiéj strony wciskają w serce każdego Polaka uczucie, że jest członkiem narodu, iż swoboda i pomyślność jego zakwitnie tylko w wolności i szczęściu Polski całéj. W mogile nakoniec gniją przywileje na wyższość duchową — potęga ducha odkrywa się i jaśnieje naga wśród cieni grobowych; ludzie muszą ją spostrzedz, iść za nią — bo dokoła ciemno — i ukochać ją, gdy ich z grobowca na świat wywiedzie. — O jakże widna w każdym czynie historyi ręka Boga czuwająca nad człowiekiem! — jakżeto potężnych i mądrych używa Ona środków, aby człowiek, w swéj wędrówce przez świat własną kierujący się wolą, na prawą natrafił drogę! Człowiek może czynić źle lub dobrze wedle woli własnéj; lecz Bóg działaniem swojém w istocie wszechrzeczy, w przyrodzie saméj świata leżącém, sprawia to, iż dobre czynności zostają na wieczność i rosną następnémi dobrémi dziełami, złe zaś niszczą się wzajemnie, poprzednie są burzone od następnych, a działacze ich i ich następcy cierpią dopóki niepoprawią złego. Jest to prawo świata wyryte jako napis na nadgrobku Przeszłości, jaśniejące na przestrzeniach przyrody żywemi głoskami stworzeń!

Zobaczmy raz jeszcze w miniaturze to, cośmy dotąd w większych widzieli zarysach.

W ogólném rozwijaniu się ludzkości zbliża się chwila, w któréj Życie

(1) Dziełem postępu jest zawsze, nie spychać na dół tych którzy wyszli naprzód, ale podwyższać pozostałych w tyle. — *szlachcic* zaś w znaczeniu polskiém oznacza wolnego członka narodu.

jéj wstąpi w trzecią potęgę, jawiąc się jako wolność każdego człowieka, jako Chrystyanizm w polityce i w życiu narodów. Zawsze dotąd naród, którego duch odpowiadał nadpływającemu momentowi Życia, przewodniczył ludzkości przez tę jéj bytu chwilę. Duchem ludów sławiańskich, najwyżéj w narodzie polskim, choć w formach świata średniego, rozkwitłym, jest nieograniczona wolność każdego członka narodu, wolność wszystkich uznająca siebie w wolności każdego, słowem jest chrystyanizm. Naród zatém polski naczele sławiańskich wprowadzi ludy w trzeci dzień wolności, położy kamień węgielny powszechnego Kościoła Bożego — ludzkości chrześciańskiéj. Nadchodzi chwila posłannictwa Polski—świat średni, przyczyna upadku Ojczyzny naszéj, znika z ziemi — a tą chwilą świta dzień jéj zmartwychwstania!

Droga od Boga jest wytchnięta — ludziom wolno nią iść albo nie iść. Bracia! rzućmy spruchniałe formy znikającego świata, któremi się odziewamy strasząc siebie nawzajem, a wrogom naszym wydając się nędznymi i schorzałymi — ożywmy się duchem Polski, duchem który wkrótce cały świat owionie— zacznijmy rzeczywistnić jéj posłannictwo, na które wszystkie oczekują ludy; a wrogowie nasi, chociażby byli panami pół ziemi a nie wielkie kosciotrupy cisnące samym bezwładnym ciężarem, w proch runą, bo przez nas działać będą wszystkie minione pokolenia naszego narodu, wszystkie ludy teraźniéjsze, Życie całéj ludzkości — bo przez nas Bóg tworzyć będzie.

Nie ja to wzywam was bracia moi — to cała Przeszłość przemawia do was! — Niesłyszycież jéj uroczystéj mowy płynącéj z biegiem wieków, w któréj tysiącoletni głos narodu jest jedynym wyrazem, okrzyk stólecia jedynym jéj akcentem? Czyż nie brzmi w uszach waszych głuchy jęk dzisiéjszego świata wzywający was do dzieła? Nie widzicież, jak wszystkie ludy na was zwracają swe oczy? i tych groźnych znaków, które pojawiają się na przestrzeniach przyrody i świata towarzyskiego wielkie zapowiadając wypadki?

Przeszłe wieki i pokolenia podają nam Życie swoje, narody dzisiejsze swoich sił chcą nam użyczyć; a my, zamiast życia pierwszych, odłamki ich trumien, zamiast sił drugich, zużyte ich szaty bierzemy i niemi chcemy Polskę odbudować! Przystroiwszy się tymi szczątkami i łachmanami, mniemamy że duchem polskim płoniemy!—Stańmy się Polakami a będzie Polska.

Przed oczyma nawet polityków obcych rozsłania się pomroka zakrywająca im dotąd tajemny ruch Życia; widzą jak przez mgłę, na przestrzeniach

Europy dwie tylko potęgi stojące naprzeciw sobie: Polskę przeciwko Mongoło-Germanizmowi, mianując go niewłaściwie Rossyą; przeczuwają z przerażeniem, że wszystko po jednéj lub po drugiéj stronie uszykować się musi, iż trudno będzie od téj wyśliznąć się walki. Nie mogą oni jeszcze dojrzeć rozciągłości pola boju, siły potęg kroczących do walki, napisów na ich sztandarach; nie wiedzą, że obok Polski stanie całe plemie Sławian i wszystkie rozbudzone ludy, w miéjscu Mongoło-Germanizmu wszelkie formy przeszłego życia i ich słudzy—że to jest walka nowego świata z zgrzybiałym światem średnim — iż godłem Polski nie mord wrogów, podbicie i ujarzmienie ludzi, lecz ich w y s w o b o d z e n i e. A my od Boga przeznaczeni na przewódzców w téj wojnie, czyż znamy wszyscy wielkość i rozciągłość boju? jesteśmyż rozpocząć go gotowi? Czy nie zamyślamy niekiedy traktować z światem średnim, pod jakimi warunkami i w jakiéj f o r m i e pozwoli nam spocząć w swoim zimnym grobie? Czyż nie chcemy wznieść, jako palmę naszego zwycięstwa, skrwawione berło jakiegokolwiek panowania? — Bracia! zowiąc się Polakami, czujmy wzniosłość i świętość naszego posłannictwa, i przygotowujmy się do niego.

Patrzmy ze łzami w oczach na Polskę przez własnych synów skrwawioną, lecz nie rozpaczajmy. Nieprzyjaciele rozłączają nas póki my sami się dzielimy, biorąc za godła nasze różne, zamarłe idee minionych wieków. Lecz gdy rozbudzimy w sobie ducha Polski, gdy staniemy pod chorągwią jéj posłannictwa, nikt nas nie rozdzieli, bo jeden duch w nas wszystkich żyć będzie. — Lud polski, ten lud szlachetny, dla którego własność ziemska nie jest wszystkiém, którego cząstka wzięła wprawdzie do ręki nóż oddawna jéj przez Niemców podawany, lecz jedynie w mniemaniu iż jest napadniętą — lud ten, mówię, nie poznał Polski w obcéj jéj postaci, lecz pobiegnie do niéj jak do matki ukochanéj, gdy mu się z własną twarzą i w własnych ukaże szatach! — Nie złorzeczmy ostatniemu ruchowi i jego działaczom. Mieli oni szlachetne pobudki i wielkie cele, a upadkiem swoim okazali, iż nietylko monarchia, konstytucya, ale nawet demokracya — ta najwyższa z form średniego świata — nie może wskrzesić Polski. (1) Po-

(1 Demokracya wykonała już swą wielką missyą — podminowała i rozsadziła świat średni: była ona siłą burzącą, *tworzyć* nie jest jéj dziełem. Wy bracia zowiący się demokratami a nawet konstytucyonistami, zaczynacie zwolna wznosić się nad te martwe już teraz formy. Lecz postąpcie śmieléj — pomnijcie, iż tu nie o formy rządu, ale o d u c h a r z ą d u rzecz idzie. — Duch rządu wzniosł się wyżéj, wszystkie więc jego kształty dawne są niedostateczne.

wstanie ostatnie nie zgasło bezowocnie — nie widzicież téj iskry elektrycznéj, która przebiega cały naród od końca do końca wprawiając wszystkie serca w drgnienie udzielające się całéj Europie ? —

Polacy ! przysłuchajmy się raz jeszcze słowu przemawiającéj do nas Historyi, mowie minionych naszego narodu pokoleń, wionącéj w grzmiących wyrazach czynów z pola wiekowéj za wolność walki, na którém one wszystkie wyginęły :

« Przestańcie nienawidzić się, bo jesteście jednéj matki syny, wszyscy cierpicie jéj męki, wszyscy chcecie ją uwolnić — Przebaczcie sobie wzajemne winy, bo upadać—to ziemskość człowieka, boskością jego podnosić się z upadku — Porzućcie duszące was zestarzałego świata szaty — Podajcie ludom sławiańskim dłoń bratnią, wspólny albowiem grób wasz, wspólne wasze zmartwychwstanie i posłannictwo, urzeczywistnić Religiję Chrześcianską w ludach — chwila jego nadpływa i z utęschnieniem oczekują narody—idźcie go spełniać a wszystkie pobiegną odbudować Polskę—Przebudźcie w sobie i twórzcie daléj Życie, które nas ożywiało i teraz nowy świat wystawi, a żywi w nim staniecie — Zacznijcie budowę Kościoła Chrystusowego mającego wkrótce całą objąć ziemię, a będziecie mieli w Nim mieszkanie ; —inaczéj zginiecie nędznie, a pokolenie przyszłe, depcąc ze wzgardą wasze kości, spełni dzieło wasze !

Ostatni oto zrąb domu naszego, dawnéj Polski, zburzono w téj chwili... i wszystkie Państwa zadrgnęły, zmieszała się cała polityka ziemska ; bo to był znak, że bije godzina tworzenia nowego świata..... Do dzieła bracia w imie ducha Polski ! w imie Chrystyanizmu w narodzie ! w imie wolności jakiéj dotąd nie było na ziemi ! Naprzód z poświęceniem choć my młode Polski pokolenie ! Bóg nas woła do przetworzenia świata—tam cała popycha nas Przeszłość — tam cała oczekuje nas Przyszłość — tam stoi nasza kochana Ojczyzna, a na drodze do niéj kwitną już wieńce szczęścia i nieśmiertelności ! Nie straszmy się małą liczbą naszą. Dwunastu ludzi w pierwszéj wielkiéj chwili przemienienia, natchnionych duchem Boga otworzyło ludom przez gruzy drogę do nowego świata. Skąd ta ich ogromna siła ? Oto Duch Boży, Życie ludzkości w nich wstąpiło, czyli mówiąc innémi słowy, wszyscy ludzie to przeczuwali, tego nieświadomie pragnęli, co oni wiedzieli i czynili. — W nas wstąpi Życie świata gdy ożywimy się duchem Polski i na drogę jéj powołania wéjdziemy — wtenczas albowiem ciemne przeczucia narodów w nas zestrzelą się i zapłoną w i e d z ą, ich nieokreślone chęci my zaminimy w c z y n — duch więc całéj ludzkości w nas się skupi, i przez nas działać będzie. Pierwszy krok postawimy, a

pójdzie za nami świat cały — iskra z nas padnie a święty ogień ziemię ogarnie!

Nie łudźmy się nadzieją, że duch czasu lub Bóg sam zwróci nam naszą Ojczyznę. Bóg szanuje wolność człowieka — dopomaga tym, którzy działają z poświęceniem, prowadzi tych którzy idą naprzód, stojących w miéjscu prowadzić nie może.

Dostać można w Księgarni Sławiańskiéj, *Impasse St-Dominique d'Enfer, 4.*

Cena 50 cent

2184 W Drukarni i Litografii Maulde i Renou, przy ulicy Bailleul, 9-11.

Menażerya zwierząt,

z roku 1846.



Hej Panowie! piękne Panie!
Mam zwierzęta, patrzcie na nie,
Wszystko dzikie, co do słowa
Menażerya całkiem nowa.
Jest hyena, tygrys wściekły,
Wilk rozżarty krwią zaciekły,
I lis także z jedném okiem;
Lampart dziki, co potokiem
Lał krew braci, morskie — psisko,
Hultaj wielki. — Widowisko
Będzie ładne i ciekawe,
Wspomni dzieje chociaż łzawe!



I.

Tutaj widać Metternicha,
Co narobił tyle licha
Nam Polakom — dwa lat temu
Rzeź Tarnowską, my to jemu
Bracia winni; chwalmy Boga,
Że ukarał tego wroga;
On jak tygrys pazorami,
Kraj ten szarpał — kajdanami
Lud ociężył, ostre miecze
W pierś nam godził, że krew ciecze
Z ran nam dotąd — serce boli,
Na wspomnienie tej niedoli.



II.

Orangutang to. . . . . osta,
Którego Przemyślka młodzież,
Chciała w wodę strącić z mosta,
I podarła na nim odzież.
Oto zwierzę bardzo ważne,
I dla tego trza w żelazne
Kłódkę dobrze zamknąć jego,
Niech nie robi więcéj złego.
Nie podburza ciemne plemie,
Krwią nie broczy polską ziemię.
On tu teraz jest we Lwowie,
Wiecie dobrze jak się zowie.





III.

Tu się wzdrygnie wasze serce,
To hyena straszna, wściekła,
Zwierzę dzikie i krwiożercze;
Bóg tę żmiję z ciemni piekła
Nam na ciężką zesłał karę,
Za nieufność i niewiarę.
Aby zniszczyć piękny zaród,
Ona z wilkiem się zbratała,
Jak szalona wciąż latała;
Prowadziła ciemny naród,
Aby bratnią krew przelewał,
I tak wolny duch omdlewał.
Ta hyena straszna, wściekła,
Do Czerniowiec raz uciekła;
Ale naród oburzony,
W inne ją napędził strony.

IV.

Patrzcie wilka z kraju tego,
Słynne w dziejach imie jego:
Polska ziemia go zrodziła,
Polka w rękach swych pieściła;
On z swych braci zrobił zbojców,
Dał im do rąk cep i kosy,
Pozabijał dobrych ojców,
Polskie głowy jakby kłosy
Żyta ścinał, wielki Boże!
Krew Boguszów zemsty woła,
Czy twe oko znieść to może,
Czy go karać nie podoła.
Wprawdzie ludzie nam mówili:
Że go tam gdzieś już zabili;
Ja nie wierzę jeszcze teraz,
Bom to słyszał przedtém nieraz.

Chominski - Szela





V.

Kto chce widzieć z piekieł bisa,
Niech popatrzy tu na lisa,
Z stron dalekich, z nad Dunaju
Przywandrował — osiadł w kraju.
On zaszczepiał między nami
Brud szpiegostwa i obłudy,
On owikłał nas szpiegami,
Do ciemnoty trącał ludy.
Lecz Bóg sędzia, on na tego
Łotra zeszle gromu swego;
Strasznie wszystkich tych osądzi,
Kto tak mocno jak on zbłądzi.

VI.

Lampart zwierzę to się zowie,
Czynność jego była w Gdowie,
On zaścielał pola w trupy,
I gromadził je na kupy,
By nasycić swoją radość,
Dzikim chęciom zrobić zadość.
Zwierzę kraj ten nasz przebiegło,
A gdzie przyszło dużo legło
Polskich synów — Pieniądzami
Płacił chłopom, że kosami
Swoich braci mordowali,
I jak zbójcy rabowali.

T. G.

Nro. 58161.

Kreisschreiben

des k. k. galizischen Landesguberniums.

Betreffend die Einführung des standrechtlichen Verfahrens gegen Hochverräther.

O ustanowieniu sądu doraźnego na zdrajców Stanu.

Seine k. k. Majestät haben mit allerhöchster Entschließung vom 15. September l. J. das standrechtliche Verfahren gegen Hochverräther anzuordnen geruhet.

Das in Vollziehung dieser allerhöchsten Anordnung von dem außerordentlich bevollmächtigten Hofcommissär für Galizien Grafen Rudolph von Stadion, erlassene Kreisschreiben wird in Folge hohen Hofkanzlei-Decrets vom 23. September l. J. Zahl 31381|1879 in der Anlage zur öffentlichen Kenntniß gebracht.

Lemberg am 6. October 1846.

Najjaśniejszy Pan raczył najwyższą uchwałą z dnia 15. Września t. r. ustanowić sąd doraźny na zdrajców Stanu.

Okolnik, wydany w uskutecznieniu tego najwyższego rozporządzenia przez nadzwyczajnego pełnomocnego Komisarza nadwornego dla Galicyi, hrabiego Rudolfa Stadiona, podaje się obok stosownie do dekretu wysokiéj Kancelaryi nadwornéj z dnia 23. Września t. r. do liczby 31381-1879 do publicznéj wiadomości.

We Lwowie dnia 6. Października 1846.

Franz Freyherr Krieg von Hochfelden,
Gubernial-Präsident.

Leopold Graf Lazanzky,
Gubernial-Vice-Präsident.

Franz Mitis,
Gubernialrath.

I.

Ad Nrum. 58161.

Kreisschreiben.

Ueber das standrechtliche Verfahren gegen Hochverräther und den Aufstands-Versuch für Galizien, mit Ausschluß der Bukowina.

Seine Majestät haben Sich durch die vorgekommenen Anzeigen: daß die innere Ruhe in den Königreichen Galizien und Lodomerien durch gefährliche Umtriebe und Aufreizung des Landvolkes zur Empörung neuerdings bedroht werden, bewogen gefunden, zum Schutze des Lebens, Eigenthums und gesetzlichen Zustandes der Einwohner Galiziens die Anwendung der durch die Umstände gebothenen außerordentlichen Maßregeln zu genehmigen, und am 15. September l. J. bis auf weitere allerhöchste Verfügung, das standrechtliche Verfahren gegen Hochverräther für die in der gegenwärtigen Verordnung bezeichneten Fälle anzuordnen:

Das standrechtliche Verfahren ist gegen diejenigen einzuleiten, welche nach Kundmachung gegenwärtigen Kreisschreibens

a) Andere auf was immer für eine Art zu dem in dem §. 52. lit. b. I. Theils des Strafgesetz-Buches bezeichneten Verbrechen des Hochverrathes, oder in hochverrätherischer Absicht zu dem Verbrechen des Aufstandes oder Aufruhrs (§§. 61. und 66. I. Theils Straf-Gesetz-Buches), wenn auch ohne

O sądzie doraźnym dla Galicyi, wyłączając Bukowinę, na zdrajców Stanu i usiłowanie powstania.

Najjaśniejszy Pan przez otrzymane doniesienia, że pokój wewnętrzny w Królestwach Galicyi i Lodomeryi przez niebezpieczne zabiegi i podburzanie włościan do powstania znowu jest zagrożony, widział się spowodowanym, zezwolić dla obrony życia, majątku i prawnego położenia mieszkańców Galicyi na użycie nakazanych przez okoliczności nadzwyczajnych środków, i dnia 15. Września t. r. aż do dalszego w téj mierze najwyższego rozporządzenia ustanowić sąd doraźny na zdrajców Stanu w wyszczególnionych w niniejszém rozporządzeniu przypadkach:

Pod sąd doraźny mają być ci oddani, którzy po ogłoszeniu niniejszego okolnika

a) drugich w jakikolwiek sposób do zbrodni zdrady Stanu (zdrady głównéj), oznaczonéj w §fie 52. lit. b. Części I. Ustawy karnéj, albo w zamiarze żdrady Stanu do zbrodni rozruchu albo buntu (§§. 61. i 66. Części I. Ustawy karnéj) chociażby i bezskutecznie wzywają albo uwieść usiłują;

Erfolg auffordern, oder zu verleiten suchen;

b) in hochverrätherischer Absicht der bewaffneten Macht thätlichen Widerstand leisten, oder an öffentlichen Beamten, obrigkeitlichen Personen oder an Wachen Gewaltthätigkeiten verüben;

c) sich einer Volksbewegung oder Zusammenrottung mit bewaffneter Hand anschließen, der Aufforderung der Obrigkeit oder bewaffneten Macht, sich von der aufrührerischen Zusammenrottung zu entfernen, nicht sogleich Folge leisten, und während des Aufruhrs mit Waffen, oder andern Mordwerkzeugen versehen ergriffen werden.

Die gegenwärtige Verordnung ist nach vierzehn Tagen nach der ersten Einrückung in die Lemberger polnische Zeitung für kundgemacht zu halten.

Ueber die Zusammensetzung des Standrechtes und das dabei zu beobachtende Verfahren erhalten die k. k. Behörden die nöthigen Weisungen.

Lemberg den 6. October 1846.

b) w zamiarze zdrady Stanu sile zbrojnéj czynny stawiają opór, albo na urzędnikach publicznych, osobach zwierzchniczych, albo na straży popełniają gwałty;

c) do powstania ludu lub kupienia się zbrojno się przyłączają, wezwania zwierzchności albo siły zbrojnéj do oddalenia się od buntowniczego skupienia się natychmiast nie usłuchają i podczas rozruchu z bronią w ręku lub innémi narzędziami zabójczémi będą pojmani.

Niniejsze rozporządzenie należy we czternaście dni po piérwszém umieszczeniu w Gazecie Lwowskiéj polskiéj uważać za ogłoszone.

Względem złożenia sądu doraźnego i jego postępowania dano c. k. władzom stosowne polecenie.

We Lwowie d. 6. Października 1846.

Rudolph Graf Stadion,
k. k. außerordentlich bevollmächtigter Hof-Commissär
für das Königreich Galizien.

Nro. 58161.

Kreisschreiben

des k. k. galizischen Landesguberniums.

Betreffend die Entdeckung und Anzeige verdächtiger Menschen.

Das in Folge allerhöchster Entschließung vom 15. September l. J. von dem außerordentlich bevollmächtigten Hofcommissäre für Galizien, Grafen Rudolph v. Stadion, bezüglich der Entdeckung und Anzeige verdächtiger Menschen, erlassene Kreisschreiben, wird anliegend in Folge hohen Hofkanzleidecretes vom 23. September l. J. Zahl 31381-1879 hiemit zur allgemeinen Kenntniß gebracht.

Lemberg am 6. October 1846.

O wyśledzeniu ludzi podejrzanych i uwiadamianiu o nich.

Okolnik, wydany przez nadzwyczajnego pełnomocnego komisarza nadwornego dla Galicyi, hrabiego Rudolfa Stadiona, w skutek najwyższéj uchwały z d. 15. Września t. r., podaje się obok, stosownie do dekretu wysokiéj Kancelaryi nadwornéj z dnia 23. Września t. r. do liczby 31381-1879 niniejszém do publicznéj wiadomości.

We Lwowie dnia 6. Października 1846.

Franz Freyherr Krieg von Hochfelden,
Gubernial-Präsident.

Leopold Graf Lazanzky,
Gubernial-Vice-Präsident.

Franz Mitis,
Gubernialrath.

II.

Ad Nrum. 58161.

Kreisschreiben.

Ueber die Entdeckung und Anzeige verdächtiger Menschen für Galizien, mit Ausschluß der Bukowina.

Da die strafbaren und gefährlichen Umtriebe, welche von Emissären und Aufwieglern in hochverrätherischer Absicht unternommen werden, eine verdoppelte Wachsamkeit zur Hintanhaltung verbrecherischer Attentate erfordern, so wird in Folge allerhöchster Entschließung vom 15. September l. J. bis auf weitere allerhöchste Verfügung Folgendes verordnet:

§. 1.

Wer Jemanden in seine Wohnung über die Nacht aufnimmt oder beherbergt, und hievon die Anzeige an die Obrigkeit oder den Gemeindvorstand binnen 24 Stunden nicht erstattet, wird mit Arrest von drei Tagen bis vier Wochen bestraft.

§. 2.

Ein Schankwirth, welcher zur Beherbergung nicht berechtiget ist, und Jemanden über Nacht aufnimmt, wird mit Arrest von einer Woche bis zu einem Monate bestraft, und von dem Schankhause abgeschafft.

§. 3.

Die Gemeindevorsteher und Ortsobrigkeiten haben die Paßvorschriften strenge zu beobachten, und verdächtige Menschen, welche sich über ihren Beruf oder ihre Befugniß, sich im Orte aufzuhalten, nicht gehörig ausweisen

O wyśledzeniu ludzi podejrzanych i uwiadamianiu o nich w Galicyi, wyłączając Bukowinę.

Ponieważ karygodne i niebezpieczne zabiegi emisaryjuszów i podżegaczów w zamiarze zdrady Stanu, podwojonéj wymagają czujności dla wstrzymania zbrodniczych zamachów, więc rozporządza się w skutek najwyższéj Uchwały z dnia 15. Września t. r. aż do dalszego w téj mierze najwyższego nakazu, co następuje:

§. 1.

Kto kogo do swego pomieszkania na noc przyjmuje, albo mu daje gospodę, a nie doniesie o tém zwierzchności albo przełożonemu gminy w ciągu 24 godzin, będzie karany aresztem od trzech dni do cztérech tygodni.

§. 2.

Szynkarz, który nie jest upoważniony do przyjmowania w gospodę, a przyjmuje kogo na noc, będzie karany aresztem od jednego tygodnia aż do miesiąca, i usunięty z szynku.

§. 3.

Przełożeni gminy i zwierzchności miejscowe powinny ściśle przestrzegać przepisów o paszportach, i ludzi podejrzanych, niemogących się należycie wykazać ze swego powołania albo też upoważnienia do bawienia w miejscu, od-

können, dem exponirten Kreiscommissär oder dem vorgesetzten Kreisamte zur Amtshandlung sogleich zu überliefern.

§. 4.

Die Dominical-Verwalter, Mandatare und Gemeindevorsteher, welche paßlosen oder verdächtigen Menschen Unterstand gewähren, ihre Verheimlichung entweder selbst vermitteln, oder nur zulassen, und die Ablieferung derselben an den exponirten Kreiscommissär oder das Kreisamt unterlassen oder vereiteln, sind, wenn solche Uebertretungen nicht nach der Vorschrift der §§. 54. und 55. I. Theils des Strafgesetzbuches behandelt werden können, mit strengem Arreste von einem bis drei Monate und dem Verluste des Amtes zu bestrafen.

§. 5.

Die Untersuchung dieser Fälle hat das zuständige Kreisamt nach Vorschrift des II. Theils des Strafgesetzbuches vorzunehmen, und die zu verhängende Strafe in Vollzug zu setzen, wenn gegen das Urtheil der Recurs binnen 24 Stunden bei dem Kreisamte nicht angemeldet, und binnen drei Tagen bei demselben nicht überreicht würde.

§. 6.

Durch die vorstehenden Bestimmungen tritt in den hier nicht berührten Fällen keine Aenderung in den bestehenden Vorschriften und Strafgesetzen ein.

Lemberg den 6. October 1846.

dać zaraz w ręce ekspowanemu komisarzowi albo przełożonemu Urzędowi cyrkułowemu, dla przedsięwzięcia z nim czynności urzędowéj.

§. 4.

Rządzcy dominikalni, mandataryjusze i przełożeni gminy, którzy dają przytułek ludziom bez paszportu albo podejrzanym, w ich ukryciu albo sami pośredniczą, albo go tylko dopuszczają, i odstawienia ich do komisarza eksponowanego zaniedbują, albo też je udaremniają, mają być w razie: jeżeli takie przestępstwa nie mogą być podług przepisu §§. 54. i 55. Części I. Ustawy karzącéj sądzone, karani ścisłym aresztem od jednego do trzech miesięcy i utratą urzędu.

§. 5.

Śledztwo tych wypadków ma właściwy urząd cyrkułowy podług przepisów Części II. Ustawy karnéj przeprowadzić, i karę nałożyć się mającą wykonać, gdyby przeciwko wyrokowi nie zapowiedziano w ciągu 24ech godzin rekursu u Urzędu cyrkułowego, i nie podano go do niego w ciągu trzech dni.

§. 6.

Co do nietkniętych tu wypadków istniejące przepisy i ustawy karne żadnéj przez powyższe postanowienia nie doznają odmiany.

We Lwowie dnia 6. Września 1846.

Rudolf Graf Stadion,
k. k. außerordentlich bevollmächtigter Hof-Commissär
für das Königreich Galizien.

Preis-Tarif

der

Zeitungen und Journale

bei der kaiserlich-königlichen

Hofpostamts-Haupt-Zeitungs-Expedition

in Wien.

Für das Solar-Jahr 1846.



Wien, 1846.

Aus der kaiserlich-königlichen Hof- und Staats-Aerarial-Druckerei.

Erläuterungen und Abonnements-Bedingungen.

1. Außer den bezeichneten ganz- und halbjährigen Pränumerations-Preisen sind zugleich folgende Gebühren zu entrichten:

	Ganz-		Halb-	
	jährig.			
	fl.	kr.	fl.	kr.
a. Für die **Expedition** von jeder einzelnen Zeitung	—	24	—	12
b. „ „ **Zusendung**, wenn diese öfter als zweimahl in der Woche geschehen soll . . .	4	—	2	—
c. „ „ **Versiegelung mit hartem Wachs**, bey wöchentlich zweimahliger Zusendung .	1	36	—	48
d. **Eben dafür**, wenn die Zusendung öfter als zweimahl in der Woche geschieht . . .	6	24	3	12

2. Zeitungen, deren ganzjährige Preise in der 1. Rubrik der Preis-Colonne verzeichnet sind, dürfen auch nur ganzjährig pränumerirt werden, nähmlich vom 1. Januar bis Ende December; bei allen übrigen Zeitungen und Journalen, welche halbjährig pränumerirt werden konnen, und deren halbjährige Preise in der 2. Rubrik der Preis-Colonne erscheinen, findet auch in dem lezten Quartal eines jeden Semesters eine vierteljahrige Pränumeration Statt, nähmlich im 1. Semester vom 1. April bis Ende Junius, und im 2. Semester vom 1. October bis Ende December.

3. Die Bestellung auf inländische Zeitungen ist 14 Tage, und auf ausländische 3 Wochen vor Anfang eines Semesters zu veranlassen.

   Erfolgt die Bestellung vor Ablauf eines Semesters innerhalb des angedeuteten Termines nicht, so wird angenommen, daß der Abonnent auf die Fortsetzung verzichtet.

   Geschieht die Bestellung später, so kann man für die vollständige Ablieferung der ersteren Nummern, besonders von politischen Zeitungen nicht bürgen.

4. Keine Pränumeration, nachdem sie förmlich angenommen und verbucht ist, kann rückgängig gemacht werden.

5. Zur Verwahrung vor Verlust an Zeit und Postspesen wird erinnert, daß man brieflichen Bestellungen, denen nicht der volle Pränumerations-Betrag beiliegt, keine Folge geben, sondern solche remittiren werde.

6. Auf jedem geldbeschwerten Briefe (die k. k. Fahrpost haftet allein für dessen Sicherheit) müssen jedesmahl, und zwar auf der Adreß-Seite, die Geldsorten spezificirt werden.

7. Von der unterzeichneten Expedition wird für die pünctliche Versendung und Abgabe der Zeitungen gesorgt werden. Sollte aber dennoch der Fall eintreten, daß ein Zeitungsblatt mangle, so muß der Abgang des Blattes gleich mit erstem Posttage an dieselbe angezeigt werden, weil nach Verlauf einer längeren Zeit kein Ersatz geleistet werden kann, und jedes geforderte Stück dem Verleger bezahlt werden muß, wenn er solches nachliefern will.

8. Alle literarischen Zeitschriften aus dem Auslande unterliegen der k. k. Censur, und können vor ihrer Erledigung nicht ausgegeben oder versendet werden.

   Von den meisten derselben können früher erschienene Quartals-Lieferungen zu jeder Zeit im Jahre complet nachgetragen werden.

9. Abonnenten, welche directe in Wien pränumeriren, erhalten ihre Zeitungen unter Couvert mit gedruckter Adresse portofrei in allen Provinzen der k. k. Erblande.

10. Die nicht in Wien erscheinenden Zeitungen werden den Pränumeranten auf Verlangen gegen eine Gebühr von 2 fl. Conventions-Münze jährlich, in der Stadt, und von 3 fl. Conventions-Münze jährlich, in der Vorstadt zugestellt, und zwar ohne Unterschied der Anzahl der pränumerirten Zeitungen.

11. Zur Drucklegung angezeigte Adressen müssen zwar deutlich und bestimmt, aber möglichst kurz gefaßt seyn.

Die Preise der Zeitungen bleiben nur in so ferne gültig, als die auswärtigen Postämter bei einer oder der andern Zeitung keine Erhöhung späterhin vornehmen, in welchem Falle man sich die Nachzahlung gefallen lassen muß.

Alle nicht in diesem Verzeichnisse enthaltenen Zeitungen und Journale, politische und nicht politische, können nur gegen besondere Bewilligung der hohen k. k. Censurs-Hofstelle bezogen werden.

Von der k. k. Hof-Post-Zeitungs-Haupt-Expedition.

Wien den 20. December 1845.

Erste Abtheilung.

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo	und wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz-		halb-	
			jährig			
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
A.						
Ausländische Zeitschriften.						
Politische.	in:					
Abendzeitung	*Augsburg*	wöch. 7 mal	—	—	12	—
Achner (Stadt) Zeitung	*Aachen*	„ 7 „	—	—	18	36
Allgemeine Zeitung	*Augsburg*	„ 7 „	—	—	17	28
Allgemeiner Schweizer Correspondent	*Schaffhausen*	„ 2 „	—	—	6	—
Augsburger Postzeitung	*Augsburg*	„ 7 „	—	—	13	40
Baierische Landbothe (Der) . . .	*München*	„ 6 „	—	—	11	—
Bukarester deutsche Zeitung . . .	*Bukarest*	„ „	—	—	—	—
Churer Zeitung	*Chur*	„ 2 „	—	—	4	48
Correspondent von u. für Deutschland	*Nürnberg*	„ 7 „	—	—	14	18
Eidgenössische Zeitung	*Zürich*	„ 7 „	—	—	10	—
Frankfurter Ober-Postamts-Zeitung	*Frankfurt a. M.*	„ 7 „	—	—	16	12
Gothaer Zeitung	*Gotha*	„ 5 „	—	—	11	12
Hamburger Börsenhalle	*Hamburg*	„ 6 „	—	—	22	36
„ unparth. Correspondent Druckp.	„	„ 6 „	—	—	16	48
„ „ „ Schreibp.	„	„ 6 „	—	—	18	48
Hannöversche Zeitung	*Hannover*	„ 6 „	—	—	15	12
Karlsruher Zeitung	*Karlsruhe*	„ 7 „	—	—	15	—
Leipziger Zeitung	*Leipzig*	„ 6 „	—	—	14	—
Luzerner Staatszeitung der katholischen Schweiz	*Luzern*	„ 2 „	—	—	4	30
Münchner politische Zeitung . . .	*München*	„ 6 „	—	—	11	—
Petersburger deutsche Zeitung . .	*St. Petersburg*	„ 6 „	39	36	—	—
Preußische allgem. Staatszeitung .	*Berlin*	„ 7 „	—	—	15	—
Regensburger Zeitung	*Regensburg*	„ 6 „	—	—	11	—
Schweizer Zeitung (Allgemeine) . .	*Bern*	„ 3 „	—	—	8	48
„ „	*St. Gallen*	„ „	—	—	13	24
Süddeutsche Zeitung für Kirche u. Staat	*Freyburg*	„ „	—	—	—	—
Würzburger Zeitung, neue . . .	*Würzburg*	„ 7 „	—	—	14	36

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo	und wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz-		halb-	
			jährig			
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
Holländisch.	in:					
Amsterdamsche Courant Nieuwe en Allgemeine Handelsblad . . .	*Amsterdam*	wöch. 6 mal	—	—	29	24
Avendbode	„	„ 6 „	—	—	28	—
Französisch.						
L'Echo de l'Orient	*Smyrna*	„ 1 „	—	—	15	—
L'Epoque	*Paris*	„ „	—	—	—	—
La France	„	„ 7 „	—	—	31	24
Journal de Francfort	*Frankfurt*	„ 7 „	—	—	18	18
„ de la Haye	*Haag*	„ 6 „	—	—	34	—
„ de Bruxelles	*Brüssel*	„ 6 „	—	—	38	36
„ d'Odessa	*Odessa*	„ 2 „	35	—	—	—
„ des Débats	*Paris*	„ 7 „	—	—	33	10
„ de St. Petersbourg . .	*St. Petersburg*	„ 3 „	28	36	—	—
„ de Smyrne	*Smyrna*	„ 1 „	—	—	15	—
„ de Constantinople . . .	*Constantinopel*	„ 2 „	—	—	11	4
Messager, le, ...	*Paris*	„ 7 „	—	—	25	36
Moniteur Belge	*Brüssel*	„ 7 „	—	—	42	12
„ grec.	*Athen*	—	—	—	—	—
„ Ottoman	*Constantinopel*	„ „	24	—	—	—
„ Parisien	*Paris*	„ 7 „	—	—	24	—
„ Universel	„	„ 7 „	—	—	42	—
Presse, la, ...	„	„ 7 „	—	—	29	48
Quotidienne	„	„ 7 „	—	—	31	24
Englisch.						
Bell's Weekly Messenger . . .	*London*	„ 1 „	—	—	16	12
Courier	„	„ 6 „	—	—	78	12
Evening Mail	„	„ 3 „	—	—	36	—
Galignani's Messenger	*Paris*	„ 6 „	—	—	43	24
Globe and Traveller	*London*	„ 6 „	—	—	78	12
John Bull	„	„ 1 „	—	—	15	—
Morning Chronicle	„	„ 6 „	—	—	78	12
„ Herald	„	„ 6 „	—	—	78	12
„ Post	„	„ 6 „	—	—	78	12
Standard	„	„ 6 „	—	—	78	12
Sun	„	„ 6 „	—	—	78	12
Tablet	„	„ „	—	—	—	—
Times	„	„ 6 „	—	—	78	12

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo	und wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz-		halb-	
			jährig			
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
Italienisch.	in:					
Diario di Roma	*Rom*	wöch. 4 mal	—	—	15	24
Foglio di Modena	*Modena*	„ 2 „	—	—	5	4
Furetto (Il)	*Turin*					
Gazzetta di Bologna	*Bologna*	„ 3 „	—	—	14	—
„ di Firenze	*Florenz*	„ 3 „	—	—	14	—
„ di Genova	*Genua*	„ 2 „	—	—	13	—
„ Ticinese	*Lugano*	„ 2 „	—	—	7	—
„ di Parma	*Parma*	„ 4 „	—	—	11	—
„ Piemontese	*Turin*	„ 6 „	—	—	19	—
Giornale del Regno delle due Sicilie	*Neapel*	„ 6 „	—	—	21	24
Indipendente Suizzero	*Magliasso*	„ 1 „	—	—	8	—
Messagiere Modenese	*Modena*	„ 1 „	—	—	8	—
Griechisch.						
Chronos						
Gazetta Jonia	*Corfu*	„ 1 „	—	—	9	36
Regierungs-Zeitung, griech.	*Athen*	unbestimmt	—	—	6	12
Zephyros						
Türkisch.						
Takwini-Wakayi	*Constantinopel*	wöch. 1 mal	24	—	—	—
Serbisch.						
Beogradske Novine sammt Beiblatt: Avala	*Belgrad*	„ 2 „	11	12	—	—
Schwedisch.						
Minerva	*Stockholm*	„ 2 „	14	36	—	—
Staadtidning	*Helsingförs*	„ 6 „	36	—	—	—
Polnisch.						
Gazeta Warszawska	*Warschau*	„ 6 „	—	—	20	—
„ Poranna	„	„ 7 „	—	—	17	24
Kuryer Warszawski	„	„ 6 „	—	—	15	—
„ Litewski (poln. u. russisch)	*Wilna*	„ 3 „	—	—	14	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo	und wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz-		halb-	
			jährig			
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
Russisch.	in:					
Biene, Nordische	*St. Petersburg*	wöch. 6 mal	39	36	—	—
Invalide, oder Kriegszeitung . .	"	" 6 "	36	—	—	—
St. Petersburger Zeitung . . .	"	" 6 "	39	36	—	—
B.						
Ausländische nicht politische Zeitschriften.						
Aehrenlese, katholisches Wochenblatt	*Dillingen*	" 1 "	2	36	—	—
Allgemeine Homöopathische Zeitung .	*Leipzig*	Bd. v. 24 Heft	—	—	5	—
" Zeitung für die deutschen Land- und Hauswirthe	"	" 1 "	—	—	3	48
" Versicherungs-Zeitung .	"	" 1 "	—	—	3	6
Annalen der Physik und Chemie . .	"	mon. 1 Heft	17	12	—	—
" der Chemie und Pharmazie	*Heidelberg*	" 1 "	15	30	—	—
Archiv der deutschen Landwirthschaft	*Leipzig*	" 1 "	6	40	—	—
" für Natur, Kunst	*Braunschweig*	" 1 "	4	30	—	—
" für das Postwesen . . .	*Frankfurt a. M.*	wöch. 1 mal	3	40	—	—
" für Offiziere aller Waffen .	*München*	9 Hft. im Jahre	7	30	—	—
Astronom. Nachrichten v. Schumacher	*Altona*	24 N. pr. Bd.	—	—	8	—
Ausland (Das)	*Stuttgart*	wöch. 6 mal	—	—	10	—
Badezeitung, allgemeine	*Baden-Baden*	in d. Badez. tägl.	—	—	10	48
Berg- und Hüttenzeitung	*Nordhausen*	wöch. 1 mal	7	30	—	—
Bergwerksfreund	*Eisleben*	24 N. pr. Bd.	—	—	7	30
Berliner Garten-Zeitung, allgemeine	*Berlin*	wöch. 1 mal	9	36	—	—
" medicinische Central-Zeitung	"	" 1 "	8	48	—	—
" Modenspiegel	"	" 1 "	—	—	7	24
" Theaterzeitung	"	" 3 "	—	—	6	48
Bibliothek der practischen Heilkunde .	"	mon. 1 Hft.	7	—	—	—
Blätter (fliegende)	*München*	24 N. pr. Bd.	—	—	3	12
Blumenzeitung	*Weissensee*	wöch. 1 mal	5	—	—	—
Botanische Zeitung	*Regensburg*	" 1 "	8	—	—	—
Breslauer Figaro	*Breslau*		—	—	—	—
Cameralistische Zeitung, allgemeine .	*Berlin*	" 1 "	8	—	—	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo und wie oft sie erscheint		Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c — ganz-jährig fl.	ganz-jährig kr.	halb-jährig fl.	halb-jährig kr.
	in:					
Correspondenzblatt, medizinisches . .	*Stuttgart*	wöch. 1 mal	7	—	—	—
„ des Würtemb. landwirthschaftlichen Vereins	„	mon. 1 Hft.	4	—	—	—
Cours-Anzeiger	*Berlin*	wöch. 6 mal	—	—	9	—
Coursblatt	*Frankfurt a. M.*	„ 6 „	—	—	10	—
Courszettel	*Augsburg*	„ 2 „	6	48	—	—
„ oder Fonds- und Geld-Cours	*Berlin*	„ 5 „	—	—	10	—
„ oder Hertels Coursbericht .	„	„ 6 „	—	—	15	30
„ der Münzen	*Hamburg*	„ 2 „	—	—	5	—
„ oder Geld- u. Wechsel-Cours	*Leipzig*	„ 2 „	—	—	3	36
Dampfer, Eisenbahnzeitung . . .	*Berlin*	„ 3 „	—	—	4	30
Eisenbahn-Zeitung	*Stuttgart*	„ 1 „	—	—	6	—
Elegante (Der)	*Weimar*	mon. 1 Hft.	—	—	3	18
Entomologische Zeitung	*Stettin*	„ 1 „	3	45	—	—
Forst- und Jagd-Zeitung, Allgemeine deutsche	*Frankfurt*	„ 1 „	—	—	4	24
Frankfurter Börsen-Coursblatt von Sulzbach	„	wöch. 6 mal	18	—	—	—
„ Handels-Correspondent .	„	„ 2 „	7	12	—	—
Frauendorfer Blätter (Vereinigte) Allgemeine deutsche Gartenzeitung, Obstbaumfreund, Bürger- und Bauernzeitung	*Passau*	„ 1 „	1	40	—	—
Friedensbote (Der)	*Leipzig*	alle 14 Tage	2	16	—	—
Gelehrte Anzeigen	*München*	wöch. 6 mal	13	—	—	—
Gewerbe-, Industrie- und Handelsblatt	*Berlin* (Bd. v. 26 N.)	„ 2 „	—	—	4	—
Handels-Correspondent	*Frankfurt*	„ 2 „	—	—	10	36
Handels-Zeitung	*Berlin*	„ 3 „	—	—	6	—
Handels-Zeitung	*Petersburg*	„ 2 „	18	—	—	—
„ und Gewerbs-Zeitung . .	*St. Gallen*					
Handlungs-Zeitung, Rheinische neue	*Mainz*	„ 2 „	—	—	4	48
Heidelberger Jahrbücher der Literatur	*Heidelberg*	M. H.	20	—	—	—
Herold (Der). Naturwiss. u. gewerbl. Zeitschrift	*Berlin*	wöch. 1 mal	—	—	2	36
Hippologische Blätter	*Kiel*	alle 14 Tage	—	—	7	—
Historisch-politische Blätter für's katholische Deutschland	*München*	„ 14 „	—	—	5	48
Jahrbuch, neues, für Mineralogie, Geologie und Petrefactenkunde .	*Stuttgart*	6 H. unbest.	11	24	—	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo und	wie oft	Pränumerations=Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz-		halb-	
			jährig			
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
	in:					
Jahrbücher der in- ausländischen gesammten Medicin . .	*Leipzig*	mon. 1 Hft.	22	—	—	—
„ (kritische) für deutsche Rechtswissenschaft . .	„	„ 1 „	12	—	—	—
Illustrirte Zeitung	„	wöch. 1 mal	—	—	5	52
Journal für Buchdrucker und Schriftgießer	*Braunschweig*	mon. 1 Hft.	4	36	—	—
„ für moderne Stickerei (ein Monatblat für Stickerinnen aus Beruf oder Neigung) . .	*Leipzig*	mon. 1 mal	4	20	—	—
„ für die Chemie	„	„ 1 „	16	—	—	—
„ für Mannskleidermacher . .	*Aachen*	alle 14 Tage	—	—	4	30
Iris im Gebiete der Tonkunst . .	*Berlin*	wöch. 1 mal	3	—	—	—
Katholik	*Mainz*	„ 1 „	14	—	—	—
Katholische Kirchenzeitung . . .	*Frankfurt*	„ 2 „	—	—	5	24
Kirchenzeitung für das katholische Deutschland	*Passau*	„ 2 „	—	—	3	48
Korrespondenzblatt (medizinisches) bairischer Aerzte	*Erlangen*	„ 1 „	7	12	—	—
Kunst- und Gewerbeblatt, neues .	*München*	„ 1 „	6	36	—	—
Landwirthschaftl. Zeitung f. Kurhessen	*Cassel*	mon. 1 Hft.	4	—	—	—
Landwirthschaftliche Zeitung d. Großherzogthums Hessen . . .	*Darmstadt*	wöch. 1 mal	4	30	—	—
„ Dorf=Zeitung mit Abbildungen	*Arnstadt*	„ 1 „	2	—	—	—
Leipziger Handelszeitung	*Leipzig*	„ 2 „	—	—	3	20
Leipziger Modezeitung, mit Doppelkupfern	„	„ 1 „	—	—	7	14
„ musikalische Zeitung . . .	„	„ 1 „	—	—	6	—
„ neue Zeitschrift für Musik .	„	„ 1 „	—	—	4	30
Literarische Zeitung	*Berlin*	„ 2 „	9	30	—	—
Magazin im Gebiete der Jägerei .	„	„ 1 „	—	—	4	18
Medicinische Zeitung vom Verein für Heilkunde in Preußen	„	„ 1 „	8	30	—	—
Menschenfreund, der, in seinen Beziehungen zur belebten Welt . . .	*Dresden*	„ 1 „	1	24	—	—
Merkers Beiträge zur praktischen Polizei	*Berlin*	„ 1 „	10	—	—	—
Militär=Literatur=Zeitung	„	6 Hft. pro anno	7	—	—	—
„ Wochenblatt	„	wöch. 1 mal	—	—	3	6
„ Zeitung, allgemeine . . .	*Darmstadt*	„ 2 „	—	—	7	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo und	wie oft sie erscheint	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c ganz- jährig fl.	kr.	halb- jährig fl.	kr.
	in:					
Mittheilungen zur Beförderung der Sicherheitspflege	*Berlin*	wöch. 2 mal	7	—	—	—
Mittheilungen über Wein-, Obst- und Gemüsebau	*Weissensee*	alle 14 Tage	3	—	—	—
„ des Industrie-Vereines . .	*Chemnitz*	mon. 1 Hft.	3	36	—	—
Modezeitung (Achner) für deutsche Frauen	*Aachen*	wöch. 1 mal	—	—	10	6
Morgenbericht der auswärtigen Börsen	*Berlin*	„ 7 „	—	—	16	—
Morgenblatt der auswärtigen Börsen	„	„ 7 „	—	—	14	—
Neue Pariser Modeblätter mit 52 Modekupfern	*Hamburg*	„ 1 „	10	—	—	—
Norddeutsche Zeitschrift für Theater	*Berlin*	„ 1 „	—	—	4	40
Notizen aus dem Gebiete der Natur- und Heilkunde	*Weimar*	pr.Bd.v.24 Nrn.	—	—	4	—
Numismatische Zeitung	*Weissensee*	alle 14 Tage	6	—	—	—
Organ, allgem., für Handel u. Gewerbe	*Köln*	wöch. 2 mal	—	—	10	—
Pfennigmagazin	*Leipzig*	„ 1 „	—	—	2	—
Pharmazeutisches Centralblatt . .	„	„ 1 „	8	—	—	—
Philothea, Sonntagsblatt für religiöse Belehrung und Erbauung . . .	*Würzburg*	„ 1 „	4	36	—	—
Polytechnisches Centralblatt . . .	*Leipzig*	„ 1 „	9	—	—	—
„ Journal, v. Dingler	*Stuttgart*	alle 14 Tage	18	—	—	—
Polytechnische Zeitung	*Nürnberg*	wöch. 1 mal	—	—	2	30
Religions- und Kirchenfreund von Seiffenreiter	*Würzburg*	mon. 1 Hft.	12	—	—	—
Repertorium, neues, der gesammten deutschen med. chirurg. Journalistik	*Leipzig*	wöch. 1 mal in 3 N.	—	—	5	16
Sion, eine Stimme in der Kirche für neuere Zeit	*Augsburg*	wöch. 3 mal	—	—	4	20
Sion, neuer	„	„ 3 „	—	—	4	12
Soldatenfreund	*Berlin*	„ 1 „	—	—	4	—
Theaterzeitung, deutsche	*Leipzig*	„ 1 „	—	—	1	40
Wochenblatt für Haus- und Landwirthschaft, Gewerbe und Handel . .	*Stuttgart*	„ 1 „	4	—	—	—
Zeitung für deutsche Gewerbe . .	*Leipzig*	„ 2 „	—	—	3	18
Zeitschrift für Münz-, Siegel- und Wappenkunde . .	*Berlin*	mon. 1 Hft.	5	24	—	—
„ für practische Baukunst .	*Hamburg*	„ 1 „	8	36	—	—
Zollvereinsblatt	*Augsburg*	„ 1 „	—	—	3	36

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo	und wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
	sie erscheint		ganz- jährig		halb- jährig	
			fl.	kr.	fl.	kr.
Französisch.	in:					
Ami de la Réligion	*Paris*	wöch. 6 mal	—	—	15	—
Annales de l'agriculture française	„	mon. 1 Hft.	7	36	—	—
„ de Chimie et de Phisique	„	„ 1 „	17	—	—	—
„ des Mines	„	„ 1 „	15	—	—	—
„ des Sciences naturelles .	„	„ 1 „	19	—	—	—
„ de la Société d'Horticulture	„	„ 1 „	8	—	—	—
„ des Voyages	„	„ 1 „	20	—	—	—
Archives du Commerce . . .	„	„ 1 „	17	—	—	—
„ générales de Médecine .	„	„ 1 „	13	36	—	—
Artiste	„	wöch. 1 mal	—	—	17	—
L'Audience, journal des Tribunaux	„	„ 2 „	15	36	—	—
Bibliothéque universelle des Sciences et des Arts	*Genf*	mon. 1 Hft.	25	—	—	—
Bulletin de la Classe Physico-Mathématique de l'Academie Imp. des sciences de St. Petersbourg	*St. Petersburg*	alle 10 Tage	—	—	—	—
Bulletin de la Société de Géograph.	*Paris*	mon. 1 Hft.	10	36	—	—
„ de la Société d'encouragm.	„	„ 1 „	17	24	—	—
Comptes rendus hebdomadaires des séances de l'academie des sciences à Paris	„	wöch. 1 mal	20	36	—	—
Correspondant	„		—	—	—	—
Cours des Banquets et Effets publ.	„	„ 6 „	—	—	17	48
Cultivateur	„	mon. 1 Hft.	6	—	—	—
L'Estafette de modes, journal des tailleurs	„	„ 1 „	—	—	5	—
Experience, journal de médecine et chirurgie	„	„ 1 „	15	36	—	—
France industrielle	„	wöch. 1 mal	8	—	—	—
„ musicale	„	„ 2 „	—	—	7	—
Follet, le	„	alle 6 Tage	—	—	10	30
Gazette medicale	„	wöch. 1 mal	—	—	10	48
„ musicale	„	„ 1 „	16	48	—	—
Illustration	„	„ 1 „	—	—	11	—
Institut, Journal des Academies 1. et 2. Section (beide Sectionen zusammen)	„	wöch. 1 Lief.	19	—	—	—
		mon. 1 Hft.	—	—	—	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo	und wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz- jährig		halb- jährig	
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
	in:					
Journal d'Agriculture pratique .	*Paris*	mon. 1 Hft.	—	—	—	—
" des Dames et des Modes de Francfort	*Frankfurt*	wöch. 1 mal	—	—	10	—
" des Demoiselles . . .	*Paris*	alle 5 Tage	7	—	—	—
" des Enfants	"	mon. 1 Hft.	5	—	—	—
" des Harras, des Chasses et des Courses des Chevaux	"	" 1 "	20	48	—	—
" des Mathématiques pures et appliquées . . .	"	" 1 "	17	—	—	—
" de Pharmacie et des Sciences accessoires . .	"	" 1 "	8	36	—	—
" des Savans	"	" 1 "	24	—	—	—
" des Tailleurs	"	alle 14 Tage	—	—	10	—
" de l'Institut de l'histoire de France	"		—	—	—	—
Magasin pittoresque	"	wöch. 1 mal	5	—	—	—
La Mode	"	" 1 "	—	—	15	—
Modes Parisiennes (La grande Mode)	"	" 1 "	—	—	7	12
Moniteur industriel	"	" 3 "	18	—	—	—
" de la propriété . . .	"	mon. 1 Hft.	7	36	—	—
" de l'armée	"	" 1 "	—	—	—	—
Musée des Familles	"	wöch. 1 mal	6	—	—	—
" Philippon	"		—	—	—	—
Narcisse, Journal théor.-pratique de l'art du Tailleur	"	mon. 1 Hft.	7	36	—	—
Paris élégant et Longchamps . .	"	" 1 "	—	—	—	—
Petit Courier des Dames . . .	"	alle 5 Tage	—	—	15	—
Revue britannique	"	mon. 1 Hft.	—	—	15	—
Spectateur militaire	"	" 1 "	20	—	—	—
Théorie de l'art des tailleurs . .	"	" 1 "	—	—	4	—
Ton (le bon). Journal des Modes	"	alle 14 Tage	—	—	9	—
Université catholique	"	mon. 1 Hft.	—	—	—	—
Voleur	"	" 5 "	—	—	14	—
Englisch.						
Blackwoods Magazine	*Edimburg*	" 1 "	26	—	—	—
Journal of Science and Arts . .	*London*	" 1 "	26	—	—	—
Literary Gazette	"	wöch. 1 mal	—	—	18	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo und wie oft sie erscheint		Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c — ganzjährig		halbjährig	
	in:		fl.	kr.	fl.	kr.
Lloyd's List	*London*	wöch. 6 mal	60	—	—	—
London and Paris Observer . .	*Paris*	„ 1 „	—	—	18	—
Mechanics Magazine	*London*	mon. 1 Hft.	20	36	—	—
Medical Gazette	„	wöch. 1 mal	28	36	—	—
Mercantile Journal	„	„ 1 „	50	—	—	—
Mining Journal	„	„ 1 „	—	—	17	—
Naval and Military Gazette . .	„	„ 1 „	32	36	—	—
Penny Magazine	„	mon. 1 Hft.	8	36	—	—
Philosophical Magazine	„	„ 1 „	25	—	—	—
Register (Botanical)	„	„ 1 „	30	—	—	—
Repertory of Patents, Invent. etc.	„	„ 1 „	28	36	—	—
Veterinarian	„	„ 1 „	14	36	—	—
Italienisch.						
Album di Roma	*Rom*	wöch. 1 mal	10	36	—	—
Bolletino delle scienze mediche .	*Bologna*	mon. 1 Hft.	6	—	—	—
Cattolico, il	*Lugano*	alle 14 Tage	6	36	—	—
Espero (L')	*Genua*		—	—	4	20
Felsineo (Il)	*Bologna*	wöch. 1 mal	4	40	—	—
Guida dell' Educatore	*Firenze*	mon. 1 Hft.	6	36	—	—
Iride	*Bellinzona*	wöch. 1 mal	—	—	6	24
Letture di famiglia	*Turin*		3	20	—	—
Messaggiere Torinese	„	„ 1 „	—	—	5	48
Messaggero delle donne italiane .	*Lucca*	mon. 3 mal	—	—	6	40
Museo scientifico	*Mailand*	wöch. 1 mal	4	36	—	—
Parola (La)	*Bologna*		4	40	—	—
Pragmatologia cattolica	*Lucca*	„ 1 „	9	20	—	—
Repertorio di agricoltura . . .	*Turin*	mon. 1 Hft.	7	40	—	—
Ricoglitore (Il) Fiorentino . . .	*Florenz*	wöch. 1 mal	6	—	—	—
Rivista (La), giorn. dram. musicale	*Rom*	mon. 3 mal	5	—	—	—
Teatro universale	*Turin*	wöch. 1 mal	6	—	—	—
Telegrafo (Il)	„		—	—	5	20
Vaglio (Il)	*Novi*		—	—	3	20
Russisch.						
Ameise, die nordische	*St. Petersburg*	wöch. 2 mal	22	36	—	—
Commerz-Zeitung	„	„ 2 „	17	36	—	—
Journal für Bergwesen	„	mon. 1 Hft.	17	—	—	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo und	wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz-		halb-	
			jährig			
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
	in:					
Landwirthschaftliche Zeitung . . .	*St. Petersburg*	wöch. 2 mal	8	36	—	—
Medizinische Zeitung	"	" 1 "	13	36	—	—
Militär-Journal	"	alle 2 Mon.	18	36	—	—
Polnisch.						
Gazetta Koscielna	*Posen*	wöch. 1 mal	6	40	—	—
Magazyn Mód	*Warschau*	mon. 1 mal	—	—	7	48
" Domowy	"	mon. 1 Hft.	—	—	3	36
Szkolka niedzielna	*Lissa*	" 1 "	3	—	—	—
Tygodnik Rolniczo Technologiczny	*Warschau*	wöch. 1 mal	—	—	6	48
" Petersburski	*St. Petersburg*	" 1 "	38	—	—	—
Lateinisch.						
Utraque Respublica	*Passau*	" 1 "	4	16	—	—
Zweite Abtheilung.						
A. Inländische Zeitschriften.						
Politische.	in:					
Agramer Zeitung (Beiblatt: Luna),	*Agram*	wöch. 2 mal	—	—	5	36
mit Bildern (1 Stück pr. Woche)	"	wöch. 2 mal	—	—	6	56
Beobachter (österreichischer) . . .	*Wien*	" 7 "	—	—	11	—
Bothe von u. für Tirol u. Vorarlberg	*Innsbruck*	" 2 "	—	—	6	—
Brünner Zeitung	*Brünn*	" 7 "	—	—	10	—
Gegenwart (die), polit.-liter. Tagsblatt, enthält einen polit. Wochenbericht, Aufsätze über polit. und belletristische Literatur, Theater, Musik, Wiener Briefe und Lebensbilder, ausgesuchte Novellen und Erzählungen . . (Wird postäglich zugesendet, indem der Herausgeber selbst die Zusendungsgebühr sub b vergütet.)	*Wien*	" 6 "	—	—	6	—
Grätzer Zeitung (Beiblatt: Styria).	*Grätz*	" 4 "	—	—	9	30
Klagenfurter Zeitg. (Beibl.: Carinthia)	*Klagenfurt*	" 2 "	—	—	5	30
Laibacher Zeitung (Beiblatt: Illirische Blätter)	*Laibach*	" 3 "	—	—	7	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo	und wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz-		halb-	
			jährig			
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
	in:					
Lemberger Zeitg. (Beibl.: Leseblätter)	*Lemberg*	wöch. 3 mal	—	—	8	30
Linzer Zeitung (Beiblatt: Oesterreich. Volksblatt rc.)	*Linz*	„ 4 „	—	—	9	42
Pesther deutsche Zeitung	*Pesth*	„ 4 „	—	—	7	44
Prager Zeitung	*Prag*	„ 4 „	—	—	11	—
Preßburger Zeitg. u. Beil.: Pannonia	*Pressburg*	„ 3 „	—	—	7	24
Salzburger Zeitung	*Salzburg*	„ 5 „	—	—	7	—
Siebenbürger Bothe (National-Zeit.), (Beibl. Deutsch. Volksblatt für Landwirthschaft und Gewerbe in Siebenbürgen)	*Hermannstadt*	„ 2 „	—	—	4	36
„ Wochenblatt nebst Beiblatt: der Satellit . .	*Cronstadt*	„ 2 „	—	—	4	24
Troppauer Zeitung	*Troppau*	„ 2 „	—	—	4	45
Wiener Oesterreichisch-Kaiserliche privilegirte Zeitung	*Wien*	„ 7 „	—	—	13	—
Italienisch.						
Gazzetta Provinciale di Brescia .	*Brescia*	„ 1 „	—	—	3	24
„ „ di Como .	*Como*	„ 2 „	—	—	5	—
„ „ di Cremona .	*Cremona*	„ 1 „	—	—	2	48
„ „ di Lodi . .	*Lodi*	„ 1 „	—	—	2	24
„ privilegiata di Milano .	*Mailand*	„ 7 „	—	—	12	—
„ di Mantova	*Mantua*	„ 1 „	—	—	2	20
„ di Pavia	*Pavia*	„ 1 „	—	—	3	—
„ di Venezia	*Venedig*	„ 6 „	—	—	12	—
„ Provinciale di Verona .	*Verona*	„ 3 „	—	—	7	48
Gazzetta di Zara	*Zara*	„ 2 „	—	—	6	18
Messaggiere Tirolese	*Roveredo*	„ 2 „	—	—	6	—
Osservatore Triestino	*Triest*	„ 3 „	—	—	9	—
Kroatisch.						
Narodne Novine	*Agram*	„ 2 „	—	—	5	36
Ungarisch.						
Buda Pesti Hirado	*Pesth*	„ 4 „	—	—	8	16
Erdelyi Hirado (Beibl.: Vasarnapi Ujság)	*Klausenburg*	„ 2 „	—	—	7	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo (sie erscheint)	und wie oft (sie erscheint)	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a. b und c — ganzjährig fl.	ganzjährig kr.	halbjährig fl.	halbjährig kr.
	in:					
Ilenkor, nebst Tarsalkodo . . .	*Pesth*	wöch. 2 mal	—	—	7	36
Mult és Jelen, mit dem Beiblatte: Hon és Külsold	*Klausenburg*	„ 2 „	—	—	6	48
Nemzeti Ujság, mit dem Beiblatte: Hasznos Mulatsagok	*Pesth*	„ 4 „	—	—	7	36
Polnisch.						
Gazeta Lwowska (Beibl.: Rosmaitosci)	*Lemberg*	„ 3 „	—	—	12	—
Böhmisch.						
Prazské nowiny, nebst Ceská Wcela.	*Prag*	„ 2 „	—	—	5	—
Wallachisch.						
Gazzeta de Transilv. (Beiblatt: Foaia ꝛc.)	*Cronstadt*	„ 2 „	—	—	5	12
Serbisch.						
Serbske Norodne Novine (Serbische Volkzeitung)	*Pesth*	„ 2 „	—	—	6	24
Slovakisch.						
Slovenske Novini, mit Beiblatt: Orla-Tatranski	*Pressburg*	„ 2 „	—	—	5	4
B. Inländische nicht politische Zeitschriften.						
Allgemeiner Anzeiger der Kreisstadt Saatz	*Saatz*	„ 1 „	—	—	—	50
Arader Kundschaftsblatt	*Arad*	„ 1 „	—	—	2	12
Badelisten: Carlsbader (Durch die vier Sommermonate)		täglich	3	—	—	—
„ Franzensbader (Durch die vier Sommermonate)		„	2	48	—	—
„ Ischlerer (Durch die vier Sommermonate)		„	2	40	—	—
„ Marienbader (Durch die vier Sommermonate)		„	2	48	—	—
„ Töplitzer . (Durch die vier Sommermonate)		„	3	—	—	—
Bau-Zeitung, allgemeine, mit Abbild.	*Wien*	mon. 1 Hft.	16	36	—	—
„ allgemeine, auf Velinp.	„	„ 1 „	21	—	—	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo	und wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz- jährig		halb- jährig	
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
	in:					
Bau-Zeitung, allgem., Prachtausgabe	*Wien*	mon. 1 Hft.	32	36	—	—
Belehrungsblatt für den Landmann, deutsch und böhmisch	*Prag*	„ 1 „	1	12	—	—
Blätter (Katholische) aus Tirol . .	*Innsbruck*	wöch. 1 mal	4	—	—	—
Blätter (Oesterr.) für Literatur und Kunst, Geschichte, Geographie, Statistik und Naturkunde. Oesterr. Bibliographie nebst Abbildung, österr. Monumente und Kunstdenkmäler .	*Wien*	„ 2 „	—	—	10	—
Bohemia, oder Prager Unterhaltungsbl.	*Prag*	„ 3 „	—	—	3	—
Carinthia (Beiblatt zur Klagenfurter Zeitung)	*Klagenfurt*	„ 1 „	—	—	2	—
Erinnerungen	*Prag*	mon. 1 Hft.	6	—	—	—
Gegenwart, die, polit.-liter. Tagsblatt, enthält einen polit. Wochenbericht, Aufsätze über polit. und belletristische Literatur, Theater, Musik, Wiener Briefe und Lebensbilder, ausgesuchte Erzählungen und Novellen . . .	*Wien*	wöch. 6 mal	—	—	6	—
Wird posttäglich zugesendet, indem der Herausgeber selbst der Zusendungsgebühr sub b vergütet.						
Handels-Zeitung von und für Ungarn	*Pesth*	„ 2 „	—	—	5	30
Humorist, der, von Saphir. Eine Zeitschrift für Scherz und Ernst, Kunst, Theater, Geselligkeit und Sitte .	*Wien*	„ 6 „	—	—	8	—
Innerösterreichisches Industrie- und Gewerbe-Blatt mit Abbildungen .	*Grätz*	„ 2 „	—	—	3	18
Illirisches Blatt (Beibl. zur Laibacher Zeitung)	*Laibach*	„ 1 „	—	—	3	12
Jahrbücher der Literatur	*Wien*	viertelj. Hft.	14	24	—	—
„ Medizinische, der öst. Monarchie nebst Wochenschrift . .	„ „	mon. 1 Hft. wöch. 1 mal	15	36	—	—
Journal des Oesterreichischen Lloyds	*Triest*	„ 3 „	—	—	7	12
Leseblätter (Beibl. zur Lemb. Zeit.)	*Lemberg*	„ 2 „	—	—	2	12
Mittheilung zur Beförderung des Ackerbaues	*Brünn*	„ 1 „	—	—	4	30
Moravia	„	„ 3 „	—	—	2	45
Neue ökonomische Zeitschrift v. André	*Wien*	„ 1 „	11	30	—	—
Oekonomische Neuigkeiten	*Prag*	„ 1 „	—	—	8	—
Oesterreichische Militär-Zeitschrift .	*Wien*	mon. 1 Hft.	12	—	—	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo und wie oft sie erscheint		Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c: ganz-jährig fl.	ganz-jährig kr.	halb-jährig fl.	halb-jährig kr.
	in:					
Oesterreichisches Morgenblatt, auf Velinpapier mit Gratis-Original-Beilagen. Redigirt von J. N. Vogl	*Wien*	wöch. 3 mal	—	—	6	18
Oesterreichische Zeitschrift für den Landwirth	"	" 1 "	—	—	6	30
Ost und West (Beibl. Prag)	*Prag*	" 2 "	—	—	3	54
Pädagogisches Wochenbl. (Oesterreich.)	*Wien*	" 2 "	—	—	2	36
Pannonia (Beilage zur Preßburger Zeitung)	*Pressburg*	" 3 "	—	—	3	—
Panorama des Univers. mit Stahlstich.	*Prag*	mon. 1 Hft.	—	—	1	30
Pariser Modejournal für Herren-Kleidermacher	*Wien*	9 mal im Jahre	4	40	—	—
Pesther Kundschaftsblatt	*Pesth*	wöch. 2 mal	—	—	3	6
Pilger, der	*Karlstadt*	" 2 "	—	—	3	48
Prag (Beilage zu Ost und West)	*Prag*	" 2 "	—	—	3	12
Salzburger Amts- und Intelligenzblatt	*Salzburg*	" 2 "	—	—	2	6
Sammler, der, Unterhaltungsblatt für alle Stände	*Wien*	" 4 "	—	—	6	24
Siebenbürgischer Volksfreund	*Hermannstadt*	" 2 "	—	—	1	12
Sonntagsblatt für heimathliche Interessen, nebst einer monatl. Kunstbeil.	*Wien*	" 1 "	—	—	5	42
Spiegel für Kunst, Eleganz und Mode	*Pesth*	" 2 "	—	—	5	30
" " " " auf Velinp.	"	" 2 "	—	—	6	30
Styria (Beiblatt zur Grätzer Zeitung)	*Grätz*	" 3 "	—	—	3	18
Temeswarer Wochenblatt	*Temeswar*	" 1 "	—	—	4	—
Theaterzeitung (illustrirte), ganz im Formate der Leipziger Illustrirten, mit Xylographien, illuminirten Modebildern, theatralischen Tableaux, satyrischen Bildern und colorirten Rebus; Herausgeber und Redacteur Adolf Bäuerle	*Wien*	" 6 "	—	—	11	48
Ungar (Der)	*Pesth*	" 6 "	—	—	6	—
Vaterland	*Raab*		—	—	4	48
Volksblatt, deutsches, für Landwirthschaft und Gewerbe in Siebenbürgen (Beiblatt zum Siebenbürger Boten)	*Hermannstadt*		—	—	1	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo	und wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz-		halb-	
			jährig			
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
Volksblatt (österr.) für Verstand, Herz und gute Laune (Beiblatt zur Linzer Zeitung)	in: *Linz*	wöch. 2 mal	—	—	4	—
Wanderer	*Wien*	„ 6 „	—	—	6	48
Wiener Courszettel	„	„ 6 „	—	—	4	24
„ Modezeitung, oder Zeitschrift für Kunst, Literatur, Theater und Mode, mit illum. Original-Modebildern	„	„ 5 „	—	—	13	12
„ Elegante (Die). Modezeitung, mit Modenachrichten, Erklärung über Schnitte u. Aufputzarten, illum. Origin.-Modebild. u. 2 bis 3 Musterblätt.	„	alle 14 Tage	—	—	6	—
Wiener Musik-Zeitung (Allgemeine)	„	wöch. 3 mal	—	—	5	38
Zeitschrift für öst. Rechtsgelehrsamkeit	„	mon. 1 Hft.	—	—	6	—
„ Encyclopädische, des Gewerbswesens, in 24 halbmon. Heften mit über 1200 Lithographien	*Prag*	alle 14 Tage	7	30	—	—
Zuschauer, Wiener, für Kunst, Wissenschaft und geistiges Leben. Mit zwei wöchentlichen Beilagen	*Wien*	wöch. 4 mal	—	—	3	18
Französisch.						
Bibliothèque choisie des meilleures Productions etc.	*Mailand*	alle 14 Tage	13	40	—	—
Dalmatinisch.						
Zora Dalmatinska	*Zara*	wöch. 1 mal	4	40	—	—
La Dalmatia	„	„ 1 „	—	—	2	20
Italienisch.						
Album letterario	*Mailand*		4	12	—	—
Amico (L') cattolico	„	mon. 1 Hft.	7	12	—	—
„ del Contadino	*San Vito*	wöch. 1 mal	3	—	—	—
Annali universali di Medicina	*Mailand*	mon. 1 Hft.	—	—	8	12
„ di Statistica	„	„ 1 „	—	—	6	—
Ape delle cognizioni utili	„	„ 1 „	4	—	—	—
Bibliografia italiana	„	„ 1 „	5	—	—	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo	und wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. 1. a, b und c			
			ganz-		halb-	
			jährig			
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
	in:					
Biblioteca italiana	Mailand	für 6 Hfte	8	—	—	—
Caleidoscopo	Triest	alle 15 Tage	—	—	2	25
Corriere delle Dame con figurino	Mailand	alle 5 Tage	—	—	8	—
" " " senza "	"	" 5 "	—	—	4	—
Cosmorama Pittorico	"	wöch. 1 mal	5	—	—	—
Eco della Borsa	"	" 1 "	—	—	4	44
L'Economista	"	mon. 1 Hft.	—	—	5	—
Effemeridi delle Science Mediche	"	" 1 "	9	24	—	—
Fama	"	wöch. 3 mal	—	—	5	36
Favilla	Triest	" 1 "	—	—	5	18
Fenice (La)	Venedig		—	—	5	48
Figaro, Giornale di Letteratura	Mailand	" 2 "	—	—	5	36
Foglio commerciale	"	" 3 "	—	—	7	—
Gazzetta ecceltica	Verona	mon. 1 Hft.	6	—	—	—
" musicale	Mailand	" 1 "	—	—	4	40
Giornale agrario	"	" 1 "	—	—	4	—
" di farmacia. Chemica	"	" 1 "	8	—	—	—
" di Giurisprudenza commerciale e marittima	"	" 1 "	9	20	—	—
" del Lloyd Austriaco	Triest	wöch. 3 mal	—	—	15	8
Gondoliere, col figurino	Venedig		—	—	7	48
Iride (L'). Euganea	Padua	" 1 "	—	—	3	40
Letture di famiglia	Mailand	mon. 1 Hft.	3	30	—	—
Listin (Il) dei Cambi	Triest	wöch. 2 mal	—	—	4	36
Moda, col figurino	Mailand	" 1 "	—	—	8	—
" senza "	"	" 1 "	—	—	4	—
Museo Storico Pittoresco	"	" 1 "	5	—	—	—
Nota delle Vendite	Triest	" 1 "	—	—	5	30
Partenza dei Bastimenti	"	unbestimmt	—	—	5	36
Pirata di Milano	Mailand	wöch. 2 mal	—	—	7	36
Portate dei Bastimenti	Triest	" 3 "	—	—	7	—
Prezzo corrente delle Merci	"	" 1 "	—	—	7	—
Rassegna italiana e straniera	Mailand	mon. 1 Hft.	—	—	5	—
Revista Europea	"	" 1 "	12	36	—	—
Ricoglitore	"		12	—	—	—
Ristretto dei foglietti universali	Trient	wöch. 1 mal	—	—	2	48
Stato delle Merci cioè entrata sortita e deposito	Triest	mon. 1 Hft.	—	—	8	—
Vaglio	Venedig	" 1 "	—	—	4	—

Benennung der Zeitung. (Geordnet nach Sprachen.)	Wo und	wie oft	Pränumerations-Preis ohne Nebengebühr laut §. I. a, b und c			
			ganz-		halb-	
			jährig			
	sie erscheint		fl.	kr.	fl.	kr.
Krainerisch.	in:					
Kmetijski in rokodelske novize. (Landwirthschaftliches Wochenblatt)	*Laibach*	wöch. 1 mal	2	30	—	—
Ungarisch.						
Kis követ képekkel	*Klausenburg*		—	—	—	—
Magyar Gazda és Muipar (Oekon.)	*Pesth*	„ 2 „	—	—	5	—
Magyar Gyermek-barat (Beibl. zu: Mult és Jelen)	*Klausenburg*	„ 2 „	—	—	6	24
Orvossebészi's Természettudományi Évkönyvek	*Pesth*	M. H.	—	—	4	—
Orvosi Tar (Medizinisch) . . .	„	wöch. 1 mal	—	—	4	16
Pesti Divatlap	„	„ 2 „	—	—	7	30
Religio és Nevelles (mit Beiblatt: Egyhaze Tutositasok) . . .	„	„ 2 „	—	—	5	20
Szion egyházi hét's encyclop. . .	„	„ 2 „	—	—	5	24
Vasarnapi Ujsag (Beilage z. Erdelyi Hirado)	*Klausenburg*	„ 1 „	—	—	2	—
Pohlnisch.						
Dziennik mód paryskich (przez Kulczyckiego)	*Lemberg*	alle 14 Tage	14	—	—	—
Rozmaitosci (Beilage zur Gazetta Lwowska)	„	wöch. 1 mal	11	12	—	—
Tygodnik rolniczo przemysłowy .	„	„ 1 „	12	—	—	—
Böhmisch.						
Belehrungsblatt für den Landmann (böhmisch und deutsch) . . .	*Prag*	mon. 1 Hft.	1	12	—	—
Casopis pro Katolicke duchowenstwo	„	vierterlj. 1 H.	3	—	—	—
Kwety, Narodni Zábawnik pro Cechy, Moravany a Slowaky .	„	wöch. 3 mal	—	—	2	12

Słowo ku mojej obronie.

Niezliczone są wypadki, że niewinny cierpić musi. Pokrzywdzenia bywają mniejsze i większe; do największych policzyć potrzeba, jeżeli niewinnego najohydniejszemi obsypują potwarzami, odmawiają mu wszelką godność człowieka, i kładą go w rzędzie dzikich zwiérząt, krwi chciwych hyen, tygrysów, i za takiego publicznie ogłaszają.

Taki los niestety mnie spotkał, i gdyby nie pociecha, którą spokojność sumienia mnie niewinnemu przynosi, gdyby nie ufność, że są jeszcze ludzie, którzy bez przekonania nikogo nie potępiają, trzymałbym się za najnieszczęśliwszą istotę na ziemi.

Przez pilność i pracę uzyskałem teraźniejsze moje stanowisko w życiu socyalném. Jako urzędnik pełniłem moje obowiązki sumiennie i wiernie, żadnym czynem nie splamiłem życia mojego, a przecież w jakim świetle starają się źli ludzie mnie przed światem wystawić! Oto robią mnie mordercą współbraci, rabusiem ich majątku. Czyliż można kogo piętnem większéj nikczemności naznaczyć?

Zapyta kto, co za przyczyna tego prześladowania bez przykładu, z kąd początek tych pocisków przeciw mej osobie? Oto jako urzędnik nieparcyjalny broniłem zawsze sprawy krzywdzonego i z przekonania i obowiązku byłem zaburzeniom spokoju przeciwnym, i za to ściągnąłem na siebie niechęć i nienawiść ludzi inaczéj myślących.

Nastąpiły nieszczęsne wypadki roku 1846, które krwią i zniszczeniem okryły ziemię Tarnowską; gdzie na nieszczęście moje byłem komisarzem cyrkułowym.

Gdy zamierzone powstanie się nie udało, ci, którzy je wywołali, i tyle nieszczęść na kraj i siebie ściągnęli, skutki okropnych wypadków z siebie zwalić usiłowali; i te usiłowanie i boleść zawiedzionych nadziei całą onych nieszczęść winę rządowi i organom rządu przypisała.

Z tego powodu i moję dobrą sławę, z wściekłością drapieżnych zwierząt szarpać poczęto, rozsiewając o mnie najniedorzeczniejsze kłamstwa, i najbezczelniejsze potwarze, które, czem większą cechę niedorzeczności na sobie nosiły, tém bardziej się rozszerzały.

Moi znajomi w Tarnowie, o których uszy owe kłamstwa i potwarze się obijały, ze śmiéchem takowe przyjmowali, i ja sam takowe z początku nie inaczéj cenilem, jak tylko śmiéchu godne.

Lecz dowiedziawszy się później, że pogłoski o mnie w obieg puszczone do największego stopnia potwarzy wzrosły, i daleką przestrzeń przebiegłszy, u łatwowiernych ludzi wiarę znajdują; podałem jeszcze w jesieni 1846 r. do Wysokiego Prezydium krajowego prośbę o ochronę przeciw tym niegodziwym pociskom, na co dekretem z d. 28. Marca 1847 do l. 7891 w odpowiedzi otrzymałem, że rząd jest przekonany o moim prawym charakterze, że wszyscy dobrze myślący, takie same przekonanie podzielają, i że złośliwe potwarze mojemu honorowi i nieskażonemu charakterowi ubliżyć nie mogą.

Po 24letniej służbie, zostałem w roku 1847 sekretarzem gubernialnym we Lwowie, gdzie aż do pamiętnych dni Marca b. r. spokojne życie prowadziłem, znachodząc u wszystkich znajomych życzliwość i przyjaźń.

Lecz gdy w owych dniach śród głośnych okrzyków braterstwa, z gwałtownością ponowiły się złośliwych ludzi prześladowania mojej osoby, i życie moje zagrożone było, usilnemi naleganiami moich przyjaciół spowodowany, opuściłem Lwów, a przejeżdżając przez Czerniowce, i tam, co z boleścią napomknąć muszę, od kilku osób, temi fałszywemi pogłoskami uwiedzionych, niegodziwego doznałem przyjęcia. Tu zamilczyć nie mogę, jak opisując w pismach publicznych moje przyjęcie w Czerniowcach, gdzie śród obelg niedozwolono mi należytego tłumaczenia się, kładą mi w usta słowa urywkowe, nadając im znaczenie, jakobym się sam do winy przyznawał.

Nic użyłem i nie mogłem w tém znaczeniu użyć słów, chciałem bowiem moje mowę do tego

ściągnąć, że za wierne i prawe moje pełnienie obowiązków spotwarzony i prześladowany jestem.

Gdy tylko w mojém ustroniu dowiedziałem się, że w dziennikach publicznych i w ulotnych pisemkach niegodziwe potwarze o mnie rozsiane powtarzają, umieściłem w gazecie Lwowskiej z dnia 19. Maja 1848 Nr. 59. odezwę, w któréj przeciw temu ohydnemu postępowaniu publicznie protestowałem, i każdego, któren mi czyni zarzuty, do wystąpienia z dowodami wezwałem.

Wkrótce powróciłem i sam do Lwowa, powtórzyłem z doniesieniem mego powrotu odezwę i oczekiwałem z spokojnością niewinnego człowieka moich oskarzycieli.

Nareście znalazłem w Dzienniku narodowym z dnia 8go Czerwca r. b. Nr. 64 dwa artykuły przez niejakiego Pana J. A. Pruskiego, mieniącego się członkiem jakiejś ruskiej rady i Pana Bilickiego obywatela konstytucyjnego, napisane. Lecz cóż z tych artykułów wyczytałem? nic innego, jak bezwstydne powtórzenie piekielnych potwarzy bez najmniejszego przytoczenia dowodów na złośliwie zarzucane mi szkaradne czyny. P. Pruski twierdzi, że cała Polska, Niemcy, Francyja, słowem Europa cała uznała (?) i policzyła (?) mnie do liczby owych zbrodniarzy którzy z wściekłością tygrysa pili krew niewinnych braci i że ludzkość wydała już wyrok (?) a gdzie ludzkość sądzi, tam apelacyi nie ma (? ? ?)

Prawda, że złość swego złośliwego celu dopięła, i że w całém znaczeniu słowa przed Europą oczerniony jestem, gdyż potwarze przeciw mnie miotane i do zagranicznych pism się dostały, i o milion usz się odbiły.

Lecz czyliż dla tego, że Europa haniebne spotwarzenia mojéj osoby czytała, ludzkość miałaby już wydać tak srogi wyrok? O biada ludzkiemu rodowi, gdyby ludzkość w istocie nie wchodząc w prawdę, takie wyroki wydawała, i przeciw takim wyrokom apelacyi nie było! Cały świat na takie postępowanie wzdrygnąć by się musiał, za nieby były wszelkie zasady rozumu i ludzkości.

Pan Pruski odséła mnie do Tarnowa, tam gdzie żyją, jak on twierdzi, świadkowie kłamliwie zarzucanych mi zbrodni, gdzie dotąd płyną łzy wdów i sierot. Czemuż on tych świadków nie wymienia? Czemuż te sieroty i wdowy przeciw mnie nie wystąpiły? Czemuż mnie nie oskarzyły?

Wszak byłem po owych wypadkach w Tarnowie aż do końca Sierpnia 1847 r., a i teraz jestem gotów, na wezwanie śledczych komissyi w każdym momencie stawić się.

Równie twierdzi on bezczelnie, jakoby ja miałem krzyczeć, »że nie żywych, lecz umarłych potrzebuję, co cały Tarnów zaświadczy.« Wątpię bardzo, żeby kto dał wiarę, że posiadam tak silny głos, któren by cała ludność Tarnowa posłyszyć mogła, i P. Pruski lepiéj by był uczynił, żeby zamiast powoływania się na całą ludność Tarnowską, swe twierdzenia udowodnił.

O co za bezczelna i niegodziwa potwarz! niebędąc w stanie sam z żadnymi dowodami wystąpić, odwołuje się tylko na Tarnów, i kładzie mi w usta najzłośliwiéj zmyślone słowa.

Pan Bilicki do swego artykułu bardzo ładny, i do méj osoby całkiem stosujący się wstęp zrobił, mówiąc: „Jedna z wielkich wad naszego narodu „jest porywcze sądzenie innych, i częstokroć potępienie w opinii publicznéj człowieka najniewinniejszego. Jest to także potężna broń ludzi nikczemnych, powodowanych osobistością, lub wrogów „dobréj sprawy. Oni poddają ją ludziom łatwowiernym, z kądinąd poczciwym, najlepszych chęci, „a ci nie zastanowiwszy się nad tém, co czynią, „najniewinniejszych ludzi, najniewinniejszym sposobem nielitościwie zabijają.“

Mimo téj wielkiéj i niezaprzeczonéj prawdy Pan Bilicki daléj mi łotrowstwo zadaje, uzasadniając te swoje o mnie zdanie, najprzód tém, że powiada: „widzieliśmy cię na własne oczy podczas nieszczęśliwych wypadków r. 1846 pomiędzy zbuntowanymi chłopami“; lecz czemuż nie mówi, kto, gdzie i kiedy mnie widział? Co między nimi robiłem? Daléj wywodzi łotrowstwo z tego, że głosiłem patent Cesarza, w którym Cesarz zadowolnienie wszystkim gromadom Galicyi z okazanéj wierności oświadcza. Czy nie głosili że ten patent wszyscy Komisarze, czy nie głosili po wszystkich gromadach w całym kraju? I téż głoszenie z rozkazu Rządu ma bydź łotrowstwem? Mająż nakoniec słowa o pirogach do ludu jakoby przeze mnie użyte, które P. Bilicki w celu potwarzy mi zarzuca, a których ja wcale nie użyłem, także łotrowstwa bydź dowodem? Trudno pojąć, co P. Bilicki temi słowy usiłuje udowodnić, czyliż niezawierają nawet one nakazu zwrócenia cudzéj własności? Wyjechałem 4. Marca 1846 r. z oddziałem wojska pod komendą Rotmistrza Hrabiego Riedsmaul i przestrzeń mi oznaczoną obwodu Tarnowskiego objeżdżałem, upominając najusilniéj wzburzony lud do spokoju, porządku i zwrócenia zrabowanych

118

rzeczy, lecz nie takiemi słowy, jak je P. Bilicki zmyśla.

Uskutecznienie tychże rozkazów i dalsze dochodzenie w okolicy Radomyśla nie mnie poruczone było, gdyż musiałem po najprędszym objeździe oznaczonych miejsc do Tarnowa wrócić.

Tyle na artykuły P. Pruskiego i Bilickiego; tylko dodaję do sprostowania wiadomości P. Bilickiego, że w Tarnowie nie trzeciéj, lecz piérwszéj klasy Komisarzem obwodowym byłem, i to od roku 1840 tak, że nawet mniemany prędki awans Bilickiemu na poparcie kłamstwa posłużyć nie może, gdyż dopiéro po 24letnéj służbie sekretarzem gubernialnym zostałem.

Pan Pruski i Bilicki w mnogiéj liczbie się wyrażają: „widzieliśmy", „słyszeliśmy", „potrafimy"; nie wiem kogo pod témi wyrazami rozumieją, i za kogo lub z czyjego polecenia mówią, a Pan Pruski wzywa mnie, abym się przed sądem ludu w Tarnowie stawił publicznie, dodając: „a wtedy potrafimy udowodnić, żeś mordercą braci naszych"; a więc obadwa ci panowie sami nic nie wiedzą o złośliwie mi zarzuconych zbrodniach, gdyżby je dokładnie i okolicznie z oznaczeniem miejsc i osób wymienili, i nie wątpię wcale o tém, iżby to uczynili, gdyby byli w stanie, mając na celu fałszywe pogłoski swemi twierdzeniami udowodniać, a więc dopiéro mają szukać dowodów. Lecz im jest dogodniéj bez przekonania twierdzić, za kłamcami kłamstwa powtarzać, lub je zmyślać. I ciż panowie Pruski i Bilicki to tylko, jako niby dowody, na złośliwie zarzucane mi haniebne czyny przywieść będąc w stanie, śmieją bezczelność mi zarzucać, że w moich odezwach wzywałem wszystkich, którzyby mieli jakieś przeciw mnie dowody, aby z niemi przed sądem wystąpili O co za bezczelność i nikczemność!!!

Z równém oburzeniem późniéj wyczytałem w numerze 38. Gazety narodowéj z dnia 9. Czerwca b. r. artykuł bezimienny, równie niesłusznie i najniegodziwiéj mnie potwarzający i szkalujący.

By do takiéj podłości i nikczemności człowiek mógł się poniżyć, jak to autor bezimienny, ten artykuł pisząc — uczynił, zaledwie bym piérwiéj mógł był uwierzyć.

Na te potwarze i obelgi szuka ón dowodów w dodatku do powszechnéj gazety Augsburskiéj Nr. 131. i przytacza słowa z tego artykułu ze związku wyrwane, podstępnie opuściwszy tę okoliczność, że cytowany artykuł właściwie czyni mi zarzut, iż przeciw podłym oczernieniom nie podniosłem głosu publicznie, czego uczynić niemogłem, dopóki te oczernienia w publicznych pismach umieszczone do mojéj wiadomości niedoszły; poczem zaraz piérwszą odezwę w gazecie lwowskiéj Nr. 59. umieściłem I dopuściwszy nawet, żeby ten artykuł powszechnéj gazety, zawierał powtarzania, niegodziwych, złośliwie przeciw mnie rozszerzonych pogłosek, zapytam czyliżby mógł stanowić jaki przeciw mnie dowód.

Mając zupełnie czyste sumienie i mocne przekonanie o prawym mym sposobie myślenia i działania, śmiało przeciw wszelkim potwarzom występuję — a przeciw znanym mi teraz oszczercom mego honoru — w drodze prawem przepisanéj sprawiedliwości szukać będę.

Komu na prawdzie zależy łatwo się o mej niewinności przekonać może; kilkanaście dni przed i podczas owych okropnych wypadków, aż do 4. Marca 1846 ciągle w urzędzie byłem zatrudniony, i przez ten cały czas ani na krok się niewydalałem.

Świadczą to akta cyrkularne i wszyscy urzędnicy Cyrkułu to zaświadczyć mogą, którym též jest wiadomo, co podczas owych smutnych wypadków w Tarnowie robiłem.

I prawie wszystkim mieszkańcom Tarnowa jest wiadomo, iż przez cały czas tych opłakania godnych, okrutnych zdarzeń, ani na chwilę Tarnowa nie opuszczałem, a w szczególności powołuję się w tym względzie na następujące czcigodne osoby: na JW. Xiędza Biskupa Wojtarowicza. WW. X. Kanonika Króla, X. Dziekana Ligockiego, X. Professora Kijas, Feldmarschalleitnanta Czolich, Jenerała Barona Moltke, Pułkownika Ludwik, Majora Margrabiego Vasquez, Adjutanta Birkenfeld, obywatela ziemskiego Xaverego Stoińskiego, Józefa Gniewoszewskiego, Aptekarza Hawla, Prezesa Sądu szlacheckiego Hohn, Fiskalnego Adjunkta Boczkowskiego, Fizyka cyrkularnego Kellermanna, Komisarza Policyi Brzeżaniego, Sekretarza Foralnego Bartmańskiego, Wojennego komisarza Zöpfel, Protokolistów rady Napadiewicza i Jaworskiego. Doktora Medycyny Starkla, Sędziego Moczarskiego, Adwokata Wickiego, Burmistrza byłego Hinglera, Asesora byłego Dörfla, Sekretarza Libicha, Urzędników foralnych Pelinki i Baldiniego, Urzędnika od Verwalteryi dochodów skarbowych Kummera, Urzędnika Foralnego Hennocha etc. etc.

Podnoszę teraz mój głos publicznie przeciw oszczercom mojéj dobréj sławy — oświadczam przed światem wszelkie mi czynione zarzuty za wymysł

Cäkakov
komendant
26/4 1848

niegodziwych ludzi i za bezczelną potwarz. Wszystkie te oczernienia z jednego i tego samego źródła pochodzą, i tylko z planu w celu prześladowania mnie gorliwie rozszerzane i łatwowiernie przyjmowane były. Od wypadków roku 1846 już więcéj jak dwa lata upłynęło, z powodu popełnionych w owym czasie okropności niezliczone skargi zaniesione i indagacye kryminalne były i dotychczas zapewnie się agitują, a jednak nikt przeciw mnie w sądzie głosu niepodniósł. Gdyby choć pozór prawdy zarzucane mi haniebne czyny za sobą miały; czyliżby można wątpić, iżby się do tego czasu nie znalazł oskarzyciel, któren by przeciw mnie w należytéj drodze wystąpił.

Jeżeli po tyle na mnie ustnie i pisemnie miotanych potwarzach, okropnych prześladowaniach, ci trzéj, którzy z swymi artykułami na moje potępienie, a usprawiedliwienie moich prześladowców wystąpili, na nic więcej jak na powtarzanie już zrobionych obelg i kłamstw zdobyć się zdołali; osądź szanowna publiczności, osądź cały narodzie, na kim hańba i zbrodnia cięży.

Nakoniec spodziéwam się, że Redakcye Dziennika narodowego, i Gazety narodowéj stosewnie do praw o wolności druku z tą samą gotowością moje teraźniejsze oświadczenie w pismach swoich umieszczą, z jaką artykuły mnie potwarzające przyjęły.

Lwów dnia 12. Czerwca 1848.

Joachim Chomiński,
Sekretarz Gubernialny,